

BARBARA DELINSKY

**Dom
na klifie**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Od pierwszej chwili nękały mnie złe przecucia. Zbagatelizowałam je, bo mój przyjaciel Cooper miał kłopoty, a zważywszy na to, jaką wielką był mi podporą w ciągu ostatnich sześciu lat, uznałam, że nie mogę zostawić go samego. Trudno, poświęcę się, schowam dumę do kieszeni i zadzwonię do domu. Tak też zrobiłam. Cooper potrzebował dobrego obrońcy, a któż mógł mi podać nazwisko najlepszego, jak nie moja matka? W końcu jest sędzią.

Peter Hathaway, oznajmiła z miejsca, bez wahania.

To nazwisko nic mi nie mówiło, ale matka zapewniła mnie, że Hathaway jest doskonałym

specjalistą od prawa karnego. Co prawda, nie miała okazji widzieć go na sali sądowej, gdyż pracowała w Filadelfii, a on głównie w Nowym Jorku, jednakże dużo o nim słyszała. I ogromnie ucieszyła się, że ma pretekst, aby do niego zadzwonić. Wzbudziło to mój niepokój.

Potem ojciec zasięgnął języka u swoich przyjaciół, niejakich Humphreyów, którzy zarobiwszy miliony na farmaceutykach, wynajęli Hathawaya, żeby ich bronił, gdy zostali oskarżeni o fałszowanie danych. Mimo że sąd uznał małżonków winnymi i wymierzył im wysoką grzywnę, ci wychwalali Hathawaya pod niebiosa. To również wzbudziło mój niepokój.

Zanim się spostrzegłam, cała rodzina była zaangażowana w moje sprawy. Niby nie powinno mnie to dziwić, bo kiedyś stale to robili, jednak od wielu lat mieszkalam z dala od domu, więc trochę od tego odwykłam. A tu zaraz po ojcu zadzwonił do mnie mój brat Ian, który tym swoim zarozumiałym tonem oznajmił, że Peter Hathaway to najwyższej klasy fachowiec. Następnie słuchawkę przejęła żona Iana, Helaine, która - chyba nieco zbyt sugestywnie - dodała, że Peter to pożeracz niewieścich serc. Zaś moja siostra Samantha stwierdziła, że gdyby kiedykolwiek rozwiodła się z mężem - a zastanawia się nad tym, ponieważ David jeszcze nie raczył odzyskać tych setek tysięcy dolarów, które stracił przed dwoma laty podczas krachu na giełdzie - na pewno postarałaby się poderwać Hathawaya. Bo Peter,

powiedziała szeptem, wszystko, czego się tknie, przemienia w złoto. Jak Midas.

W każdym razie rodzina jednogłośnie poparła Hathawaya. Nie pamiętam, aby w jakiegokolwiek sprawie - poza krytykowaniem mojego stylu życia - byli tak zgodni. I to wzbudziło mój największy niepokój.

Peter Hathaway. Wielkie miasto, wielkie nazwisko, wielkie pieniądze - takie miałam skojarzenia. W każdym bądź razie ten polecany przez mamę prawnik reprezentował wszystko, co mnie odstręczało i co zdecydowanie odrzucałam. Cooper doskonale o tym wiedział i między innymi dlatego miał do mnie pretensje. Nie chciał, by ktoś mu pomagał, a zwłaszcza nie chciał w to angażować mnie i mojej rodziny. Klarował mi, że Adam nigdy by nie zadzwonił do nich po pomoc. Może miał rację. Ale Adam nie żył od sześciu lat. I Adama nikt nigdy nie oskarżył o przemyt skradzionego towaru.

Minęło prawie dziesięć lat, odkąd ku niezadowoleniu rodziców porzuciłam cywilizację, ale przecież nie zaszyłam się w buszu. Czytałam gazety, oglądałam telewizję. Wiedziałam, co czeka Coopera, jeśli zostanie uznany za winnego. Toteż ignorując złe przeczucia, postanowiłam wynająć Hathawaya.

To było we wtorek. W piątek oczekiwałam jego wizyty. Sądziłam, że pojawi się człowiek zarozumiały, oschły, bardzo rzeczowy, który zanim jeszcze pozna Coopera, to najpierw mnie dokładnie o wszystko wypyta. Tyle że nie wiedziałam, czy

w ogóle pozna Coopera. Bo Cooper wciąż się wahał, czy chce, by Hathaway go bronił.

Oczywiście nie zdradziłam prawnikowi moich wątpliwości. Może nie zgodziłby się przylecieć do Maine, gdyby usłyszał, że klient jeszcze nie jest zdecydowany. Po prostu zaoferowałam mu kilkudniowy pobyt w prywatnym hotelu nad brzegiem morza oraz wysokie honorarium. Miałam nadzieję, że to wystarczy. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że później będę musiała przekonywać obu panów.

Proste, ustabilizowane życie. Niczego więcej nigdy nie pragnęłam. Dlaczego więc nagle wszystko się tak skomplikowało? Nie wiem. Ale wielu rzeczy nie wiedziałam.

Na przykład: dlaczego Adam mnie opuścił?

Jak to możliwe, że Elizabeth Taylor podobają się moje prace?

Kto ukrył na łodzi Coopera skradzione brylanty?

Wiedziałam jednak, dlaczego czuję łupiący ból w czaszce, jakby za oczami. Bo zawsze bolała mnie głowa, kiedy szukałam odpowiedzi na trudne pytania. Wtedy Adam delikatnie masował mi skronie i nucił coś swoim niskim, łagodnym głosem. Cooper stosował inne lekarstwo: kazał mi się położyć, zaciągał zasłony i robił mi ciepły kompres na oczy.

Ale ponieważ Adam nie żył, a Coopera nie było, połknęłam trzy tabletki aspiryny i z kubkiem świeżo zaparzonej herbaty usiadłam przy oknie. Widok miałam niesamowity, bo dom stał na urwistym

klifie. Bezkres oceanu działał na mnie hipnotycznie. Nie widziałam fal rozbijających się w dole o skały, lecz słyszałam ich nieustanny łoskot.

Uwielbiam wodę. Nawet gdy dni są krótkie i ponure, jak to bywa w drugiej połowie października, mogę bez końca wpatrywać się w srebrzystą taflę. Dlatego uciekałam od zgiełku miasta. Tu, na prowincji, czuję się jak w domu. Nie muszę się stroić. W dżinsach i bluzie, uczesana w koński ogon, mogę babrać się w glinie, siedzieć z przyjaciółmi w „Gospodzie Sama” lub cierpliwie czekać na przyjazd słynnego prawnika z Manhattanu.

Gdybym miała zegarek, pewnie co rusz sprawdzałabym godzinę, ale od dawna nie noszę na rękę takiego urządzenia. Bo nie robi mi różnicy, czy właśnie minęła pierwsza, czy trzecia. Więc siedziałam przy oknie, powoli popijając herbatę i wpatrując się w horyzont.

Wkrótce w kubku zostało parę kropli płynu i kilka drobnych listków, które przedostały się przez sitko. Przez chwilę bawiłam się nimi; kręciłam kubkiem i usiłowałam sobie wyobrazić, co by z fusów wyczytała wróżka. A także, co by powiedział psychiatra, gdyby mnie teraz widział. Chociaż to nie miało znaczenia. Było mi dobrze samej ze sobą w tym domu na klifie.

Odchyliwszy w tył głowę, dopiłam herbatę. Zamierzałam zanieść pusty kubek do kuchni, gdy kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Na żwirowym podjeździe zatrzymał się czarny samochód. Nie

słyszałam szumu silnika ani skrzypienia opon; wiatr wszystko zagłuszał. Zresztą, pomyślałam, silnik jaguara pracuje tak cicho, że nawet gdyby nie było wiatru, to i tak nic bym nie słyszała.

Nie widziałam marki samochodu. Ale Peter Hathaway, słynny prawnik, pożeracz serc i Midas w jednej osobie, kojarzył mi się z typem mężczyzny, który jeździ jaguarem.

Naraz poruszyłam się niespokojnie, poczułam ciarki na plecach. I nagle ogarnął mnie strach. Czy nie popełniam błędu? Jednak po chwili wzięłam się w garść. Tu jest mój dom, mój świat. Nie mam powodu niczego się bać.

Życie zależy od nas, od tego, co z nim robimy. Oboje z Adamem w to wierzyliśmy. Ja nadal wierzę. Chciałam pomóc Cooperowi; tylko to było ważne. A moje przeczucia... Kto by się nimi przejmował?

Przyciskając do piersi pusty kubek, cofnęłam się krok i ponownie wyjrzałam przez okno. Czarny samochód nie był jaguarem, lecz saabem. Oczywiście nie miało to większego znaczenia; przypuszczalnie Hathaway wypożyczył auto na lotnisku.

Chwilę później moim oczom ukazał się sam Midas. Wyglądał inaczej, niż się spodziewałam. Sądziłam, że zobaczę faceta w trzyczęściowym garniturze, a nie w swetrze i sztruksach. Szpakowatego, a nie o ciemnych kasztanowych włosach. Eleganta, a nie zawadiakę.

Znów tknęło mnie złe przeczucie. Po krzyżu przebiegło mi mrowie. Peter Hathaway stał przy

samochodzie, spokojnie rozglądając się wkoło. Popatrzył na ocean, wziął głęboki oddech i, byłam tego prawie pewna, uśmiechnął się pod nosem. Potem z neutralnym wyrazem twarzy powiódł wzrokiem po małym podwórzu przed domem, po nędznej karłowatej sośnie i krzakach wystawionych na silne podmuchy wiatru. Wreszcie skierował oczy na dom.

I nagle mnie zauważył. Nasze spojrzenia się spotkały. Przez moment tkwiłam bez ruchu. Specjalnie. Mogłam się odwrócić, odejść, ale nie chciałam, by pomyślał, że się boję lub denerwuję.

On pierwszy oderwał wzrok i zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi. To spięło mnie do działania. Zanim wszedł po schodkach na nieduży osłonięty ganek i uniósł rękę, żeby zapukać, nacisnęłam klamkę.

Uniesiona ręka wolno powędrowała w dół, ale nie patrzyłam na nią. Patrzyłam na niego. Prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona, wąskie biodra. Włosy ciemne, gęste, lśniące. I lekko potargane przez wiatr. Artystyczny nieład na głowie jedynie podkreślał doskonałe strzyżenie.

Nie był opalony, ale jego skóra miała ładny zdrowy odcień. Na brodzie przebijał lekki zarost, w kącikach oczu i przy ustach widać było zmarszczki, a na policzku bliznę, która dodawała twarzy nieco tajemniczości.

Ale największe wrażenie wywarły na mnie oczy mężczyzny. Jasnozielone, niemal świetliste. Jeszcze nigdy takich nie widziałam. Przeszywał mnie

nimi na wylot. Próbowalam opuścić wzrok, ale nie byłam w stanie. Nie potrafiłam też opanować gwałtownego bicia serca.

- Jill Moncrieff?

Niski głos wdarł się w szum wiatru i łoskot rozbijających się o skały fal. Odetchnęłam z ulgą, bo przez moment, zahipnotyzowana zielonymi oczami, zapomniałam, kim jestem i jak się nazywam.

- Tak - oznajmiłam, siląc się na spokój. Wyciągnęłam na powitanie rękę. - Pan Hathaway...?

- Po prostu Peter.

Dłoń miał dużą, ciepłą. Pewnie długo bym się nad nią rozwodziła, gdyby mój gość nie zrobił czegoś, co mi całkiem odjęło mowę. Uśmiechnął się, a właściwie wyszczerzył zęby. Na jego twarzy malowało się zdziwienie, satysfakcja, pewność siebie. I znów nie umiałam oderwać od niego oczu.

- A więc to ty jesteś córką sędzi Madigan - rzekł cicho.

Nie puszczając mojej dłoni, z zaciekawieniem zmierzył mnie od stóp do głów. Chociaż w jego spojrzeniu nie było nic nagannego, poczułam się naga i bezbronna.

Instynktownie wyszarpnęłam rękę.

- Zgadza się - powiedziałam, unosząc butnie brodę.

- Spodziewałem się kogoś zupełnie innego. — Patrzył na mnie z wyzwaniem w oczach.

- Tak? A kogo?

- Stracha na wróble.
- Słucham? - Wlepiłam w niego oczy.
- Uznałem, że musisz być niewydarzoną, zakompleksioną brzydulą, skoro uciekłaś z miasta i zaszyłaś się na głuchej prowincji.

- Nie uważam się za niewydarzoną i zakompleksioną. I nie mam żadnych pretensji do swojego wyglądu.

Jego twarz znów rozjaśnił łobuzerski uśmiech.

- Bo nie masz powodu. Sądziłem też, że będziesz nieco starsza - dodał, poważniejąc. - Niedawno na jakimś przyjęciu poznałem twojego brata. Okazało się, że studiował razem z moim kumplem z liceum. A ty... pewnie jesteś z piętnaście lat od nas młodsza.

- Przypuszczam, że to miał być komplement, ale... - Pokręciłam głową. - Za nic w świecie nie chciałabym znów mieć dwudziestu pięciu lat.

- Dlaczego? - zdumiał się.

- Bo gdy miałam dwadzieścia pięć lat, zginął mój mąż. Moja kariera nie chciała mszyć z miejsca. A ja z trudem sobie ze wszystkim radziłam. To było sześć lat temu - rzekłam, przytrzymując ręką włosy, którymi targał wpadający przez otwarte drzwi wiatr. - Od tamtej pory wiele się zmieniło. Odzyskałam radość życia. Jestem szczęśliwa. Gdyby tylko nie ta sprawa z Cooperem... - Cofnęłam się w głąb mieszkania i skinęłam zapraszająco. - Strasznie wieje. Może wejdziesz do środka i pozwolisz mi zamknąć drzwi?

Nie byłam pewna, czy zaszokowałam go swoim

wyznaniem o Adamie; miałam nadzieję, że tak. Nie chciałam, żeby widział we mnie beztroską, niewinną dziewczynę. Mieszkając w Maine, nie wiodłam tak wytwornego i dostatniego życia jak dawniej w Filadelfii, ale właśnie tu, na prowincji, w ciągu ostatnich dziesięciu lat doświadczyłam więcej goryczy i bólu - lecz także ciepła i dobroci - niż wszystkie moje koleżanki ze studiów razem wzięte.

Nie zdradzając swoich myśli ani emocji, Peter Hathaway przekroczył próg i wszedł do salonu. Pokój od razu wydał się mniejszy. Nonsens, pomyślałam. Przecież Cooper jest równie wysoki jak on, a nawet bardziej barczysty.

- Rozgość się. - Wskazałam kanapę. Miałam nadzieję, że kiedy usiądzie i przestanie nade mną górować, odzyskam pewność siebie.

Nie usiadł. Krążył po pokoju, przystając to przy stoliku, to przy półce, żeby obejrzeć jakąś moją pracę.

- Twoja mama wspomniała, że zajmujesz się ceramiką - rzekł, podziwiając dwa splecione ze sobą świeczniki. - Mówiła, że wystawiasz prace w najlepszych nowojorskich galeriach, ale wolisz pracować tu, gdzie nic cię nie dekoncentruje.

- Cała mama - mruknęłam. Już się nie buntowałam; przywykłam do tego, że moja rodzina na swój sposób próbuje sobie tłumaczyć moje „dziwne” zachowanie i jeszcze dziwniejsze wybory.

- A co, to nie jest do końca prawda?

Stał zwrócony tyłem, widziałam jednak, jak pod-

nosi ze stolika cienki wazonik, który w jego dużych dłoniach wyglądał niesamowicie delikatnie i krucho.

- No cóż, może i jest - odparłam. - Życie w Maine płynie spokojniej, więc rzeczywiście łatwiej się tu skupić. Ale wielu artystów mieszka i tworzy w dużych miastach. Jednemu bardziej odpowiada cisza, drugi uwielbia światła i zgiełk. Ja wolę mieszkać na prowincji, ale nie z tych powodów, o których mówiła mama.

Obrócił się do mnie twarzą, a ja znów poczułam przyspieszone bicie serca. Coś w spojrzeniu Petera sprawiało, że nogi miałam jak z waty.

- A gdybym spytał, z jakich powodów zdecydowałaś tu zamieszkać, powiedziałaabyś mi?

Wzięłam głęboki oddech, żeby spowolnić rytm serca.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie przyjechałaś tu, żeby rozmawiać o mnie. Przyjechałaś, żeby rozmawiać o Cooperze.

- W takim razie dlaczego go tutaj nie ma? - spytał przytomnie, a ja straciłam rezon.

Odkąd Peter Hathaway zajechał pod dom, nie byłam w stanie logicznie myśleć.

- Coopera nie ma - zaczęłam wolno, żałując, że Peter nie jest niskim, łysiejącym grubasem - ponieważ najpierw chciałam sama z tobą porozmawiać. Wyjaśnić ci parę rzeczy...

Wsunął ręce do kieszeni, napinając materiał na biodrach. Odruchowo skierowałam wzrok niżej.

Przyłapawszy się na tym, przerażona czym prędzej podniosłam oczy na twarz Petera.

Ponownie wskazałam fotel.

- Usiądź - poprosiłam. Kiedy zorientowałam się, że zamierza stać, postanowiłam zastosować inną taktykę: - Jadłeś coś w samolocie? Podali wam lunch?

- Nie leciałem samolotem. Przyjechałem samochodem.

- Co? Taki kawał z Nowego Jorku? - zdziwiłam się.

- Ruszyłem o świcie - rzekł. - Lubię prowadzić, a nie mam zbyt wielu okazji. - Na moment zamilkł. - Zresztą w Bostonie musiałbym się przesiąść do mniejszego samolotu. A w takich małych potwornie trzęsie. Jeśli tylko mogę, staram się ich unikać...

Hm, wielki prawnik z wielkiego miasta zarabiający ogromne pieniądze, który boi się latać? Jakoś nie bardzo chciało mi się w to wierzyć. Ktoś, kto cieszy się tak dużą renomą, z pewnością ma klientów rozsianych po całym kraju, a zatem ciągle lata. Jeśli próbował zamydlić mi oczy, pokazać, że jest zwykłym człowiekiem obciążonym normalnymi słabościami, to niepotrzebnie się trudził. Na pewno nie dam się na to nabrać.

- Samolotem byłoby szybciej - stwierdziłam.

- Zależy mi, by Cooper został oczyszczony z zarzutów. Koszty nie grają roli, ale nie mam nieograniczonych zasobów finansowych. Płacę za każdą godzinę twojego czasu, nie sądziłam jednak...

- Jeśli wybieram dłuższą trasę - przerwał mi - to jest to moja decyzja i mój problem. Ciebie nie obciążam kosztami. Ale na razie nie mówmy o pieniądzach, bo jeszcze nie zdecydowałem, czy przyjmę sprawę twojego przyjaciela.

- Aha - mruknęłam smętnie. - To przepraszam. Moja mama... widocznie źle ją zrozumiałam. - Spochmurniałam. To po co zawracałam sobie nim głowę, po co proponowałam mu gościnę pod moim dachem? Wielkie dzięki, mamusiu.

Peter wcale się tym nie przejął.

- Nic się nie stało - oznajmił beztrąsko i podszedł do okrągłego mahoniowego stolika na grubej, pięknie rzeźbionej nodze, który wyszukaliśmy z Adamem na targu staroci.

Podobnie jak większość mebli w salonie, pochodził z tutejszych stron. Został oczyszczony, wygładzony papierem ściernym, zabieganowany. Uwielbiałam odnawiać stare meble, przywracać im ich dawny blask. Zawsze myślałam wtedy o ich oryginalnym twórcy, rzeźbiarzu czy stolarzu. Jako artystka czułam z nim jedność duchową.

Na stoliku stała ceramiczna misa pełna cukierków oraz dwie fotografie w niezwykłych metalowych ramkach, które wykonał mój przyjaciel Hans mieszkający w Bangor.

Peter uniósł większe zdjęcie. Przedstawiało Adama oraz jego załogę na tle *Swobody*.

- Powiesz mi, kto jest kim?

Wiedząc, że im szybciej Peter zacznie rozpo-

znawać bliskich mi ludzi, tym lepiej, podeszłam do stolika i wskazując palcem twarze za szkłem, dokonałam prezentacji:

- To jest mój mąż Adam, to Cooper, obok niego Jack, dalej Tonof i Benjie. Adam był kapitanem, właścicielem łodzi, Cooper jego zastępcą. Tonof i Jack to doświadczeni rybacy, którzy wypływali dla zarobku. Benjie natomiast jest bratem Coopera.

- To jeszcze dzieciak - zauważył Peter.

- Gdy było robione to zdjęcie, miał czternaście lat. Teraz ma dwadzieścia.

Przez chwilę Peter przyglądał się mężczyznom na fotografii, po czym odstawił je na miejsce i podniósł drugą, mniejszą, która przedstawiała mnie i Adama w pierwszym roku naszego małżeństwa. Adam stał za mną, obejmując mnie w pasie. Wiatr rozwiewał mam jasne włosy. Byliśmy zdrowi, opaleni, uśmiechnięci, pozbawieni trosk, po prostu nieśmiertelni.

- Przystojny był z niego facet.

- Bardzo.

- Jak zginął?

Korciło mnie, aby ponownie mu przypomnieć, że jego klientem ma być Cooper, nie ja, ale nagle uświadomiłam sobie, że wszelkie, nawet mało ważne informacje mogą okazać się przydatne. Poza tym nie miałam niczego do ukrycia. O śmierci Adama pisały gazety. Nawet byłam zdziwiona, że mama nie opowiedziała o wszystkim Peterowi.

- Utonął. To był nieszczęśliwy wypadek. Wybrali się kutrem na ryby. Coś się oderwało, jakiś

kawałek sprzętu, i uderzyło Adama w głowę. Zanim załoga się spostrzegła, wpadł nieprzytomny do wody. Nie zdołali go uratować.

Peter ponownie utkwiał we mnie wzrok. Przebił się przez warstwę ochronną, za którą chowałam się od śmierci Adama, i odsłonił wciąż niezagojoną ranę. Pewnie syknęłabym z bólu, gdyby po chwili nie przeniósł spojrzenia z powrotem na fotografię.

Jego twarz niczego nie zdradzała, gdy w milczeniu wpatrywał się w zdjęcie. W końcu odstawił je na miejsce. Kiedy odwrócił się, nagle zdałam sobie sprawę, jak blisko siebie stoimy. Oderwałam od niego oczy.

- Napiję się jeszcze herbaty - wymamrotałam.

Zerknąwszy na pusty kubek, który trzymałam w ręce, skierowałam się pośpiesznie do kuchni. Chciałam uciec, być sama choć przez moment. Myśląc, że mi się udało, odetchnęłam głęboko, gdy wtem usłyszałam za plecami głos Petera:

- Masz może kawę?

Podskoczyłam.

- Oczywiście.

- Nie chciałam cię fatygować, ale chętnie bym...

- Żaden kłopot - przerwałam mu. Marzyłam tylko o tym, żeby wrócił do salonu. Płonne nadzieje. Chociaż stałam do niego tyłem, instynktownie wyczuwałam jego obecność w kuchni.

Raz po raz ciarki przebiegały mi po szyi. Potarłam ją prawą ręką; lewą postawiłam czajnik na ogniu i sięgnęłam po puszkę z kawą.

- Boli cię szyja?

- Nie. - Cofnąwszy rękę, wsypałam ziarna do młynka.

- Ładnie tu... - Peter rozglądał się z zainteresowaniem. - Ciepło i przytulnie.

Obejrzałam się przez ramię.

- Też tak uważam.

- Pewnie na początku kuchnia wyglądała zupełnie inaczej?

Uśmiechnęłam się na samo wspomnienie. Byłam załamana, gdy po raz pierwszy oglądaliśmy ten dom.

- Wyglądała tragicznie - przyznałam. - To było najbrzydsze pomieszczenie w całym domu. Zdarliśmy stare podłogi i tapety, wyrzuciliśmy stary sprzęt i przeprowadziliśmy gruntowny remont. Nie zależało mi na luksusach, lecz na ładnej, funkcjonalnej kuchni. Mam podstawowe sprzęty i to mi wystarczy. Nawet wykwinny obiad można przygotować na zwykłej kuchence.

- A kanapkę z tuńczykiem?

Trochę mnie zamurowało. Kanapkę?

- Słucham?

- Nie zatrzymywałem się nigdzie po drodze - wyjaśnił, uśmiechając się nieśmiało. - Od śniadania nie miałem nic w ustach, a śniadanie jadłem przed siódmą. Jeśli masz w domu puszkę tuńczyka i odrobinę majonezu, to... Właściwie sam mogę sobie zrobić kanapkę. Albo jak dasz mi widelec, to zjem tuńczyka prosto z puszki.

- Aż tak jesteś głodny?
- Koszmarnie.
- Dlaczego od razu nie powiedziałaś?
- Dopiero co przyjechałem. Nie chciałem być niegrzeczny.
- A teraz nabrałeś odwagi?
- To przez tę kuchnię. Poczułem się tu tak... swojsko.

Przyjrzałam mu się uważnie: potargane włosy, lekki zarost ocieniający policzki, szczupłe ciało, od którego unosił się zapach świeżości... Naprawdę mógł się podobać. I podobał mi się. Wzdrygnęłam się. Przecież kochałam Adama. Kiedy żył, było nam razem cudownie; po jego śmierci zostały mi wspomnienia. I to mi wystarczy.

Peter Hathaway przyjechał do Maine wyłącznie w jednym celu: żeby zająć się obroną Coopera. Im szybciej do tego przystąpi, tym łatwiej będzie mi zaakceptować jego obecność.

- Zaraz ci coś przygotuję - powiedziałam dziwnie zmienionym głosem, odwracając się tyłem.
- Tylko cofnij się trochę...

Usłyszałam, jak wyciąga spod stołu taboret. Taboret zaskrzypiał. Psiakość, wołałabym, żeby Peter usiadł dalej, przy drugim końcu stołu. Bo z miejsca, w którym się teraz znajdował, mógł obserwować każdy mój ruch.

Starając się nie zwracać uwagi na dużą ciemną postać, którą widziałam kątem oka, skupiłam się na pracy.

- Opowiedz mi o Cooperze - poprosił.
- Odczekałam, aż ucichnie młynek do kawy.
- Dobrze - rzekłam w zamyśleniu. - Od czego by zacząć?
- Na przykład, jak długo się znacie?
- Od dziewięciu lat. Był jedną z pierwszych osób, które Adam i ja poznaliśmy po naszej przeprowadzce z Filadelfii.
- Dlaczego się tu przenieśliście?
- Chciałam lepić w glinie, a Adam marzył o łowieniu ryb.
- Czy Adam pochodził z równie bogatej rodziny?
- Wsypałam zmieloną kawę do ekspresu.
- Myślałam, że chcesz się dowiedzieć jak najwięcej o Cooperze.
- Owszem. Zaraz do niego dojdziemy.
- Zawsze wybierasz okrężną drogę?
- Okrężną? Nie. Jeżeli mam bronić Coopera, w dodatku za twoje pieniądze, muszę znać osoby z jego otoczenia.

Zmarszczyłam czoło. Nie bardzo rozumiałam, jak się ma pochodzenie Adama do obrony Coopera. Nawet nie próbowałam ukryć swojego sceptycyzmu. Po chwili jednak przestałam się nad tym zastanawiać. Trudno mi było się skupić na czymkolwiek, kiedy Peter siedział tuż obok. Wygodnie rozparty przy kuchennym stole wcale nie wyglądał jak znakomity, zarabiający krocie adwokat. W wiejskiej kuchni, dziesiątki kilometrów od najbliższego

dużego miasta, renomowani prawnicy raczej nie czują się jak u siebie w domu. Gdyby nie rekomendacja mojej matki, pewnie zaczęłabym wątpić, czy Peter Hathaway rzeczywiście jest jednym z najlepszych karnistów na wschodnim wybrzeżu.

Może dostrzegł wahanie malujące się na mojej twarzy, bo ponownie skupił się na Cooperze.

- Wspomniałaś, że był zastępcą kapitana. To Adam go zatrudnił?

- Tak. Adam miał łódź i dobre chęci, ale brakowało mu doświadczenia. Cooper zaś spędził na morzu pół życia. To był bardzo dogodny układ.

Nalawszy wody do ekspresu, włączyłam go, po czym wytarłam ręce o wiszący na ścianie ręcznik w kwiatki.

- Cooper nie miał własnej łodzi?

- Nie. Zawsze pracował u innych.

- Dlaczego? Nie stać go było na...

- Stać - odparłam, wyjmując z szafki puszkę tuńczyka. - Cooper nie jest biednym człowiekiem. Żyje skromnie z wyboru, nie z konieczności.

Czajnik zagwizdał. Odstawiwszy na bok tuńczyka, zakręciłam gaz i sięgnęłam po puszkę z herbatą. Zupełnym przypadkiem, bo w środku były torebki o różnych smakach, wyciągnęłam herbatę rumiankową. Dobrze, pomyślałam; rumianek działa uspokajająco. Wrzuciłam torebkę do kubka, napełniłam kubek wrzątkiem, po czym trzymając torebkę za sznurek, zaczęłam ją nerwowo podnosić i zanurzać, podnosić i zanurzać. Cisza, jaka zapadła,

całkiem wytrąciła mnie z równowagi. Niewiele brakowało, bym westchnęła z ulgą, kiedy ponownie rozległ się głos Petera.

- Czyli Cooper pracował dla was. Polubiliście go...

- Bardzo. To wyjątkowo spokojny człowiek, a zarazem inteligentny i obowiązkowy.

- Gdzie był w chwili śmierci Adama?

Zmrużyłam oczy. Może jestem nadwrażliwa, ale nie podobało mi się to pytanie. Peter musiał wyczytać to z mojego spojrzenia, bo podniósł rękę.

- Przepraszam. To głupio zabrzmiało. Wcale nie chciałem go o nic oskarżać. Po prostu usiłuję rozeznaczyć się w sytuacji. - Na moment zamilkł. - Czy tego feralnego dnia Cooper znajdował się na łodzi?

- Tak. - Wyjęłam z szafki miseczkę. — Przeżył to równie ciężko, jak ja. Chociaż nie mógł zapobiec wypadkowi, winił się za śmierć Adama. - Podeszłam do lodówki. - Byli sobie bardzo bliscy. Cooper nie należy do ludzi demonstrujących uczucia, ale kochał Adama jak brata.

- A jaki był jego stosunek do ciebie?

Trzymając otwarte drzwi lodówki, szukałam słowa, które najlepiej odzwierciedlałoby nasz wzajemny szacunek i sympatię.

- Braterski - rzekłam w końcu.

- I taki pozostał? - spytał Peter.

Zamknawszy lodówkę, popatrzyłam mu prosto w oczy. Zależało mi, aby uwierzył w to, co powiem,

gdyż moim zdaniem prawda przemawiała na korzyść Coopera.

- Jeśli pytasz, czy sypiam z Cooperem, odpowiedź brzmi: nie. Czy za nim przepadam? Absolutnie tak. Od sześciu lat jest moją podporą. Ale w naszych relacjach nie ma i nigdy nie było cienia erotyzmu.

- Dlaczego?

Zdumiała mnie jego bezpośredniość.

- Bo nie.

- To mnie nie zadowala. Na tym zdjęciu w salonie Cooper wydaje się jeszcze przystojniejszy od Adama. Więc...? Jest żonaty?

- Nie.

- Woli mężczyzn?

- Nie!

- Skąd wiesz?

- Bo od czasu do czasu spotyka się z kobietami.

- Skąd wiesz?

Mówiła mi o tym Swansy, lecz skąd ona wiedziała, było dla mnie zagadką. Swansy jednak nigdy się nie myliła.

- Po prostu wiem i już - rzekłam.

- I nigdy nie próbował cię poderwać?

Wpatrywałam się w niego bez słowa, nie kryjąc irytacji.

- Dlaczego ciągle wracasz do tego tematu?

- Przyjrzyj się sobie w lustrze.

- Co to ma do rzeczy?

- Dwoje atrakcyjnych, wolnych ludzi żyjących

w cichym odosobnionym zakątku, gdzie zimy są długie i ciężkie... Gdybym był w skórze Coopera, na pewno próbowałbym cię zdobyć.

Serce znów zabiło mi mocniej.

- No dobrze, ale co to ma do rzeczy? - spytałam szybko. - Czemu pytasz, czy łączy nas coś więcej niż przyjaźń? Jakie to ma znaczenie w tej całej sprawie? Przyczyni się do oczyszczenia Coopera z zarzutów?

Nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Staram się ustalić wasze wzajemnie relacje. Dowiedzieć się, co was łączy.

- Szczerza i serdeczna przyjaźń. To wszystko.

Jeszcze przez chwilę bacznie mi się przyglądał. Miałam wrażenie, że przenika mnie na wylot, że dociera gdzieś głęboko, do miejsca, które dotąd znał tylko Adam. Jego oczy zadawały dziesiątki pytań, badały teren, którego od sześciu lat nikt nie tykał.

Nie rozumiałam tego. Od śmierci Adama poznałam wiele osób, z wieloma się zaprzyjaźniłam, ale żadna nie wywoływała we mnie tylu emocji. Trochę mnie to przerażało. Peter Hathaway był przecież zupełnie obcym człowiekiem, jednak wiele od niego zależało. Promieniował mocą i wewnętrzną siłą. Pod jego spojrzeniem czułam się obnażona.

Ponownie zanurkowałam do lodówki. Kiedy się od niej odwróciłam, trzymałam w ręku słoik majonezu, główkę sałaty, chleb. Wiedziałam oczywiście, że nie zdołam się ukryć przed wzrokiem Petera, ale chciałam przynajmniej spróbować.

Okazało się, że Peter wcale na mnie nie patrzy. Wpatrywał się w krajobraz za oknem. Skierowałam tam spojrzenie, pewna, że zobaczę nadchodzącego Coopera. Obiecał mi wczoraj, że do mnie wpadnie. To znaczy, wymusiłam na nim tę obietnicę.

Jednak nie. Na zewnątrz nikogo nie było.

- Gdzie Cooper mieszka? - spytał Peter, nie odwracając się od okna.

Wrzuciłam tuńczyka do miski i zaczęłam go rozdrabniać.

- W miasteczku. Pięć minut stąd samochodem, kwadrans na piechotę.

- Sam mieszka?

- Nie. Z Benem.

- Ma tu jeszcze jakichś krewnych?

- Nie. - Nie podnosiłam oczu znad miski, w której mieszałam tuńczyka z majonezem. - Jego ojciec zmarł, kiedy Cooper miał siedem czy osiem lat. Siostra wyjechała, kiedy matka po raz drugi wyszła za męża... - Na moment zamilkłam. - Gwoli ścisłości, Benjie nie jest rodzonym bratem Coopera. To syn jego matki i jej drugiego męża.

- Co z nimi?

- Nie żyją.

- Oboje?

- Tak. Zginęli w pożarze własnego domu.

- Kiedy to się stało?

- Mniej więcej rok przed tym, jak Adam i ja przeprowadziliśmy się tutaj.

- Gdzie wtedy był Cooper?

Widelec osunął mi się z głośnym brzękiem.

- Na łodzi. Byli daleko na północy. Straż graniczna skontaktowała się z nim dopiero po dwóch dniach. Nie, Cooper nie miał nic wspólnego z pożarem. Dom podpalił Arthur.

Peter słuchał z zainteresowaniem.

- Arthur?

- Ojczym Coopera. Był alkoholikiem. Kiedy nie pił, znęcał się nad żoną. Tamtego wieczoru robił jedno i drugie. Lekarz stwierdził, że May Jean była nieprzytomna, kiedy wybuchł pożar.

- Co go spowodowało?

- Papieros. Arthur zasnął z papierosem w uszach. Ani on, ani jego żona nie mieli szansy się uratować.

- A Benjie?

- Przed wypłynięciem w rejs Cooper kazał mu przeprowadzić się na kilka dni do przyjaciela. Często tak robił, kiedy wypływał na dłużej niż dzień czy dwa. Starał się chronić brata przed pięściami Arthura.

Peter zmarszczył czoło.

- Dlaczego Cooper pozwalał ojczymowi na takie zachowanie?

Zdumiała mnie złość i pretensja w jego głosie.

- A jakie miał wyjście? - spytałam gniewnie.
- Rozmawiał z matką, błagał ją, żeby wniosła oskarżenie przeciwko mężowi. Nie chciała. Nie chciała też sama od niego odejść. Więc jedyne, co Cooper mógł robić, to strzec brata. - Z coraz

większą siłą mieszałam tuńczyka. - Cooper naprawdę nie miał łatwego życia. Podziwiam jego hart ducha.

Zaległa cisza. Zerknęłam ukradkiem na Petera. Stał zamyślony, spoglądając przez okno.

- Rozumiem, że po śmierci twojego męża Cooper przejął jego biznes? - spytał po chwili

- Zgadza się.

- Nadal jesteś właścicielką łodzi?

- Nie. Trzy lata temu przekazałam ją notarialnie Cooperowi. Tyle czasu trwało, zanim zgodził się ją przyjąć.

- Dziwne.

- Nie, jeśli się zna Coopera, To najbardziej lojalny człowiek, jakiego znam. Wystarczy mu to, co ma; nie dąży do pomnożenia swych dóbr. - Sięgnęłam po pieczywo. - Dlatego te wszystkie zarzuty są tak absurdalne. Cooper Drake ani nie potrzebuje, ani nie chce więcej pieniędzy. Może raz czy dwa razy dostał mandat za przekroczenie szybkości; poza tym nigdy nie złamał prawa. Starannie dobiera przyjaciół i nie zadaje się z gangsterami. On naprawdę nie miał nic wspólnego z przemytem tych brylantów.

- Znaleziono je na jego łodzi. W jego kabinie. W torbie na brudną bieliznę, na której widniało jego nazwisko.

Serce zabiło mi mocniej.

- Rozmawiałaś z kimś, prawda?

Peter skinął głową.

- Tak. Z Hummelem, zastępcą prokuratora generalnego. Mamy w Nowym Jorku wspólnego przyjaciela. Kiedy wspomniałem mu, że poproszono mnie, abym zajął się obroną Coopera, opowiedział mi pokrótce o całej sprawie.

Pewnie dlatego, przemknęło mi przez myśl, machnęłam ręką na te złe przeczucia, jakie od początku nie dawały mi spokoju. Po prostu prawnik mający wpływy i dobre znajomości był na wagę złota.

- I co? - spytałam ostrożnie. - Prokuratura liczy na wygraną?

Wzruszył ramionami.

- Z tego, co Hummel mówił, nie mają niezbitych dowodów. Przynajmniej takie jest moje zdanie.

- Ale brylanty, jak sam zauważyłeś, faktycznie znaleziono na łodzi Coopera...

- Każda uzasadniona wątpliwość przemawia na korzyść oskarżonego. Wtedy zapada wyrok uniewinniający.

- Myślisz, że zdołasz taką wskazać? To znaczy wątpliwość, która przemówi na korzyść Coopera?

- Jeżeli taka istnieje, to na pewno.

- Ale jak sądzisz...

- Zanim cokolwiek będę sądził, muszę porozmawiać z Cooperem.

- Czy to znaczy, że podejmiesz się obrony?

- Najpierw muszę porozmawiać z Cooperem.

Czyli wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. To znaczy, do Coopera. Ogarnął mnie niepokój.

- Dlaczego?

- Muszę go poznać, wyczuć go, uwierzyć jemu i w niego. Jeżeli się okaże, że nie potrafimy się dogadać, że mamy całkiem inne spojrzenie na obronę, wtedy... - Wykonał ręką nieokreślony ruch.

Wyjęłam z opakowania dwie kromki pieczywa, ułożyłam je na talerzu, jedną posmarowałam pastą tuńczykową, przykryłam liściem sałaty, na to położyłam drugą kromkę. Całość przecięłam po przekątnej, tworząc dwa trójkąty, następnie przysunęłam talerz w stronę Petera. Natychmiast zaczął jeść. Na to liczyłam. Głodny i zły prawnik świetnie się sprawdzał na rozprawie; teraz potrzebowałam prawnika sytego i przychylnie usposobionego.

Skrzyżowałam ręce na piersi.

- Jeśli dobrze rozumiem, specjalista od prawa karnego broni przestępców...

Podniósł palec, przerywając mi w pół zdania.

- Podejrzanych, a nie przestępców.

- No dobrze, podejrzanych. Niektórzy z nich nie popełnili żadnego przestępstwa. Są niewinni. I mają uzasadniony żal, że zostali bezpodstawnie oskarżeni... Pewnie czasem wylewają złość na ciebie?

- Zdarza się.

Kontynuowałam po chwili, starannie dobierając słowa.

- Pewnie zdarza się też, że taki człowiek, niewinnie posądzony o dokonanie przestępstwa, uważa, że jesteś częścią tego całego układu, i traktuje cię jak wroga?

Peter zatrzymał rękę z kanapką w połowie drogi do ust i przyjrzał mi się uważnie.

- Jill, próbujesz coś mi powiedzieć?

- Ja? -- spytałam nieco piskliwym głosem. Może wystraszyła mnie spostrzegawczość mojego rozmówcy, a może sposób, w jaki wymówił moje imię; w każdym razie wiedziałam, że czeka mnie ciężka przeprawa.

- Domyślałam się, że Cooper jest wściekły?

Wahałam się, czy nie skłamać, ale doszłam do wniosku, że to bez sensu.

- Tak.

- Odrząca wszelką pomoc?

- Podać ci mleko do kawy czy wolisz czarną?

- Jill...

Coraz trudniej było mi ukrywać niepokój.

- Cooper nie chce przyjąć żadnej pomocy.

- Czy on wie, że tu jestem?

- Oczywiście, że wie. Nie prosiłabym cię o przyjazd, gdybym z nim o tobie nie rozmawiała.

Peter włożył do ust ostatni kęs. Kiedy go przełknął, wbił we mnie domyślne spojrzenie.

- To znaczy, wspomniałaś mu, że przyjadę do Maine, ale on sprzeciwia się, abym go bronił. Tak?

- Cooper czuje się skołowany. Nie rozumie, jak ważne jest, aby mieć dobrego prawnika.

- Zgodził się ze mną spotkać?

- Tak.

Przyjdzie tu, do ciebie?

- Tak.

- Kiedy?

- Po południu. Nie umiał podać dokładnej godziny. Ałe obiecał, że wpadnie.

Bez słowa Peter sięgnął po torbę z pieczywem. Wciąż był głodny. Wyjął kolejne dwie kromki chleba i przyrządził sobie identyczną kanapkę jak ta, którą przed chwilą spałaszował. Obróciwszy się na stołku, otworzył drzwi lodówki i wyjął pojemnik z mlekiem. Nagle wstał; rozglądał się za szklanką.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze. Jego bliskość sprawiła, że poczułam kłucie w piersi. Wskazałam ręką szafkę ze szklankami. Ręka mi drżała. Czym prędzej ją opuściłam i zacisnęłam na blacie. Peter podszedł krok bliżej, wyjął szklankę, ale nie odsunął się. Milczał.

Dzieliły nas najwyżej dwa centymetry. Prawie się stykaliśmy. Moje ramię niemal dotykało jego klatki piersiowej, ręka jego brzucha, biodra jego bioder. Czułam we włosach jego oddech, chłonełam nozdrzami cudowny zapach wody kolońskiej. Najmocniej jednak odczuwałam bijący od niego żar; przenikał przez ubranie, podniecał, kusił.

Rusz się, powiedziałam do siebie, lecz nie potrafiłam wykonać kroku. Polecenie nie było w stanie przedrzeć się z głowy do nóg; widocznie po drodze natrafiało na zbyt wiele przeszkód. Więc stałam jak kołek, bezradna, bezsilna, z trudem opierając się pożądanemu. Oddech miałam płytki, serce waliło mi młotem. Wpatrując się w blat, czekałam, aż Peter się odezwie. W końcu uznałam, że dłużej nie mogę

czekać, że sama muszę wyrwać się spod jego uroku. Byłam pewna, że Peter Hathaway rzucił na mnie zaklęcie. Przecież nigdy nie reagowałam na mężczyzn w taki sposób.

- Peter?

- Hm?

To „hm” nie było powiedziane tonem ironicznym, szelmowskim ani uwodzicielskim. Powiedziane było niewinnie, jakby z zadumą. I dlatego zabrzmiało niezwykle seksownie.

- Peter? - powtórzyłam, lekko zbita z tropu.

- Słucham?

Chciałam coś powiedzieć, coś wyjaśnić, ale nie mogłam się skupić.

- Bo widzisz... - Boże! Na pewno chodziło mu o Coopera. Skup się! - Musimy uzgodnić parę rzeczy, zanim pojawi się Cooper.

Wolno, z ociąganiem, Peter cofnął się w głąb kuchni. Brakowało mi tchu. Nie przejmując się tym, co on sobie o mnie pomyśli, zwiesiłam głowę i wzięłam głęboki oddech, dostarczając płucom powietrza, którego tak się domagały. Kiedy w końcu podniosłam wzrok, Peter stał zwrócony do mnie tyłem. Nalewał mleko do szklanki.

Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie opanowanego, jakby nasza fizyczna bliskość, która mnie całkiem wytrąciła z równowagi, jego zupełnie nie poruszyła. Jednak po chwili spostrzegłam, że plecy ma nienaturalnie sztywne, a głowę trzyma pochyłą, choć już dawno skończył nalewać mleko.

Ha! Czyli wcale nie był tak opanowany, za jakiego chciał uchodzić. Poczułam się lepiej. Różnie.

Korzystając z okazji, przystąpiłam do wyjaśnień.

- Jest kilka rzeczy, które musimy omówić - rzekłam stanowczym głosem. - Po pierwsze, wszystkie rachunki mają być kierowane do mnie. Nie chcę, żebyś w obecności Coopera wspominał o pieniądzach. Po drugie, zależy mi na jak najlepszej obronie. Może zarzuty zostaną wycofane i nie dojdzie do rozprawy? Tak czy inaczej Cooper jest niewinny; musi zostać oczyszczony z zarzutów. Po trzecie, nie obchodzi mnie, co Cooper o tym myśli, czy zechce z tobą współpracować; chcę tylko, żebyś podjął się jego obrony.

Peter obejrzał się przez ramię.

- Jesteś pewna? - spytał spokojnie.

Wiedziałam, o co mu chodzi: o to, co przed chwilą oboje poczuliśmy.

Zastanawiałam się nad tym, ale doszłam do wniosku, że panuję nad sytuacją; że wszystko mam pod kontrolą. Nie przeczę, Peter Hathaway podobał mi się jako mężczyzna, wierzyłam jednak, że zagrożenie minęło. Że miłość do Adama doda mi sił.

- Absolutnie - odparłam. - Nie wyobrażam sobie innego obrońcy.

- Dlaczego?

Mogłam powiedzieć, że sprawia wrażenie człowieka inteligentnego, uczciwego, elokwentnego, który sumiennie wypełnia swoje obowiązki. I przy-

puszczalnie taki był. Ale oczami wyobraźni zobaczyłam go z Cooperem na sali sądowej. Dwóch niesamowicie przystojnych facetów. Podejrzewam, że żadna z kobiet zasiadających na ławie przysięgłych nie zdoła się im oprzeć.

Oczywiście nie zamierzałam mówić tego na głos.

- Bo mama twierdzi, że jesteś najlepszy. A ja ufam jej opinii.

Przez chwilę panowała cisza.

- W porządku - oznajmił Peter.

Wezbrała we mnie nadzieja.

- A więc podejmiesz się obrony?

- Tak.

- Ale... Ale jeszcze nie rozmawiałeś z Cooperem. A wcześniej mówiłeś, że...

- Pamiętam, co mówiłem. Zmieniłem zdanie.

- Dlaczego?

- Bo mnie fascynujesz.

Wiedziałam, że oczy robią mi się wielkie jak spodki.

- To raczej kiepski powód - rzekłam.

- Mylisz się. - Wpatrując się w moją twarz, podszedł bliżej. - Z informacji, które zdobyłem od ciebie, twojej mamy i Hummela, podejrzewam, że sprawa może się okazać prawdziwym wyzwaniem. Cooper nie jest bezdusznym draniem, skoro ty się z nim przyjaźnisz. A mnie przyda się wypoczynek od miasta. Czyli wszystko się idealnie składa. Zaproponowałam mi gościnę... - Zniżył głos. - Chętnie skorzystam.

Nie podobał mi się jego cichy ton i nie podobał wyraz oczu. Wyzierał z nich głód. Tak patrzy na kobietę mężczyzna, który wie, czego chce. I wie, jak to osiągnąć. Mężczyzna, który nie cofnie się przed niczym, żeby zdobyć upragniony cel.

Samemu pożądaniu umiałabym się oprzeć, ale na twarzy Petera malowała się również szlachetność i łagodność. To było znacznie bardziej niebezpieczne. Miałam słabość do uczciwych, wrażliwych mężczyzn. Adam był taki. Taki też był Cooper, który - dzięki Bogu! - wybrał sobie ten moment, aby pchnąć drzwi kuchenne i ze skwaszoną miną wejść do środka.

Najpierw łypnął na mnie okiem, po czym przeniósł spojrzenie na Petera. Nagłe ogarnęło mnie dziwne uczucie, jakby ważyły się moje losy, a nie los Coopera.

Nie ruszając się z miejsca, Peter wyciągnął rękę na powitanie. Cooper zerknął na nią, potem na mnie i wreszcie na prawnika. Wstrzymałam oddech. Cooperowi Peter mógł pomóc, natomiast mnie jego obecność mogła jedynie zaszkodzić.

Po chwili Cooper uściśnął wyciągniętą dłoń. Klamka zapadła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Siedziałam na stołku, w milczeniu obserwując mężczyzn przy stole. Chociaż proponowali, żebym się do nich przysiadła, odmówiłam. Wolałam, żeby porozmawiali beze mnie. Żeby się poznali, nawiązali kontakt. Przynajmniej tak to sobie tłumaczyłam. Oczywiście mogłam wyjść z kuchni i zostawić ich samych, ale...

Nie zrobiłam tego z dwóch powodów. Po pierwsze, musiałam pilnować, żeby Cooper nie wyciął jakiegoś głupiego numeru. A po drugie, chciałam zobaczyć Petera w akcji.

W każdym razie siedząc na stołku, czułam się jak widz, a nie uczestnik. Dystans dzielący mnie od

Petera pozwolił mi się odprężyć. Wpływ na to miała również obecność Coopera, mojego wiernego, lojalnego druha. Cooper był w paskudnym humorze. Przyszedł, bo obiecał mi, że wpadnie, ale wyglądał na zmęczonego i spiętego. Odpowiadał zwięźle na wszystkie pytania, lecz sam z siebie nie udzielał żadnych dodatkowych informacji.

Podziwiałam Petera. Niezrażony postawą Coopera, spokojnym, opanowanym głosem zadawał kolejne pytania. Przypomniały mi się słowa Iana, że Peter to najwyższej klasy fachowiec. Chyba nie było w tym cienia przesady. Prowadził rozmowę w sposób rzeczowy, nie zbaczał z tematu, nie komentował odpowiedzi, nie uśmiechał się pod nosem, nie zadawał pytań niemających bezpośredniego związku ze sprawą. Doskonale wyczuwał Coopera. Zapewne nieraz stykał się z podobnymi klientami; rozumiał, że Coopera nie wolno poganiać, zmuszać do czegokolwiek. Myślę, że dlatego robił notatki, zamiast nagrywać rozmowę na dyktafon, który zauważyłam w jego teczce, gdy przyniósł ją z samochodu.

Ponieważ znałam fakty, słuchałam tylko jednym uchem. Załoga *Swobody* wypłynęła na dwutygodniowy połów w stronę Nowej Funlandii; po tygodniu zatrzymali się w Grand Bank, żeby uzupełnić zapasy jedzenia i paliwa; do Maine wrócili w przewidzianym terminie. Identyczną trasę odbywali wielokrotnie, jednak tym razem, kiedy dopłynęli do portu, na pokład weszli amerykańscy celnicy.

- Wiedziałaś o brylantach? - spytał neutralnym tonem Peter.

- Nie.

- Niczego się nie domyślałaś?

- Nie.

- Znalezione je w twojej kabinie. Jeśli nie wiesz, skąd się wzięły, może ktoś z załogi coś wie?

- Wątpię. Moi pracownicy to uczciwi, bogobojni ludzie.

- Może któryś z nich cienko przedzie?

- Wszyscy cienko przędą. Gdyby mieli forszę, nie poławialiby ryb. To potworna harowa.

- W takim razie może kogoś dotknął nagły kryzys finansowy? Może ktoś na gwałt potrzebuje gotówki?

- Wszyscy jej potrzebujemy - odparł Cooper, wykrzywiając usta w ironicznym uśmiechu.

Miałam ochotę chwycić go za ramiona i mocno nim potrząsnąć. Specjalnie utrudniał Peterowi pracę. Ja bym nie potrafiła zdobyć się na taką cierpliwość. Po chwili Peter powtórzył pytanie, tonem zadumanym, a nie dociekliwym.

- Czy w ostatnim czasie ktoś z członków załogi nieoczekiwanie nie znalazł się w wyjątkowo trudnej sytuacji finansowej?

- Nie mam pojęcia.

- A wiedziałbyś, gdyby tak było?

- Zapewne.

Peter zapisał coś w notesie. Z mojego punktu

obserwacyjnego nie byłam w stanie nic odczytać, więc jedynie śledziłam ruchy jego ręki. Dziwnie trzymał pióro. Ciekawe, jakim był studentem? Przypuszczalnie wybitnym. A w ogóle co mi przyszło do głowy, żeby się nad tym zastanawiać?

Podzieliwszy kartkę na kilka części, zaczął wypytywać o poszczególnych załogantów.

Znów słuchałam półuchem, a myślami błądziłam gdzie indziej.

Miałam rację: wizualnie Cooper i Peter tworzyli niezwykle tandem. Obaj byli wysocy, obaj piekielnie przystojni. Cooper w podkoszulku, flanelowej koszuli i spranych dżinsach sprawiał wrażenie bardziej szorstkiego. Włosy miał ciemniejsze, zarost silniejszy, spojrzenie ponure. W pierwszym odruchu chciałam przypisać tę posępność kłopotom, z jakimi się obecnie borykał, ale to nie była prawda; po prostu taką miał naturę. Był niesamowicie skryty. Od dziewięciu lat mimo łączącej nas przyjaźni nie zdołałam poznać jego tajemnic. Wiedziałam, że o pewnych sprawach Cooper nie życzy sobie rozmawiać. Ja też o niektórych rzeczach wolałam nie mówić. Może dlatego, że potrafiliśmy to uszanować, tak świetnie się rozumieliśmy.

Peter natomiast stanowił dla mnie zagadkę. O ile domyślałam się, co czuje teraz Cooper - złość, frustrację, niechęć do współpracy - o tyle nie miałam najmniejszego pojęcia, jak Peter to odbiera.

Ale nic dziwnego. Po pierwsze, dopiero się poznaliśmy, a po drugie, kontrolował wyraz twarzy; nie zdradzał emocji.

Oczywiście parę rzeczy potrafiłam odgadnąć. Na przykład, że mu się podobam. Powiedział, że go fascynuję. Nie sądzę, aby fascynował go mój umysł. Peter Hathaway był mężczyzną z krwi i kości, stuprocentowym samcem. Podejrzewam, że jego sprawność seksualna dorównywała sprawności intelektualnej. Bez względu na to, czy siedział, czy stał, widać było, że czuje się dobrze w swoim ciele.

Helaine nazwała go pożeraczem damskich serc. Z drugiej strony, skąd mogła to wiedzieć? Ludzie często rozsiewają bezpodstawne plotki, najczęściej na temat cudzego życia prywatnego. Może akurat w tej plotce nie ma ziarna prawdy? Może Peter Hathaway wcale nie skacze z kwiatka na kwiatek? Może przeżył bolesny rozwód albo porzuciła go narzeczona? Może ma na Manhattanie kochankę, tę samą od lat? Albo w ogóle zniechęcił się do kobiet i żyje w celibacie? A może jest maminsynkiem?

Wszystko, co go dotyczyło, było znakiem zapytania. Nawet uśmiech, jaki mi posłał, był przekorny, tajemniczy, nieodgadniony.

- Hutter Johns nigdy by tego nie zrobił. - Głos Coopera brutalnie wdarł się w moje myśli. - Owszem, pracuje u mnie stosunkowo krótko, ale to jeden z najbardziej szczerych i otwartych ludzi, jakich znam.

- Czasem szczerłość bywa zwodnicza — mruknął Peter. - Można się przeliczyć.

- Nie w tym wypadku - ostro zareagował Cooper. - Hutter nigdy by mnie nie oszukał - rzekł z przekonaniem. Zaciśnął usta.

Sięgnawszy po dzbanek z kawą, podeszłam cicho do stołu i stanęłam przy Cooperze. Kiedy położyłam rękę na jego ramieniu, popatrzył na mnie zdziwiony, jakby nie pamiętał o mojej obecności, po czym uśmiechnął się do mnie po swojemu, łagodnie. Dolałam mu kawy, następnie dolałam Peterowi. Potem odstawiłam dzbanek na rozgrzaną płytę i wróciłam do Coopera.

Peter popatrzył na mnie znad brzegu kubka. Nie skomentował mojej zmiany miejsca, może nawet jej nie zauważył. Cichym głosem, w którym pobrzmiwała jednak coraz większa stanowczość, kontynuował rozmowę.

- Jeśli ani ty, ani nikt z załogi nie maczał palców w przemyście brylantów, to w jaki sposób trafiły one na pokład *Swobody!*

- Nie wiem - burknął Cooper.

- Nie masz żadnej teorii?

- Przypuszczam, że wniesiono je, kiedy cumowaliśmy w Grand Bank.

- Wniesiono? To znaczy, kto wniósł?

- Gdybym wiedział, nie siedziałbym tu teraz,

- A gdzie byś był?

- Na morzu. Łowiłbym ryby.

- Łódź została skonfiskowana - wyjaśniłam

Peterowi. - Załoga wystąpiła o zasiłek dla bezrobotnych. Wszyscy na tym tracą.

W oczach Petera dojrzałam błysk współczucia. Po chwili ponownie zwrócił się do Coopera.

- Dlaczego ktoś wybrał akurat *Swobodę!*

- Bo płynamy według ustalonego harmonogramu. Jesteśmy punktualni, spolegliwi i niezawodni. Nikt nigdy nie miał do nas żadnych zastrzeżeń.

- Aż do teraz.

Cooper nic nie odpowiedział. Ponieważ stałam za nim, nie widziałam jego twarzy, ale byłam pewna, że usta ma mocno zaciśnięte. Czułam bijącą od niego wściekłość, nad którą z trudem panował. Podejrzewałam, że jeszcze chwila i wyjdzie, trzaskając drzwiami, a na to nie mogłam pozwolić. Czym prędzej więc się za nim ujęłam.

- Cooper naprawdę jest niewinny. Znam go od dziewięciu lat; w tym czasie ani razu nie zrobił nic, do czego można by się przyczepić. Prowadzi rejestr, w którym szczegółowo notuje, dokąd wypływa, na jak długo, co złowił i w jakiej ilości. Władze portowe mają do niego pełne zaufanie. Ja również. Po prostu ktoś go wykorzystał, a my musimy odkryć, kto to był.

- Co proponujesz? - spytał Peter. - Masz jakiś pomysł?

- Chciałam cię spytać o to samo.

Wypił kilka łyków kawy, odstawił kubek na stół, odchylił się.

- Mogę porozmawiać z policją. Wprawdzie gliniarze są przekonani, że mają winnego, ale mogę im zasiać trochę wątpliwości. Zaszkozić nie zaszkodzi, ale czy pomoże? Wątpię. Nie sądzę, aby jeszcze raz chcieli przeprowadzić śledztwo. - Popatrzył na Coopera, potem na mnie. - Możemy sami to zrobić, trzeba by wynająć detektywa... Ale to kosztuje.

- Nie - sprzeciwił się Cooper. - Nie będziemy nikogo wynajmować.

Zacisnęłam rękę na jego ramieniu.

- Pomyślmy o tym - zwróciłam się do Petera.
- Co jeszcze możemy zrobić?

- Rozmawiać - odparł. - Z każdym, kto ma cokolwiek wspólnego z Cooperem i jego pracą. W pierwszej kolejności z członkami załogi. Każdemu z nich chciałbym zadać kilka pytań.

- Nie denerwuj się - powiedziałam cicho, wyczuwając, jak Cooper się spina. - Peter ma rację. Nawet jeśli nic nie wiedzą, mogą wystąpić jako świadkowie obrony.

- No widzisz? Chciałem uniknąć tego całego zamieszania.

- I co byś zrobił? Miałeś inne wyjście?

- Mogłem zwrócić się o pomoc do McHenry'ego.

- McHenry by sobie nie poradził. - Westchnęłam głośno. - Cooper, przecież już o tym rozmawialiśmy. McHenry załatwił ci zwolnienie za kaucją. Trwało to dwa razy dłużej, niż powinno.

Tak, podjąłby się twojej obrony. I masz rację, nie zadawałby pytań, nie zawracałby nikomu głowy. Ale nie wywalczyłby dla ciebie uniewinnienia. A przecież o to chodzi. Inaczej trafisz za kratki.

- Wiem - warknął zniecierpliwionym tonem Cooper.

Ale ja jeszcze nie skończyłam mówić. Czasem jak zacznę, to trudno mnie powstrzymać.

- Zbyt ciężko pracowałeś, żeby wszystko teraz zaprzepaścić. Nie pozwolę ci pójść do więzienia. Pomyślałeś o Benie? Co z nim będzie, jak cię zamkną? Co będzie ze mną? - Wbiłam oczy w Petera. - Uzasadniona wątpliwość, tak? To by wystarczyło, prawda? Trzeba przedstawić im uzasadnioną wątpliwość? - Ignorując dzwoniący telefon, ponownie zwróciłam się do Coopera: - Nie twierdzę, że to będzie łatwe, ale wierzę, że Peter potrafi oczyścić cię z zarzutów. Musisz jednak mu pomóc, wszyscy musimy z nim współpracować.

- Mógłbym w tym czasie łowić ryby...

- Oczywiście. A ja mogłabym lepić garnki. Ale to jest ważniejsze, Cooper. Chodzi o twoją wolność, o twoje życie.

- Moje życie? - mruknął pod nosem. - A czy ono jest cokolwiek warte?

Znów zabrzączał telefon.

- Nie opowiadaj bzdur, do jasnej cholery! Oczywiście, że jest! - krzyknęłam gniewnie. - Sam mnie o tym usilnie przekonywałeś, kiedy po śmierci

Adama nie chciało mi się żyć. A może mnie oszukiwałeś, co? Może tylko tak sobie gadałeś?

Przyglądał mi się uważnie. Nareszcie coś do niego zaczęło docierać.

- Słuchaj, Peter zna się na swojej robocie. Musimy jedynie z nim współdziałać. Błagam cię, Cooper. Nie opieraj się.

- On słono sobie liczy, Jill.

Telefon dzwonił natarczywie.

- To moje pieniądze. I tak nie mam z nimi co zrobić.

- Kup mieszkanie w mieście.

- Co?

- Mam powtórzyć?

- Chyba zgłupiałeś! Nie chcę mieszkania, a tym bardziej mieszkania w mieście!

- Teraz nie. Ale może za rok lub dwa ci się odmieni.

- Nic się nie odmieni.

- Nigdy nie wiadomo.

- Wiadomo!

Cholerny telefon! Przeklinając pod nosem, przeszłam na drugi koniec kuchni i podniosłam słuchawkę.

- Halo!

- Jill?

Policzyłam w myślach do pięciu, żeby się uspokoić.

- Cześć, Samantha - oznajmiłam, siląc się na pogodny, beztroski ton.

- I co? Przyjechał?
- Kto? - spytałam, udając, że nie wiem, o kim mówi.

- Peter.

- Aha - burknęłam, wpatrując się w podłogę.

- Prawda, że jest boski?

Wyobraziłam sobie zachwyconą minę mojej siostry. Wzdychając głęboko, odwróciłam się plecami do mężczyzn przy stole.

- Jak tam David?

Samantha zignorowała moje pytanie, co mnie wcale nie zdziwiło. Starsza o siedem lat, zawsze traktowała mnie per noga. Oczywiście kiedy jej na czymś zależało, potrafiła być do rany przyłóż. Teraz najwidoczniej jej zależało.

- Wiesz, nie miałam dotąd okazji poznać go osobiście. - W jej głosie wyczuwało się nutę desperacji. - Dopiero od jakichś pięciu lat liczy się w świecie palestry. Studia prawnicze rozpoczął już jako dorosły człowiek, a co robił wcześniej, dla wszystkich jest zagadką. No, powiedz, czy naprawdę jest taki przystojny jak na zdjęciach w gazecie?

- Przepraszam, Sam, ale nie bardzo mogę teraz rozmawiać.

- Ojej, stoi nieopodal? Boże! Mama powiedziała, że będziesz miała go u siebie przez weekend. Ale z ciebie szczęściara. Chociaż... jak cię znam, to pewnie wcale tego nie doceniasz, prawda? Zamiast się cieszyć, jesteś jak kłębek nerwów? Przyznaj się, od śmierci Adama ani razu nie byłaś na randce?

Rozciągając maksymalnie sznur od telefonu, wyszłam do holu.

- Coś ci się pomyliło, Samantha - powiedziałam cicho, niemal dotykając ustami słuchawki. - Peter przyjechał tu w celach służbowych.

- Dobra, dobra, ale nie musi pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Posłuchaj, Jill. Hathaway to świetna partia. Ktoś taki przyda się i tobie, i nam. Facet osiągnął sukces na polu zawodowym, jest bajecznie bogaty i nie nosi obrączki. A ty masz go u siebie przez weekend. Nie zmarnuj okazji.

Rozmowa, której strzępy dolatywały z kuchni, ciekawiła mnie bardziej niż rozmowa z siostrą.

- Muszę już kończyć, Samantha. Przepraszam cię.

Starałam się ukryć zniecierpliwienie, ale Samantha najwyraźniej je wyczuła.

- Po prostu nie chcesz ze mną rozmawiać - rzekła urażona. - Nigdy cię nie interesuje, co mam do powiedzenia, bo wydaje ci się, że jesteś najmądrzejsza. Że wszystko wiesz. A to nieprawda, Jill. Nie znasz się na facetach. W twoim życiu liczył się tylko Adam. Wyjechaliście z miasta, żeby zaszyć się w jakiejś kretyńskiej głuszy. I nagle Adam zginął. Zostałaś sama. Od sześciu lat żyjesz jak mniszka. Zamierzasz tak spędzić resztę życia?

- Na miłość boską, Sam! - Przypomniawszy sobie, że nie jestem w domu sama, zniżyłam głos do szeptu: - Proszę cię, przestań gadać głupoty.

- Szorując plecami o ścianę, zsunęłam się w dół i usiadłam na podłodze. - I wybij sobie z głowy swatanie! Mój przyjaciel ma kłopoty; potrzebuje dobrego prawnika. A ja staram się mu pomóc. To wszystko. Koniec, kropka.

- To wszystko? Myślałam, że chcesz się rozwijać. Tak mówiłaś, kiedy wyjeżdżaliście na to zadupie. Że chcesz się rozwijać artystycznie, szukać nowych dróg, poszerzać horyzonty. Więc może byś poszerzyła swoje horyzonty sercowo-towarzyskie, co? Akurat nadarza się świetna okazja, Jill. Nie zmarnuj jej!

Coraz bardziej traciłam cierpliwość.

- Świetna okazja, Samantha? Do czego? Szalonego, dzikiego seksu przez jeden weekend? Jeśli to rozumiesz przez poszerzanie horyzontów, w porządku. Poszerzaj sobie własne. Ale mnie niczego nie narzucaj. Mam ciekawsze sposoby na spędzanie wolnego czasu.

- No jasne! Moja siostra-męczennica! Tyle lat się umartwiasz, że nie potrafisz się już z niczego cieszyć.

- Zamknij się, Sam.

- Boże, albo jesteś ślepa, albo głupia! Gdybym nie miała innych planów na weekend, przyleciałabym pierwszym samolotem i zademonstrowała ci, jak to się robi. Jak się uwodzi faceta!

Zabolało, kiedy nazwała mnie męczennicą. Ale przełknęłam to; w końcu co ona mogła wiedzieć o sile uczucia, jakie łączyło mnie z Adamem?

Jednakże w sprawach seksu moja siostra była ekspertką. Do diabła! Jakim prawem mnie obrażała? W dzieciństwie bez przerwy słuchałam jej docinków, ale już dawno nie jestem dzieckiem. Nie muszę tolerować jej krytyki i znie wag.

Wyprostowałam plecy.

- Wbrew temu, co ci się wydaje, Sam, nie żyję jak mniszka. Przebywam wśród ludzi. A w okolicy mieszka wielu niesamowicie przystojnych mężczyzn. Nie noszą ciuchów od najlepszych projektantów, nie mają drogich samochodów i luksusowych apartamentów. Nie kuszą kobiet zawartością portfela, lecz swoim urokiem osobistym. A tego naprawdę im nie brakuje. Są silni i męscy; emanują seksem. Gdybym chciała, bez trudu mogłabym sobie takiego poderwać.

- Ale nie poderwałaś, prawda, złotko? - spytała słodziutkim tonem moja siostra.

- Przykro mi, nie zaspokoję twojej ciekawości - odparłam równie słodkim tonem.

- W porządku. - W głosie Samantha pojawił się chłód. - Chciałam ci pomóc, ale najwyraźniej nie potrzebujesz pomocy. Życzę miłego weekendu.

Po chwili usłyszałam ciągły sygnał. Kiedy tak siedziałam na podłodze, przyciskając do ucha słuchawkę, ogarnął mnie smutek. Dawno pogodziłam się z faktem, że Samantha i ja nigdy nie będziemy sobie bliskie. Za bardzo się różniłyśmy, a ponieważ

obie byłyśmy uparte... No cóż. Ale było mi żal. Wiele bym dała, żeby mieć siostrę, z którą mogłabym się pośmiać i normalnie porozmawiać.

Westchnęłam ciężko i obróciłam się na pupie, zamierzając wstać, kiedy nagle na wprost swoich oczu ujrzałam parę długich nóg. Krzyknęłam. A potem wolno powiodłam spojrzeniem do góry; minęłam biodra, brzuch, ramiona i wreszcie zatrzymałam się na uśmiechniętej twarzy Petera.

- Boże, ale mnie wystraszyłeś. - Przyłożyłam rękę z telefonem do serca. - Zapomniałam, że tu jesteś. - Zaniepokojona popatrzyłam w stronę kuchni. - Gdzie Cooper?

- Już sobie poszedł.

Jęknęłam cicho.

- Ej, głowa do góry. Jutro po południu mamy się znowu spotkać.

Odetchnęłam z ulgą. Bałam się, że Cooper skorzystał z mojej nieobecności, żeby zwiać. Gdyby tak zrobił, byłabym wściekła - na niego za to, że okazał się tak niewdzięczny, na Samanthę, że swoim telefonem wyrwała mnie z kuchni, i na siebie, że wdałam się z nią w rozmowę.

Przez siostrę całkiem zapomniałam o mężczyznach, których zostawiłam samych przy stole. Zaczęłam się nerwowo zastanawiać, co Peter mógł usłyszeć z końcówki mojej rozmowy z Samanthą. Zrobiło mi się słabo.

Peter przyglądał mi się bez słowa, z miną niewiniątka. Popatrzyłam mu w oczy i znów utkwiałam

wzrok w podłodze. Boże, ależ był wysoki! Wysoki, szczupły, przystojny.

Wstań, rozkazałam sobie w myślach, ale nie potrafiłam wykonać ruchu. Nogi miałam jak z gumy. Albo jak z waty. A serce waliło mi jak oszalałe.

- No tak - zagałam, chcąc wypełnić ciszę, jaka zapanowała. - To co sądzisz o Cooperze?

Nie od razu odpowiedział. Wsparty ramieniem o ścianę, sprawiał wrażenie, jakby mu było całkiem wygodnie w tej pozycji. Przynajmniej jednemu z nas wygodnie, pomyślałam kwaśno.

- Nie jestem pewien - rzekł w końcu. - Był zdenerwowany. I zły.

- Uprzedzałam cię... Ale podejmiesz się obro-
ny?

Milczał. Ciekawe, czy robił to specjalnie, na mój użytek? Żeby pokazać, kto tu rządzi?

Nieduży hol jakby się skurczył.

- Tak, będę go bronił.

- To dobrze.

- Obawiam się tylko, że nie będzie łatwo. Co-
oper mi nie ufa.

- Bo cię nie zna. Ale nie warto się tym przejmować. - Tylko dzięki temu, że skierowałam myśli na inny tor, znalazłam w sobie dość siły, aby dźwignąć się z podłogi. Siły jednak nie starczyło już na to, aby przejść z powrotem do kuchni. No dobrze, nie wszystko naraz... - Nie ma mu się co dziwić. Jest spięty, denerwuje się. Ta sytuacja go przerosła.
- Przyciskając słuchawkę do piersi, ja również

oparłam się o ścianę. - Jest wściekły. Chciałby, żeby stary Chad McHenry wygłosił w sądzie pełną oburzenia mowę i żeby sędzia stwierdził, że nastąpiła pomyłka. Tak się nie stanie i w głębi duszy Cooper dobrze o tym wie. Zdaje sobie też sprawę, że jesteś jego jedyną nadzieją. - Zadumałam się. - To jak z odchudzaniem. Najpierw człowiek cierpi, a potem cieszy się z nowej figury. Tyle że Cooper boi się cierpienia.

- Jakich cierpień może mu przysporzyć moja rozmowa z ludźmi w miasteczku? - zdumiał się Peter.

- Cooper to człowiek bardzo dumny i bardzo skryty - odparłam. - Przeszkadza mu myśl, że ktoś miałby się wypowiadać na jego temat. Rozumiem go...

- O tobie się wypowiedziano?

- Wielokrotnie. - Przypomniałam sobie te wszystkie rodzinne spotkania, na które nie jeździłam, a na których plotkowano o mojej przewodniczkę na prowincję. Potem doszedł jeszcze wypadek Adama. - Długo po śmierci Adama, kiedy szłam przez miasteczko, zastanawiałam się, kto mnie obserwuje zza firanki i myśli: biedna dziewczyna. Nie chciałam litości. Cooper też jej nie chce.

- To zrozumiałe. Ale potrzebuję informacji. Muszę wiedzieć, co tutejsi mieszkańcy sądzą o tej sprawie.

- Podobnie jak Cooper, będą wobec ciebie nieufni - ostrzegłam go. - Jesteś obcy.

- Ale ty będziesz przy mnie.

Zamrugałam.

- Tak?

- Oczywiście.

Tego się nie spodziewałam. Myślałam, że Peter porozmawia z Cooperem, a potem sam się wszystkim zajmie. W końcu płaciłam mu honorarium, do tego dorzucałam spanie i wikt. Do głowy mi nie przyszło, że mam również służyć mu za asystentkę.

- W ten weekend? - spytałam niepewnie.

Peter skinął głową.

- Nie wiem, czy dam radę... Jestem dość zajęta.

- Umówiłaś się na szalony seks?

Ciśnienie mi skoczyło. Czyli jednak słyszał moją rozmowę z Samantha. A może nie? Może starał się być dowcipny?

- Nie, chciałam podgonić z pracą. Za miesiąc mam wystawę. Moja agentka uważa, że powinnam pokazać kilka nowych prac. Na razie zrobiłam zaledwie cztery.

Peter zmarszczył w zadumie czoło. Bałam się, że zaraz znów rzuci uwagę w stylu „dzikiego seksu”, ale nie.

- Gdzie będzie ta wystawa? Tu?

- Nie. W Nowym Jorku.

- Aha. Oczywiście na nią przyjedziesz?

- Jeszcze nie podjęłam decyzji - odparłam zgodnie z prawdą. - Nienawidzę wernisaży. Moni, moja agentka, mówi, że koniecznie muszę się tam pojawić, ale na otwarciu poprzedniej wystawy nie byłam

i moja nieobecność w żaden sposób nie wpłynęła na sprzedaż.

- Dlaczego nie lubisz wernisaży?

- Nie wiem. - Popatrzyłam na telefon, którego już tak kurczowo nie przyciskałam do piersi. - Może odzwyczaiałam się od tłumów, od butów na wysokich obcasach, od przechadzania się z drinkiem, na którego nie mam ochoty?

Pochyliwszy się w moją stronę, szepnął:

- Podobno na takich imprezach bywa mnóstwo niesamowicie przystojnych mężczyzn obdarzonych wielkim urokiem osobistym.

Przed chwilą ten „dziki seks” uznałam za zbieg okoliczności. Ale teraz nie miałam już żadnych wątpliwości. Na sto procent Peter usłyszał, co mówiłam do Samantha. Popatrzyłam mu w oczy. Nasze twarze dzieliło może ze dwadzieścia centymetrów. Szukałam w jego spojrzeniu drwiny, rozbawienia. Drwiny nie znalazłam, ujrzałam za to wyraz szczerego zaciekawienia.

Przeszył mnie dreszcz. To miło, gdy mężczyzna okazuje autentyczne zainteresowanie.

Wzruszyłam lekko ramionami.

- W Nowym Jorku przystojnych facetów jest na pęczki. W Nowym Jorku i, oczywiście, w Los Angeles.

- A także tutaj, w Maine.

Uświadomiłam sobie, że Peter chce, abym wiedziała, że słyszał moją rozmowę z siostrą. Mogłam zignorować jego słowa, ale co by to dało?

- No, dobrze. Słyszałeś, jak rozmawiałam z Samanthą.

Nie próbował zaprzeczyć.

- Owszem. I wiesz co? Masz rację. Faceci w dużych miastach faktycznie próbują podkreślić swą męskość ubraniem albo drogimi sprzętami. Wydaje im się, że tylko w ten sposób będą dostrzeżeni w tłumie. Stale ze sobą współzawodniczą. Na każdym kroku czują oddech rywala. Żyją w pośpiechu, zapominają o najprostszych sprawach.

- Oni? Czy to znaczy, że siebie do nich nie zaliczasz?

Pokręcił wolno głową. Jego oczy hipnotyzowały mnie, niepokoiły.

- Nie potrzebuję ubrań od znanych projektantów mody - rzekł niskim, ochrypłym głosem. - Ani drogich samochodów i luksusowych apartamentów. Nigdy mnie to nie kusiło. To nie moja bajka.

Oddech miałam przyśpieszony. Przełknęłam ślinę. Nie pomogło. Policzyłam w myślach do pięciu. Też nie pomogło. To nie moja bajka. Słowa Petera dźwięczały mi w głowie. Wcale nie chciałam zadawać pytania, ale nie mogłam się oprzeć:

- A jaka jest twoja bajka? Co cię kusi?

Przeszywał mnie wzrokiem.

- Ty. Ty mnie kusisz. Chciałbym kochać się z tobą tu i teraz. Na podłodze.

Tak gwałtownie wciągnęłam powietrze, że się zakrztusiłam. Zaczęłam kasłać. Odruchowo przycisnęłam rękę do serca. Poczujesz coś twardego,

uzmysłowiłam sobie, że wciąż ściskam słuchawkę. Mogłabym ją odłożyć na widełki, pomyślałam nerwowo. To świetny pretekst, aby się odsunąć od Petera, uciec do kuchni. Hol jeszcze nigdy nie wydawał mi się tak mały jak teraz. Wykonałam krok i nagle okazało się, że sznur od telefonu oplata Petera.

- Ojej, przepraszam... - Starając się zachować między nami jak największy dystans, zaczęłam szarpać za sznur. - Powinnam odłożyć słuchawkę. Gdyby ktoś próbował się dodzwonić...

Nie dokończyłam, ponieważ Peter wsunął rękę za moją szyję i delikatnie pociągnął mnie za koński ogon. Chcąc nie chcąc, musiałam odchylić głowę i popatrzeć mu w oczy.

- Boisz się - powiedział cicho.

- Oczywiście, że się boję. Obcy facet przyjeżdża do mojego domu stojącego w odludnym miejscu, na skalistym urwisku, i mówi mi, że chciałby się ze mną kochać na podłodze. Jaka kobieta nie byłaby wystraszona?

- Taka, która uczciwie podchodzi do swojej seksualności.

- Nie. Taka, która ma nie po kolei w głowie. Czasy hipisów i wolnej miłości dawno się skończyły. Dziś kobiet nie podnieca seks z obcym mężczyzną na podłodze w holu.

Bawił się moimi włosami, owijał je sobie wokół palców, nadgarstka.

- Nie jestem obcym mężczyzną. Znasz mnie.

- Nieprawda. - Raz po raz zalewała mnie fala ciepła; usiłowałam się przed nią bronić. - Po raz pierwszy zobaczyłam cię dopiero dwie godziny temu.

- Ale znasz mnie - powtórzył tym swoim niskim, zmysłowym głosem. - Wiesz, że nie działałam pochopnie, bez namysłu. Dokładnie wszystko analizuję. Wiem, czego pragnę i jak to osiągnąć. Nie zrobiłbym nic wbrew twojej woli. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Pilnowałbym, żebyś nie zaszła w ciążę, chyba że oboje byśmy tego chcieli. - Na moment zamilkł. - No i nie mam HIV-a.

Nie rozproszył moich lęków. Oczywiście miał rację; wiedziałam, że nie będzie mi się na siłę narzucał, że mnie nie skrzywdzi, że nie przysporzy mi kłopotów w postaci niechcianej ciąży lub choroby zakaźnej. Instynkt mi podpowiadał, że Peter Hathaway jest znacznie bardziej odpowiedzialnym człowiekiem niż większość ludzi. Ale nie chciałam się w nic angażować. Nie chciałam się wiązać z żadnym mężczyzną. Po tym wszystkim, co mi dał Adam, byłam mu winna wierność i lojalność.

Teraz, po raz pierwszy od jego śmierci, ta wierność była zagrożona. Przerażało mnie to, a im bardziej się bałam, tym bardziej cała w środku dygotałam. Im bardziej zaś dygotałam, tym bardziej chciałam przytulić się do Petera, znaleźć schronienie w jego silnych ramionach.

Co było dziwne, zważywszy, że to właśnie z jego strony groziło mi niebezpieczeństwo.

- Ja... Muszę odłożyć słuchawkę - bąknęłam drżącym głosem.

Zacisnęłam powieki, mimo to czułam na twarzy jego wzrok. Dopiero po dłuższej chwili Peter zabrał rękę z moich włosów i cofnął się krok. Odłożywszy słuchawkę, chwyciłam ze stołu kubki po kawie.

Peter oparł się o blat, skrzyżował nogi w kostkach.

- Cooper powiedział, że twoja siostra nie wracałaby ci głowy, gdyby nie ja. To prawda?

Bez słowa zaczęłam zmywać naczynia. Najpierw przetarłam je ściereczką z płynem, potem spłukałam wodą, jeszcze raz płynem, ponownie opłukałam.

- Są czyste.

Nie zareagowałam.

- Jill, to prawda? Co twoja siostra ma przeciwko mnie?

- Nic - burknęłam. - Uważa cię za świetną partię.

Zmarszczył czoło.

- Czy kiedykolwiek ją gdzieś spotkałem?

- Wątpię. Bo na pewno byś ją zapamiętał. - Wytarłam ręce. - Samantha robi oszałamiające wrażenie, jej widok po prostu zapiera dech. Podobnie zresztą jak moja bratowa, która również uważa, że jesteś wspaniały. Dla nich „wspaniały” równa się „bogaty i przystojny”. Ciesz się, że trafiłeś na mnie. Gdybym miała takie same poglądy jak one, musiałabyś dzielnie odpierać moje awanse.

- To wcale nie byłoby nieprzyjemne.

Postanowiłam zagrać w otwarte karty. Szczerość, pomyślałam, nikomu nie zaszkodzi. Niech Peter wie, na czym stoi.

- Samantha powiedziała mi, że skoro będziesz mieszkał u mnie przez weekend, to powinnam cię poderwać. Uwieść. Że nie powinnam zmarnować okazji, bo druga taka się nie nadarzy. Oczywiście nie widzi cię w roli mojego kochanka, lecz w roli mojego męża. Twierdzi, że w rodzinie potrzebna jest nowa krew. - Prychnęłam pogardliwie. - Myślałby kto, że jesteśmy rodziną wampirów.

Peter nie wydawał się wzburzony moimi słowami.

- Chce cię wyswatać. Po prostu cię kocha.

- Nie. Kocha pieniądze. Pociągają twoje bogactwo. Nie jestem pewna, która z nich jest gorsza: Samantha czy Helaine.

- Helaine?

- Moja bratowa. Ją z kolei pociąga twoje ciało. Wykrzywił w uśmiechu wargi.

- Widzę, że kobiety w rodzinie Madiganów wiedzą, czego chcą.

- A także, czego nie chcą. Mnie na przykład nie interesują twoje pieniądze ani... - Ugryzłam się w język. - Jedyne, czego chcę, to żebyś zapewnił Cooperowi skuteczną obronę. Czy mogę na to liczyć? - spytałam najbardziej apodyktycznym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć.

- Oczywiście. Gdybym miał wątpliwości, to bym tu nie przyjechał.

- I czy mogę liczyć, że relacje między nami pozostaną... - zawahałam się - urzędowe?

- Jasne. - Wzruszył niedbale ramionami.

Chyba nie do końca mu wierzyłam. No cóż, pomyślałam, trzeba go porządnie zmęczyć. Tak, żeby wieczorem ledwo powłóczył nogami; żeby zwalił się zmęczony do łóżka i na nic poza snem nie miał ochoty.

Nastało popołudnie. Najwyższa pora brać się do roboty.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pomysł, przynajmniej w teorii, był dobry. Peter chciał się rozejrzeć po okolicy. Postanowiłam zabrać go na długi spacer ścieżką wijącą się wśród chaszczy. Szybki marsz, ostry wiatr, słone morskie powietrze... Zobaczymy, jak mu się to wszystko spodoba.

Niestety to, co się wydaje świetne w teorii, nie zawsze się sprawdza w praktyce. Jak tylko zaproponowałam, że wybierzemy się do miasteczka, Peter poszedł do samochodu po torbę podrózną, a potem udał się na górę do pokoju gościnnego. Musi zmienić buty, wyjaśnił. Kiedy wrócił pięć minut później, szczęka opadła mi ze zdziwienia. Wcześniej ubrany był w stylu sportowym,

lecz eleganckim, pasującym do człowieka mieszkającego w dużym mieście. Teraz miał na sobie strój, który wyglądał, jakby kupiono go przed dziesięcioma laty, w dodatku w sklepie z używaną odzieżą.

Znoszone tenisówki, które pierwszą świeżość dawno miały za sobą. Dżinsy, zwykłe, nie żadne markowe, sprane, nie fabrycznie, lecz w wodzie i proszku, postrzępione, przecierające się na kolanach, udach i... - o Chryste! - przy rozporku. Szary bawełniany golf, a na to bluza w wyblakłym czerwonym kolorze. W rękę stara kurtka z podpinką.

Najgorsze było to, że w tym stroju czuł się równie wygodnie jak w sztruksach i koszuli, w której przyjechał. Wiedziałam, że cieszący się uznaniem prawnik nie chodzi do sądu w dżinsach, lecz Peter sprawiał wrażenie, jakby w swoich spędził pół życia. Opinały go ciasno w biodrach, a zarazem pozwalały na swobodę ruchu.

W tym stroju wydawał mi się jeszcze bardziej pociągający niż przedtem. Znikła miejska ogłada, pojawiła się szorstkość, choć trochę mniejsza niż u Coopera, dzikość, nieokrziesanie. Krew szybciej zaczęła pulsować mi w żyłach.

Mogłam się domyślić, że Peter jest mężczyzną wysportowanym. Bądź co bądź człowiek, który wolny czas spędza przed telewizorem, nie miewa tak sfatygowanych tenisówek. Nadałam energiczne tempo; szliśmy ścieżką, która wiła się między

karłowatymi sosnami. Peter dotrzymywał mi kroku i nie narzekał. Po pewnym czasie sama się lekko zasapałam - na skutek frustracji, tłumaczyłam sobie - Peter jednak oddychał normalnie, jakby wybrał się na spacer.

Wtedy zrozumiałam, że nie obejdzie się bez pomocy Swansy. I tak chciałam do niej zajrzeć, przedstawić jej Petera, ale myślałam, że zrobię to w drodze powrotnej. Rozmowa ze Swansy zawsze działała na mnie uspokajająco, a wiedziałam, że będę potrzebowała spokoju i wyciszenia, zanim zamknę się na noc z Peterem w domu.

Jednakże nie mogłam czekać kilku godzin. Już teraz pragnęłam zobaczyć znajomą twarz, usłyszeć przyjazny głos, porozmawiać z kimś, kto mi dobrze życzy. Z kimś, kto doda mi sił i otuchy. Taką osobą była Swansy.

Mieszkała w małym drewnianym domku przy końcu Main, głównej i jedynej ulicy miasteczka. Ponieważ postanowiłam zmęczyć Petera i wybrałam dłuższą trasę, weszliśmy do miasteczka z przeciwnej strony. Aby dotrzeć do domu Swansy, musieliśmy je całe przejść. Miało to swoje plusy - bo po drodze pokazywałam Peterowi, gdzie co jest - ale miało również minusy. Przez długi czas po śmierci Adama wydawało mi się, że wszyscy się na mnie gapią. To uczucie wróciło teraz ze zdwojoną siłą.

Trudno, pomyślałam. To jest moje miasto, a ja jestem już całkiem inną osobą niż sześć lat temu.

Więc szlam przed siebie z wysoko uniesioną głową. Minęliśmy z dziesięć niedużych domów na południowym krańcu miasteczka, potem sklep spożywczy, sklep z narzędziami, budynek poczty, „Gospodę Sama”, ścieżkę prowadzącą do portu, kilka kolejnych sklepów, wreszcie domy przy północnej granicy miasteczka.

Ruchem głowy wskazałam na dom, do którego prowadził zwirowy podjazd. Podeszliśmy z boku. Nie pukałam; nacisnęłam klamkę i weszliśmy do środka przez drzwi kuchenne.

- Cześć, Swansy! - zawołałam.

W ciepłej, przytulnej kuchni z miejsca poczułam się jak u siebie. Odetchnęłam głęboko. Choć byłam ciepło ubrana i nie zmarzłam podczas spaceru, to jednak fizyczna bliskość Petera wprawiała mnie w dziwny dygot. Dopiero tutaj, w domu Swansy, ogarnęła mnie cudowna błogość. Wiedziałam, że tu nic złego mi nie grozi.

Rzuciwszy kurtkę na krzesło, uniosłam pokrywkę z rondla i drewnianą łyżką zamieszałam gulasz. Zanim skończyłam go mieszać, czyjś mokry zimny nos trącił mnie w bok.

- Witaj, skarbie - uśmiechnęłam się do łagodnego owczarka niemieckiego, który przyszedł się ze mną przywitać. Podrapałam psa za uszami, po czym schyliłam się, nadstawiając mu do polizania policzek. - To jest Rebeka - przedstawiłam owczarka Peterowi.

Peter przykucnął; oczy jego i psa znajdowały się

na jednym poziomie. Z tak skupioną miną głąaskał Rebeke, że miałam problem z zachowaniem powagi. Nie chcąc go urazić wybuchem śmiechu, czym prędzej skierowałam się do salonu.

Swansy siedziała w fotelu na biegunach, który podarowałam jej kilka lat temu z okazji Dnia Matki. Szczupła, maleńka, wyglądała jak laleczka. Mimo siedemdziesiątki na karku, srebrnych włosów na głowie i licznych zmarszczek na twarzy miała bardzo ładną cerę: brzoskwińową, lekko zarumienioną na policzkach. Oraz cudowny, promienny uśmiech.

Ale teraz Swansy się nie uśmiechała. Z grymasem niezadowolenia wpatrywała się w telewizor, w którym leciały napisy po kończącej się jednej z oper mydlanych.

- Zawsze to robią - zaświergotała tym swoim cichutkim głosikiem, kiedy podeszłam do bujaka.
- Kończą w najciekawszym momencie i człowiek musi czekać do poniedziałku, żeby dowiedzieć się, co będzie dalej. Wyobraź sobie, że pijana Babette wychodzi na ulicę, prosto pod nadjeżdżający samochód. Słysząc pisk opon, a potem widzimy Marka, którego szef wywala z pracy. Nie obchodzi mnie Mark; facet znajdzie sobie inną pracę, a nawet jak nie znajdzie, to nic się nie stanie, bo i tak jest nieprzyzwoicie bogaty. Obchodzi mnie Babette: czy zostanie bardzo poturbowana i... - Swansy zniżyła głos do szeptu.
- A wiesz, kto prowadził ten samochód? - spytała

konspiracyjnym tonem. - Gordon! Mówię ci, będą kłopoty! Ale niestety muszę czekać do poniedziałku...

Uśmiechnęłam się.

- Czyli będziesz miała nad czym dumać. - Musnęłam wargami pomarszczony policzek staruszki, po czym wzięłam jej z kolan pilota i wyłączyłam telewizor. - ' Gulasz wygląda przepysznie. A jak pachnie! Pewnie Bettina wpadła z wizytą?

Bettina Gregorian, matka pięciorga dzieci, z których najstarsze liczyło dziewięć lat, mieszkała na peryferiach miasteczka, po drugiej stronie niż ja. Była nie tylko wspaniałą mamą, nie tylko wspaniałą kucharką, ale i wspaniałą przyjaciółką. Przynajmniej raz w tygodniu zaglądała do Swansy, podrzucając jej jakieś danie, które wytrzymało wiele dni w lodówce i które wystarczyło jedynie podgrzać. Wszyscy troszczyliśmy się o Swansy, podrzucaliśmy jej to i owo, ale nic nie równało się z gulaszem Bettiny.

- Tak, była z samego rana - potwierdziła staruszka, marszcząc brwi. - Dwaj najmłodszy chłopcy zachorowali na ospę.

- Daniel i Port? Ojej! - zmarwiłam się szczerze.

- Równo trzy tygodnie po Mim i Sally. Oby tylko niemowlę nie zachorowało. Mieć ospę w wieku sześciu miesięcy... Koszmar.

- Koszmar zarówno dla dziecka, jak i dla matki. Wstąpię do nich jutro i zobaczę, jak sobie radzą.

- Nie boisz się?

- Nie. Przechodziłam ospę, gdy miałam dwa lata. Oczywiście nie pamiętam tego, ale... Podobno zaraziłam się od Samantha, która zaraziła się od Iana. W trakcie zachorowała jeszcze nasza kucharka, a ponieważ niania nie umiała gotować, mama była bliska obłądu.

- Twój ojciec nie włączył się do pomocy?

Zrobiło mi się wesoło na samo wspomnienie.

- Starał się. Zatrudnił pomoc domową, młodą dziewczynę, która przypaliła mu żelazkiem wszystkie najlepsze koszule. Do dziś, gdy wspominamy tamten okres, używamy terminu „kryzys stulecia”.

Swansy, którą często racyłam opowieściami o moich bliskich, wyczuła ironię w moim głosie. Podniósłszy rękę, pogładziła mnie lekko po policzku. Mnie zrobiło się przyjemnie, a ona zorientowała się, jaka pogoda panuje na zewnątrz.

- Robi się coraz zimniej. Tylko patrzeć, a nadejdzie zima. Spacerowałaś po wzgórzu?

Poznała to po bardzo specyficznym zapachu słonej morskiej bryzy i sosnowej żywicy. Ilekroć tamtędy chodziłam, moje włosy i ubranie natychmiast nim przesiąkały.

- Przyjechał twój prawnik... - Ścisnęła mnie za rękę i szepnęła: - Przedstaw mi go, kochanie.

Obejrawszy się przez ramię, zobaczyłam, że Peter wszedł do salonu. To niesamowite, że Swansy, która była ślepa jak kret, wiedziała o tym przede mną. Ale słuch miała doskonały. Pewnie usłyszała jego kroki.

Trzymając ją za rękę, obserwowałam Petera, który przyglądał się Swansy z zainteresowaniem. Nie musiałam mu mówić, że jest niewidoma. Sam się zorientował. Może zastanowiła go niezwykła łagodność Rebeki, może zobaczył psią uprząż leżącą koło bujanego fotela, może zwrócił uwagę na powleczone mgłą niebieskie oczy. Nie wiem.

- Swansy, przedstawiam ci Petera Hathawaya. Peter, to jest Swansy Tabb.

Zbliżywszy się, Peter uściśnął wyciągniętą w jego stronę dłoń.

- Bardzo mi miło panią poznać - rzekł szarmancko.

- Mnie pana również.

Uwolniwszy lewą rękę, Swansy przykryła nią dłoń Petera, a po chwili zaczęła ją delikatnie obmacywać. Traktował to jako coś normalnego, nie próbował się oswobodzić. Niewidomi wiele potrafią wyczytać dotykiem. Albo Peter o tym nie wiedział, albo nie miał nic do ukrycia.

Nie spuszczałam oczu ze Swansy. Ciekawa byłam, co sądzi o Peterze. W milczeniu gładziła jego kłykcie, badała jego palce. Jej twarz niczego nie zdradzała.

- Proszę, niech pan usiądzie koło mnie - powiedziała w końcu, wskazując głową stojący nieopodal fotel.

Peter posłał mi uśmiech i kiedy Swansy puściła jego dłoń, posłusznie zajął miejsce. Ja wciąż stałam przy bujaku.

- To pana pierwsza podróż do Maine?

- Nie. Często jeździłem do Camden. Jako nastolatek, czyli dawno temu.

- Do Camden? - Zadumała się na moment.
- A cóż pan robił w Camden?

Wiedziałam, co Peter odpowie. Latem Camden cieszyło się ogromną popularnością wśród bogaczy. Wielokrotnie bywałam tam z rodzicami, kiedy odwiedzali przyjaciół. Dziwne, że nie słyszeliśmy o Hathawayach.

- Pracowałem jako kelner w takim słynnym starym hotelu.

Aha, to dlatego nigdy się z nim nie zetknęliśmy. Madiganowie i ich przyjaciele nie zadawali się ze służbą. Gdyby któraś z nas, ja albo Samantha, zaczęła flirtować z przystojnym młodym kelnerem, za karę tata odebrałby nam kieszonkowe, co najmniej na miesiąc. Wolałyśmy nie ryzykować.

Poza tym rozminęliśmy się wiekowo. Peter miał czterdzieści lat. Kiedy obsługiwał gości w hotelowej restauracji, ja byłam zbyt młoda, aby z kimkolwiek flirtować. Nie żebym teraz potrafiła to robić.

Czyli w młodości Peter Hathaway pracował dorywczo... Przypomniały mi się słowa Samanthy, że dopiero pięć lat temu zaczął się liczyć w świecie palestry. Natychmiast nasunęło mi się na myśl mnóstwo pytań, ale nie miałam odwagi ich zadać.

Tchórzostwo nie było jednak cechą Swansy.

- Skąd pan pochodzi? - zaczęła niewinnie.
- To znaczy, gdzie się urodziłem? W Columbus w stanie Ohio.

- Hm, daleka droga z Ohio do Maine - stwierdziła po chwili.

- To prawda.

I wtedy Swansy wykonała swój stały numer. Widywałam to wielokrotnie, na wszystkich działało, na mnie również, ale myślałam, że Peter, sprytny prawnik, nie da się nabrać na blef uroczej staruszki. A jednak... Wpatrując się w rozmówcę swoimi niewidzącymi niebieskimi oczami, Swansy uśmiechnęła się zachęcająco. O nic więcej nie pytała; Peter sam zaczął mówić.

- Jako młody chłopak sprawiałem ojcu sporo kłopotów. Mama umarła, kiedy miałem dziesięć lat, starszy brat dawno opuścił dom... Zostałem z ojcem, człowiekiem bardzo surowym, niemal pozbawionym uczuć. Ciągle uciekałem z domu. Latem jeździłem stopem nad morze. Kiedy pierwszy raz dotarłem do Camden, miałem czternaście lat. Byłem dość duży jak na swój wiek, więc bez problemu znalazłem pracę. Mijały kolejne lata i ojciec coraz bardziej nie mógł się doczekać, żeby się mnie wreszcie pozbyć.

Utkwił we mnie spojrzenie. W tym momencie uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech. Nie odrywając od Petera wzroku, wolno wypuściłam z płuc powietrze.

- Czym się zajmował twój ojciec? - spytałam cicho.

- Pracował w fabryce. Przychodził do roboty i odbijał kartę, wychodził i znów ją odbijał. Nie

chciałem iść w jego ślady. Wolałem już chyba trafić za kratki. I pewnie mogłem. Niewiele brakowało.

- Co takiego robiłeś?

Wzruszył ramionami.

- Mam drobne grzeszki na sumieniu. Na szczęście nic bardzo poważnego.

- Jakie grzeszki?

- Naprawdę cię to interesuje? - spytał z uśmiechem.

Owszem, interesowało mnie to, i to bardzo. Po prostu zżerała mnie ciekawość. Chyba wyczytał ją z moich oczu, bo po chwili udzielił mi odpowiedzi.

- Kradłem samochody.

Przez chwilę nic nie mówiłam. W końcu nie wytrzymałam.

- I to nazywasz drobnym grzeszkiem? Wiesz, na jaki stres i kłopoty złodziej naraża właściciela auta? Mnie ukradziono samochód, kiedy miałam dwadzieścia lat. To był samochód mojej mamy, ale ja go prowadziłam, więc... Po pierwsze, człowiek nie ma czym jeździć, po drugie, tygodniami czeka na telefon z policji, że wóz został znaleziony, potem musi oddać samochód do warsztatu i zapłacić za naprawę. No i koszmarnie jest to uczucie, że trzymasz kierownicę, którą obmacywał jakiś anonimowy dupek.

- Obmacywał anonimowy dupek? - W oczach Petera pojawił się błysk wesołości.

Speszyłam się.

- Wiesz, o co mi chodzi. - Spuściłam wzrok.
- Nigdy nie uszkodziłem żadnego samochodu - oznajmił z powagą. - Po prostu urządzałem sobie przejażdżki. Wciskałem gaz do dechy, patrzyłem, jak strzałka szybkościomierza wskazuje sto, sto dwadzieścia, sto czterdzieści, sto pięćdziesiąt... To mi dawało poczucie niesamowitej siły. I władzy.

Mimo że to było tak dawno temu, głos drżał mu z podniecenia. Zaskoczona, ponownie skierowałam na niego wzrok. Oczy Petera lśniły z przejęcia. Wyglądał groźnie, a zarazem piekielnie seksownie.

- Aż dziw, że się nie rozbiłeś - mruknęłam, zła na niego.

- Rozbiłem. - Błysk podniecenia w oczach zgasł. - Dwa tygodnie po osiemnastych urodzinach usiadłem pijany za kierownicą i zderzyłem się czołowo z filarem mostu. Szczęście w nieszczęściu, że jechałem gruchotem mojego starego, więc nikt mnie nie oskarżył o kradzież. Dla ojca przestałem istnieć, umarłem. Przestał się mną interesować, nie obchodziłem go. Przez miesiąc leżałem w śpiączce. Kiedy się obudziłem, dowiedziałem się, że mam połamane niemal wszystkie kości.

- Boże! I co było potem?

- Nic. Przez długi czas byłem zdany na łaskę lekarzy. Spędziłem w szpitalu wiele miesięcy. Zrobili mi jedną operację, drugą, trzecią. Potem kolejne, podczas których coś poprawiano. Leżałem bez ruchu, czekając, aż wszystko mi się pozrasta. Byłem pewien, że tego nie wytrzymam. Że zwariuję.

W końcu rozpocząłem żmudną rehabilitację, żeby doprowadzić ciało do stanu używalności.

Zmierzyłam go od stóp do głów: nie widać było śladu jakichkolwiek urazów.

- Aż trudno uwierzyć...

- Och, mógłbym ci pokazać mnóstwo blizn - powiedział niskim głosem, który sprawił, że przeszył mnie dreszcz.

- Nie wątpię. Ale patrząc na ciebie, trudno uwierzyć, że byłeś taki poturbowany.

- Dlaczego?

- Bo masz harmonijne ruchy. Poruszasz się bardzo płynnie. Nie kulejesz, nie utykasz. Podczas dzisiejszego spaceru cały czas dotrzymywałeś mi kroku. - Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. - To nie była łatwa trasa po równym terenie. Nigdy bym nie obrała tej drogi, gdybym wiedziała, co ci się przydarzyło.

- Od tamtej pory minęło wiele czasu. Jestem zdrow jak rydz. Systematycznie chodzę na basen. Dwa razy w tygodniu gram w tenisa. W zeszłym miesiącu startowałem w maratonie. Gdybym nie rozbił wozu i nie wylądował w szpitalu, chyba nie byłbym dziś w tak świetnej kondycji fizycznej. Ani psychicznej - dodał po chwili.

Zamyśliłam się.

- Jak ci się to udało? - spytałam w końcu.

- Co?

- Pokonać drogę od szpitala do sali rozpraw.

- Nie było lekko.

Domyślałam się tego, ale interesowały mnie szczegóły. Uniosłam pytająco brwi i naśladując Swansy, uśmiechnęłam się zachęcająco. I nagle uzmysłowiłam sobie, że słuchając Petera, całkiem zapomniałam o siedzącej pomiędzy nami staruszce.

Zerknęłam na nią pośpiesznie. Z błogim wyrazem twarzy bujała się leniwie na fotelu. Miałam dziwne uczucie, jakby była bardzo zadowolona z obrotu, jaki przybrała rozmowa.

- Swansy, może coś ci podać czy coś zrobić?

Ścisnęła mnie za rękę, uwagę jednak miała skupioną na Peterze.

- Jak pan tego dokonał? - spytała.

Zanim odpowiedział, na migi wskazał fotel, na którym siedział. Pokręciłam przecząco głową. To miło, że chciał mi odstąpić swoje miejsce, ale czułam się bezpieczniej, stojąc przy boku Swansy i trzymając ją za rękę. Miałam wrażenie, jakby powstrzymywała mnie przed popełnieniem głupstwa.

Peter wyciągnął nogi i skrzyżował niedbale ręce na piersi.

- W szpitalu miałem dużo czasu na myślenie. Byłem przykuty do łóżka, w fatalnej formie psychicznej. Miesiącami leżałem unieruchomiony, nikt mnie nie odwiedzał. Dumałem nad sobą, nad życiem i w końcu doszedłem do wniosku, że muszę się zmienić. Że to, co dotąd robiłem, nie ma najmniejszego sensu. W trakcie rehabilitacji skończyłem korespondencyjnie szkołę średnią. Rehabilitacja

trwała cały następny rok. Wciąż byłem niesprawy fizycznie, nie mogłem pracować, ale mogłem czytać. I myśleć. Potem zacząłem zarabiać. Miałem do zapłacenia mnóstwo rachunków za leczenie. Kiedy się z nimi uporałem, kolejne dwa lata harowałem, żeby odłożyć forszę na studia. Na uniwersytet stanowy dostałem się w wieku dwudziestu czterech lat. Nieźle mi szło, więc po jakimś czasie przenieśliem się na Penn, a potem na Uniwersytet Nowojorski. Reszta jest historią.

Tak szybko i beznamytnie opisał drogę, którą odbył, a która na pewno nie należała do łatwych, że przez chwilę milczałam, usiłując przetrawić usłyszane informacje.

- To niesamowita historia - powiedziała oszłamiona. - Walczyłeś z przeciwnościami losu i zwyciężyłeś. Wyobrażam sobie, jacy zdziwieni muszą być twoi dawni sąsiedzi i znajomi. Niepokorny chłopak, będący na bakier z prawem, który po pijanemu o mały nie zginął w wypadku, zostaje znanym bogatym prawnikiem.

- Nie miałem wyboru. Musiałem zrobić coś sensownego ze swoim życiem. Inaczej bym zginął.

- Mogłeś zrobić dużo mniej. Mogłeś odzyskać sprawność fizyczną i zająć się byle czym, pracować w fabryce, jak twój ojciec, a wieczorami wstępować na piwo do baru i z kolegami oglądać w telewizji mecz.

- Wiele osób tak żyje. Nie ma w tym nic złego
- oznajmił stanowczym tonem.
- Wiem. Ale to taka pusta, jałowa egzystencja.
- Niektórzy nie widzą możliwości zmian.

Pokręciłam przecząco głową.

- Zawsze można coś zmienić. Drobne rzeczy. Zawsze można awansować, dążyć do czegoś więcej.

- Powiedz to facetowi, który nie umie czytać, bo nie skończył nawet szkoły podstawowej. A nie skończył jej, bo musiał iść do pracy, żeby jego rodzeństwo miało co jeść. Znałem takich ludzi, przyjaźniłem się z nimi. Wciąż tam mieszkają, w Columbus, na tych samych ulicach i w tych samych domach, tyle że dziś te domy są w znacznie gorszym stanie niż kiedyś.

Przemknęło mi przez myśl, że tacy sami ludzie mieszkają również tu, w Maine.

- Ale można dbać o dom i dbać o rodzinę

- powiedziałam. - Można harować z sensem. Żeby dzieci nie musiały przerywać nauki; żeby nastolatki nie musiały iść do pracy i zarabiać na życie; żeby mogły zdobyć wykształcenie i pozycję, której sarni nie zdobyliśmy. Ty wykonałeś ogromny skok i masz rację, że nie każdy to potrafi. Ale nie wolno się poddawać, zawsze trzeba iść przed siebie, nawet małymi kroczkami.

Swansy ścisnęła mnie za rękę. Peter gotów był dalej dyskutować, bronić swoich racji, ale staruszka miała słuszość: czas zmienić temat.

- Czy twój tata wciąż żyje?

Peter pokręcił przecząco głową.

-A z bratem utrzymujesz kontakty?

Dostałam taką samą odpowiedź.

Wydało mi się to strasznie smutne. Peter tak daleko zaszedł, lecz nie miał bliskich, którym mógłby się pochwalić swoimi dokonaniem i którzy razem z nim cieszyliby się jego sukcesem.

I nagle tknęło mnie, że moja sytuacja niewiele się różni. Miałam co prawda rodzinę, w dodatku całkiem liczną, a jednak zawsze był między nami pewien dystans. Bliscy nie potrafili docenić mojej twórczości. Uważali mnie za amatorkę, która udaje artystkę. Za osobę, która „bawi się” w glinie. Nawet indywidualne wystawy, jakie miałam w Nowym Jorku, nie przekonały ich o tym, że do czegoś w życiu doszłam. Z drugiej strony może to moja wina? Może za mało opowiadałam im o sobie i swoich sukcesach? Czyżbym wciąż bała się krytyki?

Swansy znów ścisnęła moją dłoń.

- Nie przejmuj się - powiedziała, unosząc twarz.

- Ważne, by człowiek sam czuł się spełniony.

- Następnie zwróciła się do Petera: - Myśli pan, że zdoła pan pomóc naszemu Cooperowi?

- Tak sądzę. Ale więcej będę wiedział za kilka dni, kiedy rozejrzę się po okolicy i porozmawiam z ludźmi.

- Cooper jest naprawdę wyjątkowym człowiekiem.

- Tak, wiem.

Peter wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu, po czym spojrział na Rebeke, która stała obok niego, mokrym nosem dźgając go w rękę.

- Wyszedłby pan z nią na spacer? - spytała Swansy. - Ona uwielbia wysokich, przystojnych mężczyzn.

Wzrost swego rozmówcy Swansy zawsze oceniała na podstawie tego, z jakiej wysokości docierał do niej jego głos. A także na podstawie jego ręki - czy jest mała czy duża - oraz długości palców. Jeśli zaś chodzi o urodę Petera... no cóż, to wyczuła na podstawie mojego zachowania i mojego głosu.

Speszona, spuściłam wzrok. Poza wszystkim innym Rebeka nie potrzebowała „wyprowadzacza”. Pies-przewodnik sam trafia do domu. Swansy to wiedziała, ja wiedziałam, Peter z pewnością też. Dlatego na jego twarzy pojawiło się lekkie rozbawienie.

- Ma ulubioną trasę? - spytał, wstając.

- Sama panu wskaże drogę - oznajmiła słodko Swansy.

Kiedy mężczyzna z psem opuścili salon, pociągnęła mnie za rękaw. Usiadłam na miejscu, które Peter przed chwilą zwolnił.

- I jak myślisz? - spytałam starsuszkę.

- Myślę, że zdoła wczuć się w położenie Coopera. Jego przeszłość stanowi niewątpliwą atut. Dokonałaś trafnego wyboru.

- Nie ja. To mama mi go podsunęła.

- A ty wcale się z tego nie cieszysz. Jesteś cała spięta. Dlaczego? Co cię tak martwi?

- Nie wiem, Swansy. Nie wiem.

- Wątpisz w jego umiejętności zawodowe?

- Och, nie.

- A więc chodzi o sprawy osobiste. Jest młodszy, niż się spodziewałaś, prawda?

- Tak.

- I bardziej atrakcyjny. Pociąga cię?

- Swansy, przecież wiesz, że żaden mężczyzna mnie nie pociąga.

- Nie pociągał. Ale może ci się odmienić.

- Nie może.

- Nonsens. Jesteś kobietą. Jak każda kobieta masz pragnienia.

- Nigdy nie związę się z innym mężczyzną.

Swansy wpatrywała się we mnie po swojemu, bez słowa, czekając, bym kontynuowała. Westchnęłam ciężko.

- Kochałam Adama. Był dla mnie wszystkim. Razem stanowiliśmy jedność. Łączyło nas niewiarogodnie silne uczucie. Mieliśmy jedno wielkie marzenie: żyć w zgodzie ze sobą i w zgodzie z naturą, z dala od zgiełku wielkiego miasta. To, że jego już nie ma, nie znaczy, że mam z tego rezygnować.

- Ależ, dziecko, nikt ci nie każe.

- Gdybym związała się z innym mężczyzną...

- To by niczego nie zmieniło. Nadal żyłabyś w zgodzie ze sobą i w zgodzie z naturą.

- Ale bez Adama.
- Owszem, bez Adama. Bo Adam nie żyje.

Przeniknął mnie ostry ból. Nie byłam pewna, czy bardziej zaboląły mnie słowa Swansy, czy sposób, w jaki je wypowiedziała. Wydawało mi się, że w jej głosie pobrzmiwa nuta zniecierpliwienia. Nigdy dotąd jej nie słyszałam.

Wyczuwając mój smutek, staruszka pochyliła się i położyła mi na kolanie swoją pomarszczoną dłoń.

- Taka jest prawda, Jillie. Sama o tym wiesz. Po prostu nie chcesz jej zaakceptować.

- Akceptuję - sprzeciwiłam się. - Nie oszukuję się. Od sześciu lat za nim tęsknię. Od sześciu lat gotuję obiad dla jednej osoby i spędzam samotnie wieczory. Od sześciu lat kładę się sama do łóżka i sama się budzę. Adam nie żyje. Odszedł na zawsze. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie.

- Ale stoisz w miejscu. Nie wolno się poddawać, trzeba iść przed siebie, nawet małymi kroczkami. Tak powiedziałaś swojemu Peterowi.

- On nie jest moim Peterem.

- Jest bardziej twoim niż moim, bo ty go tu przyprowadziłaś. I nie próbuj zbaczać z tematu. - Staruszka pogroziła mi palcem. - Masz przed sobą całe życie. Nie możesz się zamykać...

- Zamykać? Ja? - oburzyłam się. - Swansy, odkąd Adam umarł, rozwinęłam skrzydła. Tworzę fantastyczne rzeczy. Moja kariera świetnie się rozwija. Przedtem jakaś galeria czasem coś ode mnie

brała, a teraz mam wystawy w Nowym Jorku. Ludzie biją się o moje prace. Czy to się nie liczy?

- Ależ liczy, liczy - żarliwie zapewniła mnie Swansy. - Lecz jesteś również kobietą, nie tylko artystką. Gdzie się podział twój romantyzm, twoje pragnienia, pasje, uczucia?

- Wkładam je w pracę.

Staruszka przez chwilę nad tym dumiała, po czym skinęła głową.

- Tak, to prawda. Właśnie dlatego twoje rzeźby i ceramika są takie inne, takie piękne. Przelewasz uczucia w sztukę, którą tworzysz. Ale co z resztą, Jill? - spytała łagodnie. - Co z twoimi marzeniami?

Z trudem przełknęłam ślinę. Wiedziałam, co Swansy ma na myśli. Po śmierci Adama często o tym rozmawialiśmy, ale już od dawna żadna z nas nie poruszała tego tematu.

Popatrzyłam na swoje dłonie.

- Czasem trzeba z czegoś zrezygnować. Miałam ogromne szczęście na polu zawodowym. Mogę śmiało powiedzieć, że zrobiłam karierę, mam nazwisko. Nigdy nie przypuszczałam, że osiągnę taki sukces. - Zamilkłam. - Tylko egoista uważa, że wszystko mu się należy. Nie ma ludzi w stu procentach spełnionych, którzy zdobyli wszystko i niczego już nie pragną.

- Marzyłaś o dzieciach.

- Bez nich też mogę żyć.

- Ale czy musisz?

- Chciałam mieć dzieci z Adamem, a Adam nie żyje.

- Gdybyś przed Adamem zakochała się w innym mężczyźnie, chciałybyś mieć z nim dzieci. Kochanie, masz w sobie ogromne pokłady miłości. Lubisz się troszczyć o ludzi, opiekować nimi. Troiszczysz się o nas wszystkich, ale to nie to samo.

- Wystarczysz mi ty, Cooper, moja praca. Nie potrzeba mi niczego więcej.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Więc wyjaśnij mi, proszę, dlaczego przy Peterze Hathawayu jesteś taka spięta? Jeżeli do szczęścia nic więcej ci nie potrzeba, dlaczego sam jego widok wprawia cię w drżenie?

- Nie wiem.

- To ja ci powiem. Ponieważ Peter bardzo ci się podoba, a ty czujesz z tego powodu wyrzuty sumienia, gdyż nadal uważasz się za żonę Adama. Ale Adam nie żyje od sześciu lat, więc masz prawo reagować na płęć męską. Nie walcz ze sobą i nie bój się, po prostu poddaj się emocjom...

- Nie chcę. - Przede wszystkim nie chciałam słuchać, jak Swansy bezbłędnie analizuje moją psychikę. Może staruszka była ślepa, a jednak potrafiła przeniknąć mnie na wylot. I wcale mi się nie podobało to, co widziała. - Brr! Najpierw Samantha, teraz ty! Boże, co was wszystkich napadło? Czy ja wam mówię, co macie robić i jak żyć?

- Owszem, mówisz. Mnie powiedziałaś, że mu-

szę mieć psa. Że mając psa, będę bardziej niezależna. Pomyślałam sobie: Niezależna? Kobieta w moim wieku? Ale posłuchałam twojej rady i przyznaję, że miałaś rację.

- Posłuchałaś mojej rady? Ha! Tak bardzo protestowałaś, że musiałam wszystko załatwić za twoimi plecami, a potem wmawiać ci, że biedna Rebeka nie może mieszkać nigdzie indziej, tylko tu, bo jest uczulona na smog.

- Ale twój podstęp się udał. I to się liczy. Chcesz, żebyśmy zamieniły się rolami? Żeby teraz ja ci tłumaczyła, że Peter Hathaway ma wrzody i jedyne, co mu może pomóc, to wypoczynek nad morzem?

- Wrzody? - doleciał nas od drzwi gruby męski głos. - To ciekawe. A można by bez wrzodów? Po prostu sam wypoczynek nad morzem? Jest tu wspólnie. Las, cisza, szum wiatru, huk fal...

Potargana fryzura, zaczerwienione policzki i lśniące oczy zdawały się potwierdzać wszystko, co mówił. Że naprawdę mu się tutaj podoba. Podniesiony kołnierz kurtki chronił go przed wiatrem i chłodem. Wyglądał młodziej niż inni czterdziestoletni mężczyźni. Młodziej, zdrowiej, silniej.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Ale Peter jeszcze nie skończył. Zmarszczywszy czoło, popatrzył pytająco na Swansy.

- Dlaczego miałyby pani tłumaczyć Jill, że cierpię na wrzody?

Natychmiast domyśliłam się, co Swansy odpowie i postanowiłam ją ubiec.

- Żebyś się nad tobą zlitowała i pozwoliła ci u mnie zamieszkać - odparłam nonszalancko. Wstałam z fotela. - Swansy uważa, że wiodę wybrakowane życie. Jej zdaniem nie tylko powinnam zaprosić cię do swojego domu, ale również zająć z tobą w ciążę i urodzić twoje dzieci. - Wykrzywiłam ironicznie wargi. - I co ty na to? Wystarczyło jej dwadzieścia minut, aby uznać, że do siebie pasujemy.

Minęłam Petera i podnosząc głos, żeby starszuszka mnie słyszała, weszłam do kuchni.

- Lubisz wtykać swoje trzy grosze, prawda, Swansy? Ale nie ze mną te sztuczki. Wiem, czego chcę i czego mi potrzeba. A na pewno nie potrzeba mi męża ani dzieci. Moje życie w pełni mnie satysfakcjonuje. - Chwyciłam z krzesła kurtkę i włożyłam na siebie. - Gdybym chciała mieć dzieci, to w okolicy mieszka mnóstwo facetów, którzy chętnie zaoferowaliby swoje usługi. — Wróciłam do salonu. - A gdybym chciała mieć męża, to sama bym go sobie znalazła. Ale, jak już powiedziałam, nie chcę ani męża, ani dzieci. Dobrze mi tak, jak jest.

Ponownie minęłam Petera, podeszłam do fotela na biegunach i kładąc ręce na ramionach starszuszki, pocałowałam ją w policzek.

- Ale ciebie i tak bardzo kocham - szepnęłam.
- Podać ci coś?

Kręcąc przecząco głową, Swansy pogładziła mnie po policzku.

- Może nałożyć ci gulaszu?

- Dziękuję, nie trzeba - rzekła niewinnym tonem. - Sama sobie poradzę. A wiesz dlaczego? Bo zaakceptowałam swoje słabości i nie roztkliwiam się nad sobą. Stałe uczę się nowych rzeczy, o jakich wcześniej nawet nie marzyłam.

Wiedziałam, do czego pije. Ale nie miałam siły się z nią spierać. Zużyłam już cały dzisiejszy zapas złości. Poza tym kochałam tę staruszkę; kto wie, czy nie bardziej niż własną matkę. Zawsze mogłam do niej przyjść. Kiedy mi było smutno, pocieszała mnie; kiedy było mi wesoło, śmiała się wraz ze mną.

Dziś akurat trochę przebrała miarę. Trudno, zdarza się.

- Wpadnę jutro - obiecałam.

Obeszłam Petera i skierowałam się do drzwi kuchennych. Nie chciałam czekać, aż pożegna się ze Swansy. A raczej nie chciałam słyszeć, co będą do siebie mówić. Czasem czyjeś dobre intencje odnoszą przeciwny skutek. Zamiast pomóc - denerwują. Byłam bojowo nastawiona do całego świata.

Zapadał zmierzch, kiedy skręciliśmy z Main w ścieżkę prowadzącą do portu.

- Oto *Swoboda* — powiedziałam, wskazując na solidną łódź, która kołysała się dumnie przy butwiejącym drewnianym pomoście.

Dom Coopera figurował jako następny na mojej liście miejsc do odwiedzenia. Choć mniejszy od

drewnianych chałup stojących wzdłuż Main, był ładny i dobrze utrzymany. Chciałam, żeby Peter to zobaczył.

Zastukawszy mosiężną kołatką, nacisnęłam klamkę i weszłam do środka. Coopera zastaliśmy w niedużym salonie; siedział na ławie przed kominkiem, trzymając w ręce kawał drewna. Strugał je. W ten sposób starał się rozładować frustrację i napięcie; na szczęście jego stan psychiczny nie miał wpływu na łódź, którą rzeźbił. Na razie to był wstępny etap, bardziej zarys łodzi niż łódź, ale ten zarys wyglądał całkiem, całkiem.

- Hej, wszystko w porządku? - spytałam, podchodząc do kominka.

Cooper popatrzył na mnie, łypnął na Petera, po czym skinął głową.

- Martwiłam się o ciebie.

- Niepotrzebnie.

Na ziemię spadło kilka nowych wiórów.

- Oprawdam Petera po okolicy. Właśnie wracamy od Swansy. Pomyślałam sobie, że zajrzemy do Sama na kolację. Może wybierzesz się z nami?

Marzyłam o tym. Błagałam go w duchu, żeby się zgodził. Kolacja we dwoje napawała mnie niemal takim samym strachem, jak myśl o nadchodzącej nocy, którą miałam spędzić z Peterem pod jednym dachem.

Ale Cooper nie zamierzał iść mi na rękę.

- Nie dzisiaj, Jill. Jestem w kiepskim nastroju.

- Może wyjście z domu poprawi ci humor?

- spytałam, choć podejrzewałam, że to tylko moje złudne marzenia.

Spojrzenie, jakie Cooper mi posłał, utwierdziło mnie w tym przekonaniu. Tylko tego brakowało żeby jadł kolację z ważnym prawnikiem z Nowego Jorku. Równie dobrze mógłby dać ogłoszenie do prasy o swoich kłopotach. Rzecz jasna, ogłoszenia nie musiał dawać; wszyscy i tak o nich wiedzieli.

- Jest Benjie? - Rozejrzałam się wkoło.

Zależało mi, żeby Cooper miał towarzystwo, a poza tym chciałam Bena przedstawić Peterowi.

- Jeszcze nie wrócił.

- Myślałam, że miał wrócić wczoraj...

- Dzwonił, że zostaje do jutra.

Benjie Drake i Nowy Jork to nie była najlepsza kombinacja na świecie. Chociaż Cooper starał się pilnować brata, nie mógł go mieć na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zresztą Benjie nie był już dzieckiem. Był młodym mężczyzną, który pracą na łodzi zarabiał na swoje utrzymanie. No właśnie, zarabiał, czas przeszły.

- Nie ma tu nic do roboty - oznajmił Cooper, jakby czytając w moich myślach. - Mnie też się nie podoba, że ciągle jeździ do Nowego Jorku, ale jak zacznę suszyć mu głowę, to gotów przenieść się tam na stałe. - Wykonywał precyzyjne ruchy nożem, nadając rzeźbie kształt. - Cierpliwość popłaca.

- Dużo tego robisz? - spytał Peter. Stał w rozpiętej kurtce, z rękami w kieszeniach, wpatrując się

w drewnianą łódź zdobiącą kamienną półkę nad kominkiem. Górnej jej część, mniej więcej od połowy kadłuba, była precyzyjnie wyrzeźbiona, dolna bardziej przypominała ociosany pień.

Cooper wzruszył ramionami.

- To takie hobby - mruknął.

Wyjawszy rękę z kieszeni, Peter pogładził łódź z taką samą delikatnością, z jaką wcześniej muskał mój ceramiczny wazon.

- Zazdrościsz ci - rzekł cicho, bez jednej fałszywej nuty w głosie. - Ja nie mam żadnych zdolności artystycznych. Nawet charakter pisma mam tak paskudny, że biedna sekretarka straszliwie się męczy, żeby mnie odczytać.

Patrzyłam, jak pociera kciukiem burtę.

- Twoją siłą są słowa - powiedziałam. - Kruczki prawne, strategie...

- Wiem, ale zawsze podziwiałem ludzi, którzy umieją rzeźbić, malować. Tworząc dzieło sztuki, artysta w bardzo piękny sposób daje ujście swoim emocjom.

Zdumiały mnie jego słowa.

- Rozmawiałam o tym ze Swansy. Że za pomocą sztuki przekazujemy swoje myśli, pasje, uczucia. - Skierowałam wzrok na Coopera, który na moment przerwał pracę. - Wpadniesz do mnie jutro po południu?

Zawahał się; chociaż milczał, jego spojrzenie wiele mi mówiło. Że nie chce Petera, że woli McHenry 'ego. Nie odrywałam oczu od jego twarzy.

Nie zamierzałam mu ulec. Peter Hathaway oczyści go z zarzutów; McHenry nie zdoła tego zrobić.

- Wpadnę - burknął. Kąciki ust leciutko mu zadrgały. - Spróbowałbym nie wpaść! Nigdy byś mi nie darowała.

- A żebyś wiedział.

- Twarda z ciebie sztuka.

Swansy i Cooper byli jedynymi osobami, które wiedziały, jaka naprawdę jestem: słaba, krucha, rozdarta.

- Owszem, masz rację. - Odwróciłam się do Petera. - To co, idziemy?

Nie byłam pewna, czy chce zadać Cooperowi jakieś pytania, czy gotów jest wstrzymać się z nimi do jutra.

Jeszcze raz przejechał palcem po rufie łodzi, po czym wsunął rękę z powrotem do kieszeni i wskazał głową drzwi. Pomachawszy Cooperowi na pożegnanie, skierowałam się do wyjścia.

Następnym punktem programu był sklep spożywczy; musiałam dokupić jedzenia na weekend. Tak, właśnie dokupić. Niby wszystko miałam, lodówka była pełna, ale czułam, że to nie starczy. Po pierwsze widziałam, z jakim apetytem Peter pochłonał dwie ogromne kanapki z tuńczykiem. A po drugie... chodziło o jego posturę. Był szczupły, ale ogromny. Ktoś tak szeroki w barach nie zadowoli się jajecznicą z dwóch jaj na śniadanie.

Po wyjściu ze sklepu ruszyłam w stronę „Gospody Sama”.

- Trzeba było zostawić zakupy na koniec... - powiedział Peter, zaglądając do torby, którą trzymał w ręce.

- Claude zamyka wcześniej od Sama - wyjaśniłam.

- Ale minie co najmniej godzina lub dwie, zanim wrócimy do domu. Jedzenie może się zepsuć...

- Nie przejmuj się. Sam ma ogromną lodówkę. Pozwoli mi z niej skorzystać.

Często coś do niej wstawiałam. Takie były korzyści z mieszkania w małym miasteczku. Nie wyobrażam sobie, aby w którymkolwiek z wytworzonych lokali w Filadelfii odwiedzanych przez moją rodzinę szef kuchni zgodził się przechować klientowi zakupy w lodówce. A tu nie stanowiło to problemu. Tak samo w sklepie u Claude'a: jeśli nie miałam przy sobie pieniędzy, mogłam zapłacić kiedy indziej. Greta z kolei zawsze zamawiała dla mnie najnowsze bestsellery...

Wszyscy w miasteczku się znali, kiedy więc weszłam z Peterem do „Gospody”, wywołaliśmy zamieszanie. Chociaż nie, to za dużo powiedziane. Tutejsi ludzie cenią swoją prywatność, są nieśmiali, lakoniczni. Ale na pewno zwrócili na nas uwagę.

Najpierw poprowadziłam Petera na zaplecze. Po drodze odpowiedziałam na pozdrowienia kilku za przyjaźnionych osób: uśmiechnęłam się do Toma Kaskinsa, pomachałam do Joan Tunney, mrugnęłam do Stu Schultza. Ucieszyłam się na ich widok; ich obecność sprawiła, że poczułam się różniej.

Sama Thorna, właściciela i kucharza we własnej osobie, zastałam w kuchni. Obejrzawszy się przez ramię, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Wiedziałem, że musi być jakiś powód, dlaczego przygotowałem dziś lasagne!

Uwielbiam lasagne w wykonaniu Sama. Choć tę typowo włoską potrawę jadałam w różnych restauracjach na świecie, nikt nie potrafił przyrządzić jej lepiej niż ten rodowity Irlandczyk. Oczywiście smak potrawy dodatkowo potęgowała wspa- niała atmosfera „Gospody”. Każdego gościa z miejsca opuszczało napięcie.

Mnie też opuściło. Schowawszy torbę z jedze- niem do lodówki, usiadłam naprzeciwko Petera przy stoliku w łoży. Po paru minutach Sam postawił przed nami dwie porcje swojej słynnej zapiekanki, dwie ogromne sałatki oraz pieczywo czosnkowe. Przez chwilę dotrzymywał nam towarzystwa, po- tem odszedł, a po pewnym czasie inni zaczęli podchodzić, żeby zamienić słowo, przywitać się.

Zdawałam sobie sprawę, że Peter wzbudza ich ciekawość. Ale byli nim też wyraźnie onieśmieleni. Choć się nie wywyższał, a w džinsach i kurtce, z popołudniowym zarostem na twarzy i włosach potarganych przez wiatr nie różnił się od nich wyglądem, chociaż się przyjaźnie uśmiechał, w ich oczach był uosobieniem światowca. A ze światow- cem nigdy dotąd się nie zetknęli.

Wiedziałam, co czują. Bo na swój sposób mnie również Peter imponował. Był przystojny, inteli-

gentny, bogaty; obracał się w kręgach, do których ja nie pasowałam i do których wcale pasować nie chciałam. Gdybyśmy byli w restauracji tylko we dwoje, pewnie wyłamywałabym sobie ze zdenerwowania palce. Na szczęście ciągle ktoś przystawał przy naszym stoliku.

Steven Willow, którego rodzina od trzech pokoleń prowadziła sklep z narzędziami, chciał się mnie poradzić, czy kupić komputer.

- Żeby wiedzieć, ile dokładnie mamy towaru. Paulie twierdzi, że powinniśmy.

- Paul studiuje zarządzanie w miejscowym college'u - wyjaśniłam Peterowi, po czym zwróciłam się do Steve'a: - Warto się nad tym zastanowić. Komputery bardzo staniały. Już nie kosztują tyle, co dawniej. Powiedz, Steve: gdybyś miał komputer, używałbyś go?

Ludzie w małych miasteczkach są konserwatywni; nie pociągają ich nowości. Odpowiedź Steve'a potwierdzała to.

- Ja? Wątpię. Ale Paulie na pewno. A on kiedyś przejmie po mnie interes.

Zamyśliłam się.

- Wiesz co? Przedyskutuj to jeszcze raz z Pauliem. Komputer przydaje się do wielu rzeczy, nie tylko do inwentaryzacji. Może warto w niego zainvestować.

Skinąwszy w podcięcie głową, Steve ruszył do wyjścia, a już po chwili jego miejsce zajęła Noreen McNard. Noreen była jedną z najmłodszych rezy-

dentek miasteczka, najmłodszych stażem, nie wiem. Przeprowadziła się tu zaledwie dwa lata temu, kiedy poślubiła Bucka McNarda Juniora.

- Moi rodzice przyjeżdżają z wizytą - powiedziała, przywitawszy się nieśmiało z Peterem.

Pochodziła z Vermontu. Ponieważ droga samochodem z Vermontu do Maine zajmowała wiele godzin, Noreen rzadko widywała się z rodzicami. Ostatnio bardzo za nimi tęskniła.

- Ojej, to wspaniale! - ucieszyłam się. - Kiedy?

- Za tydzień, w piątek. - Oczy lśniły jej z podniecenia. - Zostaną na weekend. Odstąpimy im naszą sypialnię, a sami przeniesiemy się na strych.

- Nagle zmarkotniała. - Problem w tym, że nie umiem gotować.

- Ej, głowa do góry. Mam mnóstwo fajnych przepisów.

- Ale jestem okropną kucharką.

Ścisnęłam ją za rękę.

- Nieprawda. W zeszłym miesiącu na festynie jadłam twoją sałatkę kartoflaną. Była świetna.

- Przepis dostałam od mamy - mruknęła smętnie. - Przecież nie mogę karmić ich tym samym, co na co dzień jadają u siebie. A każdą nową potrawę psuję.

- Moich nie zepsujesz. Nawet gdybyś chciała, to nie dasz rady. Są łatwe, a co ważniejsze - niezawodne. W dodatku żadna nie wymaga więcej niż pięciu składników. Naprawdę trudno cokolwiek sknocić.

- W oczach Noreen zobaczyłam błysk ulgi i nadziei.

- Wpadnij do mnie w poniedziałek, to razem przejrzymy przepisy.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością, po czym zerknęła nieśmiało na Petera: - Miło mi było pana poznać - powiedziała.

Odprowadziwszy ją wzrokiem, Peter uniósł pytająco brwi.

- Mogłabyś otworzyć biuro konsultingowe. Zawsze tak jest, kiedy wpadasz do miasta?

Pokręciłam przecząco głową, ale w tym momencie, jakby chcąc zadać kłębom moim słowom, do stolika podszedł Noel Bunker. Westchnęłam głęboko.

- Jak leci, Noel?

- W porządku.

Przedstawiając go Peterowi, wyjaśniłam, że Noel jest właścicielem stacji benzynowej i przyjacielem Coopera. Wszystkie informacje, jakie mu przekazywałam na temat różnych osób, Peter notował w pamięci. O nic nikogo nie pytał. Nie wiem, czy wziął sobie do serca to, co mu powiedziałam w domu, że tutejsi mieszkańcy są nieufni wobec obcych, lecz milcząc, postępował mądrze. Dawał nam czas, byśmy się do niego przyzwyczaili. A to znaczyło, że zamierzał zostać dłużej.

Nie bardzo mi ten pomysł przypadł do gustu. Nie chciałam ciągle widzieć Petera, czuć jego obecność...

- A co z Lisą? - spytałam Noela.

- Bez zmian - odparł, po czym miętoszając nerwowo pasek od kurtki, dodał: - Musimy coś zrobić.

- Lisa to córka Noela - rzekłam, zwracając się do Petera. - Ma siedem lat. Latem złamała nogę. Gips zdjęto miesiąc temu, ale mała wciąż ma problemy z chodzeniem. Lekarz twierdzi, że ból minie, jednak noga nie wygląda dobrze.

- Zrobiono jej prześwietlenie? - spytał Peter.

- Tak. Podobno kość się zrosła, ale... - Przeniosłam spojrzenie na Noela. - Może w końcu dasz się namówić na wizytę u specjalisty?

Ku mojemu zdumieniu Noel skinął głową. Od dwóch tygodni przekonywałam go, że warto udać się do innego lekarza, lecz Noel z żoną się opierali. A teraz niespodziewanie wyraził zgodę.

- Rozejrzę się jutro z samego rana - powiedziałam łagodnie. - Może spróbujemy w Bostonie?

- Może być Boston.

Wiedząc, że jest załamany, uśmiechem próbowałam dodać mu otuchy.

- Dobrze. Znajdę dobrego specjalistę. Nie martw się, wyleczymy Lisę.

Noel pożegnał się i odszedł, powłócząc nogami.

- Uwielbiają cię - powiedział Peter.

- Ja ich również. Są dobrzy, normalni, uczciwi. Może niewiele mówią, ale zawsze mówią prawdę. Nie grają. I za to ich kocham.

- Jesteś ich guru.

Speszyłam się.

- Bez przesady. Po prostu mam nieco większe doświadczenie niż ludzie, którzy całe życie spędzili w tym miasteczku. Dlatego przychodzą do mnie ze

swoimi problemami. Lubię im pomagać. Gdyby mnie tutaj nie było, sami by jakoś sobie radzili. - Na moment zamilkłam. - Dzięki nim czuję się potrzebna. Może to tylko złudzenie, lecz to nie ma znaczenia. Dobrze mi z tym.

I faktycznie, tu byłam w swoim żywiole. Wśród tych skromnych, bezpretensjonalnych ludzi czułam się szczęśliwa i spełniona. Spełniona inaczej niż w swojej pracowni na poddaszu, ale na pewno nie mniej. Pomagając innym, czułam satysfakcję jako człowiek; tworząc, czułam satysfakcję jako artystka. Kilka godzin później, kiedy szykowałam się do łóżka, pomyślałam sobie, że tylko jako kobieta czuję się niespełniona.

Ubrana w długą białą koszulę nocną z wysokim kołnierzykiem i koronką przy mankietach, siedziałam na łóżku i wsłuchiwałam się w odgłosy z sąsiedniego pokoju, w którym krzątał się Peter. Ręce miałam wilgotne, policzki zarumienione. Na plecach - i w paru innych miejscach, o których wołałabym zapomnieć - czułam lekkie mrowienie.

Właśnie wtedy zaczęłam rozmyślać o spełnieniu erotycznym. O tym, co kobieta przeżywa w ramionach mężczyzny. Miałam nadzieję, że pragnienia, jakie się we mnie nagle rozbudziły, zgasną. Bo nie chciałam niczego przeżywać, zwłaszcza w ramionach Petera, który osiągnął w życiu to wszystko, co Adam mógłby osiągnąć, gdybym nie należała na wyjazd z Filadelfii.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Obudź mnie o dziewiątej.

Ostatnie słowa, jakie Peter powiedział, zanim zamknął drzwi do swojego pokoju, dźwięczały mi w głowie przez pół nocy. Próbowałam czytać, rozwiązywać krzyżówki, wreszcie weszłam cichutko na górę i zaczęłam szkicować wzór, który zdobiłby miskę na owoce; kiedy w końcu zasnęłam, dochodziła już pierwsza. Obudziłam się o wpół do trzeciej, potem za pięć piąta i dziesięć po szóstej. Za każdym razem wyglądało to tak samo: przekręcałam się na bok, przeciągałam, powoli otrząsałam ze snu i nagle przypominałam sobie, że za ścianą śpi Peter. Serce zaczynało mi łomotać, czułam ucisk

w gardle. Kwadrans po siódmej poddałam się. Wstałam z łóżka, zła i niewyspana.

Obudź mnie o dziewiątej.

Wskazówki zegara na kuchence przesuwały się w żółwym tempie. Nie, wcale nie marzyłam o towarzystwie Petera. Był obcym człowiekiem, nic nas nie łączyło. Przyjechał tu wyłącznie z jednego powodu: żeby oczyścić Coopera z zarzutów. Zakładałam, że po śniadaniu uda się do miasteczka, żeby porozmawiać z każdym, kto będzie chciał i mógł udzielić mu informacji. To mi całkiem pasowało. Nie odpowiadałoby mi, gdyby zamierzał godzinami siedzieć w kuchni i sączyć kawę albo snuć się po salonie. Tego bym chyba nie zdzierżyła. Wtedy lepiej, żeby dłużej pospał.

I chyba na to się zanosilo. Punktualnie o dziewiątej poszłam na górę i zastukałam do drzwi. Ponieważ nie doczekałam się odpowiedzi, zastukałam ponownie. Po chwili, wołając: „Peter! Pobudka!”, zastukałam po raz trzeci. Żadnej reakcji. Ostrożnie nacisnęłam klamkę i pchnęłam lekko drzwi.

Leżał wyciągnięty na brzuchu - łóżko było dla niego zdecydowanie za małe - z jedną ręką wsuniętą pod poduszkę, a drugą zwisającą nad podłogą. Kołdra zakrywała dolną część jego ciała; górna była odsłonięta. Tak jak wielokrotnie w nocy, serce załomotało mi gwałtownie.

Popatrzyłam na sufit, ale niewiele to pomogło. Po prostu kilka rzeczy wryło mi się w pamięć: szerokie, skan i przerobienie Anula43

umięśnione ramiona, ciemna kępka włosów pod pachą, odsłonięta część pośladka...

Wzdychając ciężko, ponownie skierowałam wzrok na śpiącego mężczyznę.

- Peter! - zawołałam cicho.

Bez sensu, przemknęło mi przez myśl. Skoro pukanie, a potem walenie do drzwi nie odniosło skutku, to cichym wołaniem tym bardziej nic nie wskóram.

- Peter! - zawołałam głośniej. - Peter!

Poruszył się. Przesunął nogę, biodro i po chwili znów znieruchomiał. Najwyraźniej zmienił pozycję na wygodniejszą i zamierzał spać dalej.

- Peter! - krzyknęłam lekko zniecierpliwiona.

Ogarnęła mnie panika. Jeżeli nie obudzę go, nawet podnosząc głos, będę musiała potrząsnąć go za ramię. To oznaczało kontakt fizyczny. Nie byłam pewna, czy potrafię zdobyć się na taki krok.

- Hm.

Był to cichy pomruk, a nie głos człowieka obudzonego. Trudno, lepsze to niż nic. Odetchnęłam z ulgą.

- Peter, jest dziewiąta. Prosiłeś, żeby cię obudzić.

- Uhm. - Obrócił głowę na poduszce. Leżał twarzą do mnie, ale oczy miał zamknięte.

- Jest dziewiąta - powtórzyłam. - Słyszysz?

- Słyszę - mruknął ospale i przekręcił głowę, przyjmując poprzednią pozycję.

Miałam wrażenie, że zamierzał z powrotem zasnąć.

- Peter, wstajesz?
- O dziesiątej - wymamrotał. - Obudź mnie o dziesiątej.
- W porządku. - Czym prędzej opuściłam pokój, zamykając za sobą drzwi.

Czyli miałam godzinę czasu. Wczoraj, zanim Peter oświadczył, że potrzebuje mojej pomocy, myślałam, że on zajmie się zbieraniem potrzebnych informacji, a ja swoją pracą. Ciągnęło mnie do niej. Ale godzina mnie nie urządziła. Ledwo wszystko ustawie, będzie dziesiąta. O dziesiątej będę musiała przerwać pracę, żeby obudzić Petera. Potem śniadanie. Diabli wiedzą, do której to potrwa. Tak czy inaczej w tym czasie glina zdąży mi wyschnąć.

Więc praca odpada, uznałam. Już wcześniej się wykapałam, ubrałam, pościeliłam łóżko, sprzątnęłam nie tylko swój pokój, ale również parter, wykazując nadgorliwość, bo cały dom posprzątałam dzień wcześniej. Ale rozpiełała mnie energia i jakoś musiałam ją zużytkować.

Upiekę bułeczki, postanowiłam. Tak, to świetny pomysł!

Ani codziennie nie pucowałam domu, ani codziennie nie piekłam. Wprawdzie moja rodzina czasem sobie ze mnie żartowała, że przeniosłam się na północ, aby obcować z morzem i piec własne pieczywo, jednak tak się nie stało. Próbowałam, nie powiem. Nie ma wspanialszego zapachu na świecie niż zapach świeżego pieczywa. Ale mnie ono jakoś nie wychodziło. Chleb, który wyjmowałam z piekar-

nika, zwykle był niekształtny, a w powietrzu unosił się zapach spalenizny. O wiele prościej było kupować pieczywo w sklepie.

Co innego śniadaniowe babeczki; te zawsze mi się udawały! Wszystkie składniki mieszałam w misce, ciasto wlewałam do papierowych foremek, blaszkę wstawiałam do pieca. Łatwizna.

Robiłam przeróżne babeczki - tradycyjne z jagodami, kukurydziane, z otrębami. Sukcesy zachęcały mnie do coraz śmielszych eksperymentów. Obecnie w swoim repertuarze miałam jabłkowo-orzechowe, z cukinią, z kiełkami pszenicy, z twarogiem i szczypiorkiem, a także z bakaliami i rumem.

Dziś zdecydowałam się na żurawinowo-dyniowe. W zamrażarce miałam torebkę świeżych żurawin, a w szafce kilka puszek dyni. Przystąpiłam do roboty.

O dziesiątej dwa tuziny bułeczek piekły się w piekarniku.

Wytarłszy ręce w ściereczkę, podreptałam na górę. Najpierw zastukałam. Bądź co bądź Peter był obcym człowiekiem; nie mogłam wpaść do jego pokoju bez uprzedzenia tylko dlatego, że przedtem, o dziewiątej, spał kamiennym snem.

Powtórzyłam cały poranny rytuał: zastukałam, kilka razy zawołałam go po imieniu, nieśmiało nacisnęłam klamkę i pchnęłam drzwi. Leżał mniej więcej w tej samej pozycji co godzinę temu, po-
grążony w głębokim śnie.

- Peter? - Odczekawszy chwilę, podniosłam głos. - Peter? - I w końcu krzyknęłam: - Peter!

Poruszył się.

- Hm.

- Jest dziesiąta. Chciałeś, żeby cię obudzić o dziesiątej.

Cisza. Nawet nie drgnął.

- Peter.

Nic.

Zaczęłam się zastanawiać, czy zawsze śpi jak zabity, czy może udaje, żeby zrobić mi na złość. Jeśli to drugie, to osiągnął zamierzony cel. Ogarnęła mnie wściekłość. Energicznym krokiem podeszłam do łóżka i potrząsnęłam śpiącego za ramię.

- Peter! Jest dziesiąta!

Zabrałam szybko rękę. Może byłam zirytowana, ale twardość jego mięśni i ciepło skóry wywarły na mnie piorunujące wrażenie.

Wciągnął w płuca powietrze, przeciągnął się. Kołdra zsunęła się niżej, odsłaniając dwa dołeczki tuż nad pośladkami.

Przygryzłam mocno wargę, ale ból, który poczułam, nie zdołał odwrócić mojej uwagi od tych dołeczków, od linii pleców, od pieprzyków na łopatce ani jasnej gładkiej skóry na wewnętrznej stronie ramienia.

Cofnij się, nakazałam sobie w myślach, ale nogi odmawiały posłuszeństwa. Kołana miałam jak z waty. Bałam się, że jeśli wykonam krok, osunę się na podłogę.

- Pobudka! - zawołałam drżącym głosem.

- Wstawaj, Peter! Już dziesiąta!

Przekręcił głowę, otworzył jedno oko i starał się skupić. Bez większego powodzenia. Przez moment patrzył na mnie, jakby nie wiedział, co to za baba nie daje mu spać. Narastała we mnie coraz większa wściekłość. I nagle usłyszałam zdumiona, jak wymawia moje imię. Niewyraźnie, ale jednak.

- Jill.

- Brawo. Bez pudła.

- Która godzina? - Ledwo poruszał ustami.

- Dziesiąta.

Jęknąwszy, odwrócił twarz do ściany.

- Miałaś obudzić mnie o dziewiątej - wymamrotał.

- Próbowałam. Kazałeś mi przyjść z powrotem o dziewiątej.

- Jestem zmęczony...

Tego nie wzięłam pod uwagę. Byłam tak nabuzowana, tak pełna energii, że nie zastanawiałam się, dlaczego Peter ma trudności z oprzytomnieniem.

- Co masz dziś w planach? - spytałam. Zrobiło mi się go żal. Rzeczywiście wyglądał, jakby był całkiem wyczerpany z sił.

- Chciałem pochodzić po miasteczku. Rozejrzeć się po okolicy. Pogadać z miejscową policją.

- O której Cooper obiecał wpaść?

- O pierwszej.

Obrócił się na wznak i przeciągnął. Zanim podciągnął kołdrę, moim oczom ukazał miękki ciemny zarost na jego brzuchu. Serce mi załomotało. Czym prędzej przeniosłam wzrok wyżej, z brzucha na

owłosioną klatkę piersiową. Po chwili kołdra wszystko zakryła.

Nie zdołałam powstrzymać cichego jęku zawodu. Zawstydzona i przerażona zakaszałam, udając, że mam chrypkę. Czar prysł.

- To co, wstajesz? - spytałam, kierując się do drzwi. W moim głosie pobrzmiwała nuta zniecierpliwienia. Nawet nie próbowałam jej ukryć.

- O jedenastej. Obudź mnie o jedenastej.

- Peter...

- Przepraszam. Jestem skonany. Ostatnie dwie noce prawie w ogóle nie spałem.

To twój problem, kolego, chciałam powiedzieć, ale ugryzłam się w język. I dobrze, że się ugryzłam, bo po chwili dodał:

- Przed przyjazdem tutaj musiałem pokończyć inne sprawy.

No dobrze, to go usprawiedliwiało. Westchnęłam ciężko.

- O jedenastej, tak?

- Uhm.

Tym razem nawet nie starałam się jak najciszej zamknąć drzwi. Nie, nie zatrasnęłam ich, ale normalnie zamknęłam. Potem zbiegłam po schodach tak jak zazwyczaj, a nie na paluszkach, umyłam brudną miskę, następnie zadzwoniłam do starego kumpla w Bostonie i nie ścisząc głosu, wypytałam go o najlepszego ortopedę w mieście, a kiedy skończyłam rozmowę, włączyłam w radiu muzykę country, którą lubiłam słuchać. Gdy uporałam się ze

wszystkim w kuchni, udałam się do pracowni; otwierałam szafki, wyciągałam szuflady, porządkowałam papiery. Kilka minut później zesłam na dół, żeby wyjąć bułeczki z piekarnika. Przy okazji zapaliłam ogień pod gulaszem: niech bulgocze. Mój gulasz nie był tak dobry jak Bettiny Gregorian -jej miał znacznie więcej składników - ale i tak był palce lizać.

O jedenastej, przybierając nonszalancką pozę, udałam się po raz kolejny na górę. Nie traciłam czasu na pukanie ani wołanie: „Peter? Peter!”. Po prostu otworzyłam drzwi i nie bawiąc się w żadne ceregiele, energicznym ruchem potrząsnęłam śpioccha za ramię.

Podsoczył i otworzył szeroko oczy, ale sprawiał wrażenie, jakby nic nie widział. Po chwili zacisnął powieki i opadł z powrotem na łóżko.

- Chryste, ale mnie wystraszyłaś - szepnął.
- Przepraszam. Inaczej nie można cię dobudzić.
- Jest już dziewiąta?

Uśmiechnęłam się.

- Nie. Jedenasta.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Jedenasta? Miałaś mnie obudzić o dziewiątej.
- I obudziłam. Ale kazałeś mi wrócić o dziesiątej.
- Czyli jest dziesiąta.
- Nie. O dziesiątej poprosiłeś, żebym zbudziła cię o jedenastej.
- Naprawdę? - zdziwił się.

Skinęłam głową.

- Aha. - Zasłonił oczy. - Miałem fantastyczny sen.

Adam często mówił to samo. Potem wyciągał po mnie ręce, spodziewając się, że będę równie podniecona, jak on. Ale nie zawsze kończyło się to po jego myśli. Jeśli spałam, niekoniecznie miałam ochotę na seks. Jeśli zaś byłam obudzona, to zwykle dumałam o czym innym. Adam dużo myślał o seksie. Ja nie. Uważałam, że w naszym małżeństwie są ważniejsze i bardziej ekscytujące rzeczy od seksu.

Odruchowo skierowałam wzrok niżej. Na szczęście Peter leżał z nogą zgiętą w kolanie. Niczego nie było widać. Odetchnęłam z ulgą. Jeśli on... Nie wiem, co bym zrobiła.

Może bym...

Nagle przeraziłam się samej siebie. Może moja wybujała wyobraźnia podsuwała mi fałszywe obrazy? Może ten fantastyczny sen w ogóle nie dotyczył seksu? Może Peterowi się śniło, że wygrywa w sądzie jakąś arcytrudną sprawę?

Na wszelki wypadek wolałam o nic nie pytać. Chrząknęłam.

- Nie zaśniesz? Obudziłeś się już na dobre?

- Chyba tak.

- Jak chcesz, możesz wziąć prysznic. - Powiodłam spojrzeniem po szerokiej klatce piersiowej i płaskim, umięśnionym brzuchu. Gdzieniedzie ciało Petera pokrywały niewielkie blizny, które - podobnie jak ta na policzku - nie tylko go nie

szpeciły, lecz w dziwny sposób czyniły jeszcze bardziej atrakcyjnym. - Wody wystarczy. W zeszłym roku wstawiłam nowy piecyk.

- Świetnie.

- Ręczniki znajdziesz w szafce pod umywalką.

Nie byłam pewna, czy nie mówiłam mu tego wczoraj wieczorem, ale trudno. Zastanawiałam się nerwowo, o czym jeszcze powinnam wspomnieć, ale wpatrzona w żebra Petera nie mogłam się skupić. Nie sterczały przesadnie, taki chudy to nie był; po prostu ładnie współgrały z wypukłością klatki i lekkim wgłębieniem brzucha.

- Upiekłam muffinki. Mogę ci jeszcze usmażyć jajecznicę na bekonie... Chyba że ograniczasz spożycie jajek? Niektórzy mężczyźni muszą uważać na poziom cholesterolu - trąkotałam. - Kobiety zresztą też. W razie czego mam serek, jogurt, sporo owoców...

Urwałam. W jednej sekundzie szczebiotałam jak najęta, w drugiej zabrakło mi tchu. Peter przesunął rękę na czoło, odsłaniając jasnozielone oczy. Miałam wrażenie, że przenika mnie na wylot. Że hipnotyzuje spojrzeniem. Nie byłam w stanie się ruszyć. Chciałam uciec, uwolnić się od... od czego? Leżał z uniesioną ręką, z odkrytym torsem. Wydawał się większy niż w rzeczywistości, silniejszy, jeszcze bardziej męski.

Wciągnęłam z sykiem powietrze, kiedy prawą ręką - która dotąd niewinnie spoczywała na kołdrze - chwycił mnie za przegub i lekko pociągnął w swoją stronę.

- Usiądź - poprosił cicho. Nie spuszczał ze mnie oczu.

Potrząsnęłam głową.

- To zły pomysł.

- Dlaczego?

Milczałam. Nie potrafiłam jasno myśleć - tak sobie tłumaczyłam swoje milczenie. Przecież nie mogłam powiedzieć prawdy. Że za bardzo na mnie działa. Że boję się - nie tyle jego, co siebie.

Pociągnął mnie mocniej i po chwili siedziałam na krawędzi łóżka. Udo Petera przylegało do mojego biodra. Wciąż ścisnął mnie za przegub dłoni. Gdyby choć trochę zwolnił uścisk, natychmiast zerwałabym się na nogi. Po chwili przycisnął moją rękę do swojej piersi. Uciekając przed dotykiem, odruchowo zwinęłam dłoń w pięść. Serce waliło mi jak młot.

- Nie powinnam tu być - szepnęłam.

- Dlaczego?

- Bo mam mnóstwo rzeczy do zrobienia na dole.

- Jakich?

Usiłowałam sobie przypomnieć, ale nie mogłam się skupić. Całą energię wkładałam w to, żeby spowolnić bicie serca.

- Muszę... - przełknęłam ślinę - zamieszać gulasz.

- Gulaszu nie trzeba mieszać.

Zwłaszcza gdy bulgocze na małym ogniu, przemknęło mi przez myśl. Ale nie sądziłam, że Peter to wie.

- Umiesz gotować?
- Musiałem się nauczyć. Kwestia przetrwania...
- dodał kwaśno.

Przypomniało mi się, co opowiadał o sobie u Swansy. Trudno było uwierzyć, że kiedyś był takim samym śmiertelnikiem jak wszyscy.

- Pewnie często jadasz na mieście?
- Dość często. Zwykle w pośpiechu. Chętnie gotowałbym w domu, gdybym miał więcej czasu. Lubię pichcić.

Nie wierzyłam własnym uszom. Była jedenasta rano. Peter łądwo się ocknął z głębokiego snu; leżał w łóżku półnagi - właściwie cały nagi, tyle że do połowy przykryty kołdrą - ciepły, pachnący snem... i rozmawiał ze mną o gotowaniu?

Chciałam, żeby opuścił ramię. Męska pacha ma w sobie coś szalenie intymnego. Może dlatego, że rzadko się ją widuje. A może dlatego, że różni się od pachy kobiecej. Ja swoje depiluję. Pachę Petera zaś porastała kępa ciemnych włosów.

Dziwne, ale nigdy nie zwróciłam szczególnej uwagi na pachy Adama. A może zwróciłam, tylko po prostu zapomniałam. Sześć lat to kawał czasu.

Ciszę przerwał niski głos.

- Jesteś mną zawiedziona?

Otworzyłam szeroko oczy.

- Z jakiego powodu?

Peter wzruszył ramionami.

- Nie wiem. -Ale z jego spojrzenia wyczytałam, że wie. Ponieważ w jednej minucie patrzyłam na

niego jak urzeczona, a potem już nie. - Bo spałem? - kontynuował po chwili. - Wynajęłaś mnie w konkretnym celu, żebym zajął się obroną Coopera, a nie po to, żebym wylegiwał się cały weekend.

Jak mogłam być zła czy zawiedziona, skoro jego ciało tak bardzo potrzebowało odpoczynku?

- Byłeś zmęczony... - Usiłowałam zabrać rękę z jego piersi, ale ją przytrzymał.

- Zostaw. Tak jest dobrze.

- Nie powinna tam leżeć. A ja nie powinnam tu siedzieć. Masz rację, wynajęłam cię w konkretnym celu i sama przeszkadzam ci w podjęciu obowiązków.

- Jesteś szefową. Możesz robić, co chcesz.

Nieprawda, nie mogłam. Odebrało mi rozum. To jedyne logiczne wytłumaczenie, dlaczego nie wyszarpnęłam ręki i nie wybiegłam z pokoju. Peter nie trzymał mnie aż tak mocno.

Zostałam. Zostałam, bo czułam na skórze delikatne, podniecające mrowienie. Czegoś takiego nigdy dotąd nie doświadczyłam.

- Dlaczego jesteś taki wykończony? Naprawdę pracowałeś nocami, kończąc różne sprawy, czy tylko tak powiedziałaś, żebym miała wyrzuty sumienia?

Zmarszczył czoło.

- Tak powiedziałem?

- Owszem. Kiedy próbowałam cię dobudzić o dziesiątej. A więc...?

- Rzeczywiście starałem się uporać ze wszystkim przed wyjazdem. Ale to nie praca mnie tak osłabiła; po prostu jeden z moich klientów miał poważne kłopoty. - Widząc zainteresowanie na mojej twarzy, po chwili kontynuował: - Broniełem człowieka oskarżonego o malwersacje. Otrzymał najniższy możliwy wyrok i trafił do więzienia. W zeszły poniedziałek na dziedzińcu więziennym doszło do bijatyki. Mój klient został oskarżony o dźgnięcie nożem innego więźnia.

- O Boże.

- No właśnie: o Boże. Za dwa miesiące dostałby zwolnienie warunkowe. A tak sąd pewnie przedłużył mu karę o pół roku.

- Dźgnął innego więźnia?

- Tak, ale twierdzi, że zrobił to w obronie własnej.

- Byli jacyś świadkowie?

- Mnóstwo. Ale ci faceci nienawidzą mojego klienta, bo on nie jest jednym z nich. Prawdę rzekłszy, to normalny gość, który popełnił w życiu jeden duży błąd. Ma żonę i dwójkę dzieci. Rodzina musiała się przeprowadzić, bo nie wytrzymywała wytykania palcami. I żona, i on z utęsknieniem czekali na to zwolnienie warunkowe, żeby zacząć wszystko od nowa.

- Mogłeś mu jakoś pomóc?

- Codziennie jeździłem do więzienia, próbowałem go uspokoić. Rozmawiałem również z każdym, kogo mogłem dorwać. Mój klient popełnił

przestępstwo finansowe; nigdy dotąd nie posunął się do przemocy fizycznej. Ale w więzieniu człowiek szybko się uczy. Boję się, że jeśli tak dalej pójdzie, to później będzie miał ogromne trudności z przystosowaniem się do normalnego życia.

Ręka leżąca na mojej dłoni zdradzała silne wzburzenie. Ze zdumieniem zobaczyłam, że palce mam wyprostowane; nawet nie wiem, kiedy przestałam zaciskać pięść. Siedziałam bez ruchu. Było mi dobrze; niczego nie chciałam zmieniać.

- Jill?

Podniosłam wzrok.

- O czym myślisz? - spytał Peter zmienionym głosem, innym niż jeszcze przed chwilą.

Ten niski, chropawy głos mnie przestraszył; tym razem zdołałam wyrwać rękę.

- Nie powinnam tu z tobą siedzieć - powiedziałam nerwowo. — To nie w porządku. Przyjechałeś bronić Coopera. W tym celu cię ściągnęłam. I tylko tego chcę: żebyś dobrze wywiązał się z powierzonego zadania.

Opuścił ramię na kołdrę.

- Jesteś pewna? Tylko tego?

Skinęłam energicznie głową.

- Tak. I nie obchodzi mnie, co mówi Samantha, Helaine czy Swansy. Nie jestem osobą wolną, kobietą do wzięcia.

- Nie rozumiem. Nie masz męża. Twierdzisz, że poza przyjaźnią nic cię nie łączy z Cooperem...

- To prawda.

- A z kimś innym? Z jednym z tych przystojniaków, których tak wielu tu podobno mieszka?

Chryste! Ta rozmowa telefoniczna z siostrą będzie się za mną ciągnąć bez końca! Nagle przemknęło mi przez myśl, że może powinnam skłamać i powiedzieć Peterowi, że owszem, spotykam się z pewnym człowiekiem. Przecież nie zorientuje się, że zmyślam.

Chociaż nie; zorientuje się. Przez kilka najbliższych tygodni będzie spotykał się z tubylcami, prowadził z nimi rozmowy. Prędzej czy później dowie się, że nie jestem z nikim związana.

Zamknawszy oczy, westchnęłam głęboko.

- Nie, nie mam nikogo. - Utkwiłam spojrzenie w twarzy Petera. - I nie interesują mnie żadne związki ani romanse. Moje małżeństwo należało do bardzo szczęśliwych. Nadal kocham swojego męża. Zostawił mi dom, łódź i mnóstwo cudownych wspomnień. One mi w zupełności wystarczają.

- Naprawdę?

- Absolutnie.

- To dlaczego drżysz?

- Nie... - przełknęłam ślinę. - Nie wiem, o czym mówisz.

- Wiesz, nie udawaj. Ilekroć na siebie patrzemy, coś się dzieje. Przeskakuje między nami iskra.

- Nonsens.

Nagle położył rękę na mojej szyi i delikatnie potarł kciukiem moje ucho.

- Ciągnie nas do siebie... I to bardzo. - Sięgnął

po rękę, którą przed chwilą zabrałam, i ponownie przyłożył ją do swojego ciała. - Czujesz to? - spytał.

Trudno było nie czuć łomotu. Du-dum. Du-dum. Du-dum.

- Twoje też tak mocno wali.

- Mylisz się.

Patrząc mi prosto w oczy, cofnął rękę od mojego ucha i przytknął ją do mojego serca. Wstań, nakazałam sobie; wyjdź z pokoju! Nie drgnęłam. Ręka spoczywająca na mojej piersi czyniła mnie totalnie niezdolną do ruchu. Miałam wrażenie, że nie tylko ja, ale wszystko dookoła zastygło w bezruchu: moje życie, myśli, marzenia. Tylko serce biło przyspieszonym rytmem. Du-dum. Du-dum. Du-dum.

Ręka Petera zaczęła leciutko przesuwać się po mojej piersi. Nie szkodzi, że przez sweter. Po moim ciele rozszedł się żar. Wciągnęłam głęboko powietrze i popadłam w jakiś dziwny błogostan; o niczym nie myślałam, tylko o tysiącach igiełek, które tak cudownie mnie pieściły.

Nagle Peter uniósł obie ręce, zacisnął je na moich ramionach i przyciągnął mnie do siebie.

- Nie - szepnęłam.

- Tylko jeden pocałunek.

Oczy mu lśniły. Wpatrując się w nie, miałam wrażenie, że w moich żyłach płynie rozgrzana do czerwoności, spieniona lava. Nigdy w życiu czegoś takiego nie czułam. Z nikim. Ani z Adamem, ani z żadnym facetem, który zerkał na mnie poząd-

liwym wzrokiem. I byłam przerażona siłą tych emocji.

- Nie, proszę...

Przytknął wargi do moich ust. Całował lekko, delikatnie, jakby instynktownie wyczuwał mój strach. Próbował mnie oswoić, żebym się odprężyła, przestała się bać. Nie spieszył się, nie poganiał; wolno, cierpliwie pieścił, całował, a ja już nie protestowałam. Było mi dobrze. Z każdą sekundą strach malał, a przyjemność rosła. Coraz bardziej się wciągałam; zaczęłam nie tylko brać, ale i dawać, odwzajemniać pieśczość.

Dotychczas erotykę traktowałam jako coś miłego, ale nie przywiązywałam do niej przesadnie wielkiego znaczenia. Pocałunek był pocałunkiem, pieśczość pieśczością. Nie przypuszczałam, że od pocałunku może się kręcić w głowie, że można zapomnieć o całym otaczającym świecie.

A tak się stało. Zapomniałam. Peter był cierpliwy, nie śpieszył się. Ja też nie. Cóż miałam przyjemniejszego do roboty niż całowanie tego fantastycznego mężczyzny?

Wreszcie z trudem, niechętnie, nasze usta się rozdzieliły. W trakcie pocałunku oczy miałam zamknięte; kiedy zorientowałam się, że nie dotykam warg Petera, uniosłam powieki. Zobaczyłam, że Peter bacznie się we mnie wpatruje.

- Nie - zaprotestował, widząc moje speszzenie.
- Proszę cię, nie miej wyrzutów sumienia. I nie wmawiaj sobie, że zrobiliśmy coś złego. Bo to było

piękne i dobre, a nie złe. - Pogładził mnie po policzku. - Nie znam przyszłości. Nie wiem, czy będzie jakikolwiek dalszy ciąg. Może nie. Może to był ten nasz moment kulminacyjny. Ten jeden wspaniały pocałunek. Nie czyni sobie wyrzutów, Jill. Pocałunek to nie koniec świata.

Nie, zdecydowanie to nie koniec świata, ale może początek? Coś się we mnie zmieniło, coś pękło, jakbym pokonała niewidoczną przeszkodę. Już nie czułam się dziwnie, siedząc na łóżku Petera. Czułam się... na swoim miejscu.

Dlatego nie wstałam. Jedynie cofnęłam ręce, które wcześniej opierałam na torsie Petera, i położyłam je na własnych kolanach.

Peter oparł się wygodnie o poduszki. Jedną rękę trzymał na moim ramieniu - żeby mnie złapać, gdybym nagle chciała się poderwać i uciec. Sympatyczne to było. Nie na siłę. Odprężyłam się. Skoro nie mogę uciec, pomyślałam, to nawet nie ma sensu próbować.

- Opowiedz mi o sobie, Jill. O swoim świecie.

Uśmiechnęłam się bezradnie.

- O moim świecie? - Wydało mi się to ponad moje siły, zwłaszcza w tym momencie, kiedy wciąż kręciło mi się w głowie po pocałunku. - Nie wiem, od czego zacząć - przyznałam, czekając na odpowiedź Petera, który sprawiał wrażenie bardziej przytomnego i doświadczonego.

- Na przykład od tego: co tu robisz? Mówiłaś, że przyjechałaś tu, by zająć się sztuką. Ale oboje

wiemy, że równie dobrze mogłaś tworzyć w Filadelfii. Dlaczego uciekałaś z domu?

- Dorosłam. Wyszłam za męża. - Ponieważ patrzył na mnie wyczekująco, dodałam: - Może miałam zamieszkać z mężem w moim dziecięcym pokoiku?

- Na pewno był to bardzo piękny pokój w bardzo pięknym domu.

- Owszem.

- A dom był duży, z czerwonej cegły, porośnięty bluszczem, stojący pośród pięknych starych drzew?

- Widziałeś go?

- Nie. Ale miałem klientów, którzy mieszkali w tej dzielnicy.

Pomyślałam o Humphreyach. Nie wyobrażam sobie, abym z takimi ludźmi mogła utrzymywać kontakty towarzyskie. Co innego Peter, który reprezentował ich w sądzie, ale mój ojciec? Nie rozumiałam, jak może przyjaźnić się z człowiekiem, który postąpił tak, jak William Humphrey.

- Czyli wiesz, gdzie dorastałam.

- Jako dziecko oddałbym prawą rękę, żeby móc mieszkać w takim domu. Dlatego tak trudno mi pojąć, dlaczego ty wyjechałaś.

- Trudno? To dziwne, bo przecież istnieje sporo podobieństw między ludźmi pochodzącymi z górnych i dolnych warstw społecznych.

- Ciekawe...

- Jest się zaszufadkowanym. Każdy ma wobec

ciebie określone oczekiwania. Jeśli pochodzisz z niższych warstw, powinieneś być zadziorny, nieokrzesany, poniewierany. Jeśli pochodzisz z wyższych, powinieneś błyszczeć: być człowiekiem pewnym siebie, eleganckim, wyrobionym towarzysko. Ja nie pasowałam; wyszłam spod innej sztancy niż reszta mojej rodziny.

Pogłodził mnie delikatnie po ramieniu.

- Co ty mówisz?

- Prawdę.

- Przecież błyszczysz; jesteś pewna siebie, elegancka, towarzysko wyrobiona.

- Mylisz się. Pewności siebie nabrałam dopiero w ciągu ostatnich paru lat. Potrafię zachować się w towarzystwie, gaf nie popełniam, ale na pewno nie błyszczę. Owszem, jestem dość atrakcyjna - kontynuowałam pośpiesznie, by nie pomyślał, że dopominam się o komplementy. - Ale nie błyszczę. Błyszczą osoby, które roztaczają wokół siebie tajemniczy czar. Osoby, które znają odpowiednich ludzi i pokazują się we właściwych miejscach. Osoby, które zawsze i wszędzie skupiają na sobie uwagę innych. Ja się z tym źle czuję.

Na samo wspomnienie życia w Filadelfii przeszły mnie ciarki. Zaczęłam nerwowo wyłamywać palce.

- Moi rodzice uwielbiają chodzić wszędzie, gdzie wypada bywać: do modnych lokali, na eleganckie przyjęcia, na ważne premiery i wernisaże; znają tych, których trzeba znać; czytają to, co należy mieć

przeczytane, Ian i Samantha również. Ja jestem ulepiona z innej gliny. Staralam się dopasować do reszty rodziny; przez dwadzieścia lat próbowałam polubić to, co oni. Myślałam, że prędzej czy później coś zaskoczy, że wreszcie odkryję urok takiego życia, jednak tak się nie stało. - Popatrzyłam Peterowi w oczy. - Wracając do twojego pytania... wyjechałam z Filadelfii, bo znudziła mi się ta cała szopka. Byłam zmęczona udawaniem kogoś, kim nie jestem. Chciałam być sobą.

Siedział oparty o poduszkę, z ręką na moim ramieniu, wsłuchany w to, co mówię.

- Może masz rację - przyznał. - Może rzeczywiście istnieją różne sztance i szufladki. Tyle że ludzie z wyższych warstw społecznych mogą po prostu rzucić krępujące ich pęta, natomiast ci z niższych warstw muszą stoczyć długą walkę, jeśli chcą coś zmienić w swoim życiu.

- I tak, i nie. - Zależało mi, by zrozumiał, że sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. - Ja też walczyłam, a raczej ze mną walczono. Groźby i krzyki są niczym w porównaniu z tym, co ty musiałeś znosić, ale... Dla mnie to był koszmar. Kocham ciszę, spokój. To jeden z powodów, dlaczego nie pasowałam do reszty Madiganów. Oni ciągle się kłóca. O błahostki. O bzdury. - Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie. - Musiałam uciec. Uwolnić się od nich.

Ręka spoczywająca na moim ramieniu zaczęła je lekko gładzić.

- Często się widujecie?
- Raz czy dwa razy w roku.
- W Filadelfii?

Skinęłam głowę.

- Tak. Ich Maine nie pociąga. Może to i lepiej? W każdym razie utarło się, że to ja jeżdżę do nich z wizytą.

- Na święta?

- Och, nie. Tego unikam, jak mogę. Święta wolę spędzać u siebie, na prowincji. Po prostu umawiamy się na jakiś weekend.

- Rodzice pewnie cieszą się z twojej wizyty?
- Owszem, przez pierwsze pięć minut.
- A potem?

- Potem zaczynamy się kłócić. Mam własne poglądy na wiele spraw. W ostatnim czasie coraz śmieję je wypowiadam. To na skutek tej nowo nabytej pewności siebie, o której ci wspomniałam. W Filadelfii jestem jak mała łupina na wzburzonym morzu, a tu czuję się bezpiecznie. Jak łódź zacumowana w porcie.

- Myślę, że to kwestia przyjaciół. Gdybyś w Filadelfii miała wokół siebie takich ludzi, jak tutaj, to...

- Ależ mam tam wielu przyjaciół - zaprotestowałam.

- Przyjaciół? Raczej znajomych. Gdybyś naprawdę lubiła tych ludzi, gdybyś im ufała i za nimi tęskniła, częściej wracałabyś na stare śmieci.

Przyznałam mu w duchu rację. Trafną postawił

diagnozę. Nawet mnie to zdziwiło, bo przecież reprezentował środowisko, które starałam się omijać szerokim łukiem. Mieszkał w wielkim mieście, był bogaty, cieszył się dużym prestiżem. A jednak różnił się od moich znajomych z Filadelfii. Może z powodu swojego pochodzenia? A może z powodu charakteru. W przeciwieństwie do wielu ludzi Peter nie tylko słuchał swego rozmówcy, ale i słyszał, co ten mówi. Szanowałam go za to.

- Nie brak ci miasta?

Zsunął rękę z mojego ramienia i zacisnął ją na mojej dłoni. Nie opierałam się. Jego dotyk sprawiał mi przyjemność.

- Absolutnie nie - odparłam zdecydowanym tonem. W ciągu ostatnich dziewięciu lat często zadawano mi to pytanie i zawsze odpowiadałam tak samo. Nagle się zawahałam. Popatrzyłam na nasze splecione dłonie i ni stąd, ni zowąd powiedziałam cicho, zaskakując samą siebie: - Może czasem. Niektórych rzeczy mi brak. Takich jak łożenia po muzeum. Albo kolacji w ulubionej knajpce. Niby mogłabym wpaść do muzeum czy knajpki podczas corocznej wizyty u rodziców, ale skoro tego nie robię, to chyba znaczy, że aż tak za tym nie tęsknię.

- A gdyby Adam żył? Chodzilibyście na wystawy, do restauracji...?

- Tak. Lubiliśmy przebywać ze sobą.

- A ze mną byś się wybrała? Do muzeum albo na kolację?

Wzięłam głęboki oddech. Już zamierzałam potwierdzić, ale nagle głos uwiązał mi w gardle. Miałabym się gdzieś wybrać z Peterem? Narazić się na ból, na rozczarowanie? Bądź co bądź, Peter nie był Adamem.

- Peter, nie chciałbyś wejść w buty Adama. To nie w twoim stylu...

- Masz rację. Ani ja bym tego nie chciał, ani ty byś tego nie chciała. - Ściszył głos. - Nie próbuj mnie zniechęcić, Jill. Kiedy cię całowałem, nie myślałaś o Adamie, prawda? Teraz, kiedy dotykam twojej ręki, też o nim nie myślisz.

Miał rację, ale nie do końca. Nie, nie zapomniałam o Adamie; wciąż był obecny w moich myślach. Bez przerwy ich porównywałam i często porównanie wypadało na korzyść Petera. To mnie najbardziej martwiło.

- Jill, nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Na jakie? - spytałam lekko poirytowana.

- Czy spędziłabyś ze mną dzień, wieczór lub popołudnie w mieście? Kiedy przyjedziesz na swoją wystawę...

- Mówiłam ci: jeszcze nie wiem, czy przyjadę.

- Ale mogłabyś. To zależy od ciebie. A wtedy zaprosiłbym cię...

- Do pokoju w hotelu Plaza? - spytałam cierpko.

- Do pokoju w hotelu...? Na miłość boską, a co byśmy tam robili?

- Oddawali się rozkoszom cielesnym. Przecież o to ci chodzi, prawda?

- Nie całkiem. Myślałem, że moglibyśmy pójść do muzeum Metropolitan, potem do Muzeum Sztuki Nowoczesnej, może do paru galerii. Ty mogłabyś mnie zabrać do swojej ulubionej restauracji, ja ciebie do mojej. A hotelowy pokój byłby nam niepotrzebny. Mam miłe mieszkanie przy Central Park...

- No widzisz? Miałam rację! Tobie chodzi wyłącznie o jedno!

- Nieprawda! - Trzymał mnie za obie ręce.
- A przynajmniej nieprawda, że chodzi wyłącznie o jedno. Bo z przyjemnością zabrałbym cię do muzeum i na kolację.

- Pewnie ciągle bywasz w Metropolitan.

- Ciągle? Byłem sześć razy, za każdym razem z okazji jakiejś akcji charytatywnej. Nie oglądałem dzieł sztuki. Nie oglądałem ich również w tym drugim muzeum. I wcale się tym nie szczycę. Po prostu nie kusi mnie zwiedzanie muzeów w pojedynkę, a nie spotkałem dotąd nikogo, z kim chciałbym je zwiedzać.

Nuta irytacji w głosie Petera czyniła jego słowa bardziej wiarygodnymi. Podobnie jak spiesznie, które po chwili odmalowało się na jego twarzy.

- Nie patrz na mnie z wyższością - mruknął.
- Ty pewnie miałaś siedem albo osiem lat, kiedy rodzice po raz pierwszy zabrali cię do muzeum. Ja jako dziecko nigdy w żadnym nie byłem. Wiele w życiu osiągnąłem, wiele się nauczyłem,

w różnych sytuacjach doskonale dają sobie radę, ale są miejsca, w których czuję się nieswojo, jakbym tam nie pasował.

- Do takich należą muzea?

- Tak.

- Nie patrzyłam z wyższością. Patrzyłam... ze wzruszeniem.

To niesamowite, że taki silny mężczyzna, który odniósł w życiu ogromny sukces, potrafi jednocześnie być tak wrażliwy i niezaradny. Bardzo mi się to podobało.

Peterowi najwyraźniej też się coś musiało spodobać, bo nim się obejrzałam, wyprostował się, przygarbnał mnie do siebie i zgniótł moje usta w pocałunku. Nie miałam szansy się sprzeciwić. W jednej chwili siedział leniwie wsparty o poduszkę, a w drugiej-

Zresztą nawet gdybym miała szansę się sprzeciwić, to i tak bym nie walczyła. Pamiętałam poprzedni pocałunek i kiedy tylko poczułam na ustach wargi Petera, ogarnęła mnie taka sama rozkosz, co wcześniej. A nawet większa. Moje ciało płonęło. Żar docierał wszędzie, do każdej komórki.

Peter miał rację; nie robiliśmy nic złego. Dlatego nie próbowałam się opierać. Poddałam się nastrojowi. I to był błąd. Z dwóch powodów. Po pierwsze, im dłużej Peter mnie całował, tym bardziej namiętnie to robił i tym bardziej mnie podniecał. A po drugie... po drugie, skupieni na ustach, na dotyku, na

zapachu partnera, nie słyszeliśmy, jak Cooper wchodzi po schodach. Nagle rozległo się głośne chrząknięcie.

Oboje podskoczyliśmy. Obejrzelismy się w stronę, z której doleciał nas dźwięk. W drzwiach pokoju zobaczyliśmy wysoką, ciemną sylwetkę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po raz drugi w życiu ktoś przyłapał mnie w tak intymnej i niezręcznej sytuacji. Pierwszy raz to było dawno temu w Newport, kiedy ja i Jason Abercrombie bawiliśmy się w doktora w hangarze na łodzie należącym do ich rodziny. Mieliśmy wtedy po pięć lat i zareagowaliśmy stosownie do swojego wieku: zaczęliśmy chichotać.

Teraz zupełnie nie wiedziałam, co robić. Nie było mi do śmiechu, poza tym chichot nie wydawał mi się właściwą reakcją. Mogłam poderwać się na równe nogi i zacząć wygładzać sukienkę jak zażenowana panna, ale to też nie miałoby sensu. Gdyby ktokolwiek inny przyłapał mnie z Peterem, ale

Cooper... Z przerażeniem myślałam o tym, jakie to może mieć konsekwencje.

Oszołomiona, spojrzałam na Petera i w tym momencie uświadomiłam sobie kilka rzeczy. Po pierwsze, że nawet kiedy siedzimy, Peter jest sporo wyższy ode mnie; moje oczy znajdowały się na wysokości jego nosa. Po drugie, że jakoś w trakcie pocałunku moje ręce zacisnęły się wokół jego pasa, a ściślej: niebezpiecznie nisko na jego nagich biodrach. Po trzecie, że pocałunek rozpałił mnie do tego stopnia, iż nawet obecność Coopera nie stłumiła tego żaru.

Gdyby to ode mnie zależało, kazałabym Cooperowi wyjść, a sama czym prędzej wróciłabym w ramiona Petera.

Oczywiście mogłam snuć takie rozważania właśnie dlatego, że Cooper stał w drzwiach. Dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Gdyby go tu nie było... Boże! Co on sobie o mnie pomyśli? Czy nie straci do mnie szacunku? Czy nie straci szacunku do Petera? Czy będzie chciał z nim współpracować po tym, co przed chwilą zobaczył? Po tym, na co wciąż patrzy!

Powoli, jakby nigdy nic, cofnęłam ręce z bioder Petera, ale nie odrywałam oczu od jego twarzy. Bezgłośnie mówiłam mu o swoim strachu i błagałam go o pomoc. Żeby coś powiedział, cokolwiek, i jakoś spróbował zapobiec nieszczęściu.

Mogłabym przysiąc, że przez chwilę Peter był równie oszołomiony, jak ja. Nie, z jego twarzy nie

sposób było nic wyczytać, ale w spojrzeniu... Tyle czasu patrzyłam mu w oczy, że widziałam w nich te same obawy i wątpliwości, które mnie dręczyły.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy wyprostował się i odchrząknął; oznaczało to, że zamierza wziąć sprawy w swoje ręce. Jednakże, ku mojemu zdumieniu, zwrócił się do mnie, nie do Coopera:

- Chętnie bym zjadł tę jajecznicę na bekonie. Bułeczki też pachną świetnie... Wiesz co? Zejdź na dół i przygotuj śniadanie, a ja zamienię słowo z Cooperem, potem wskoczę pod prysznic i niedługo spotkamy się w kuchni.

Mówił cicho, ale nie na tyle cicho, by Cooper go nie słyszał. Ponieważ za moimi plecami nie rozległ się protest, uznałam, że Cooper też ma ochotę na rozmowę w cztery oczy. Skinęłam głową i posłusznie wstałam. Chociaż Cooper odsunął się na bok, tak bym mogła swobodnie przejść, zatrzymałam się przy nim i popatrzyłam mu w twarz. Chciałam go przeprosić, jakoś się wytłumaczyć, ale pomyślałam sobie, że to by było nie w porządku wobec Petera.

- Uważaj, Cooper - powiedziałam, siłąc się na dowcip. - On nie ma nic na sobie. A goły facet czasem bywa bardzo niebezpieczny.

Nie czekając na ripostę, wyszłam z pokoju i zbiegłam po schodach.

Roztrzepywałam widelcem jajka, wyładowując swoją frustrację, kiedy doleciał mnie z góry szum wody. Chwilę później do kuchni wszedł Cooper.

- Zjesz z nami śniadanie? - spytałam, udając, że nic się nie stało. — Upiekłam muffinki.

- Trochę za późno na śniadanie.

Zegar przy piekarniku wskazywał dwunastą.

- No to drugie śniadanie. - Zmarszczyłam czoło.

- Miałeś przyjść o pierwszej...

Wzruszył ramionami.

- Siedziałem w domu, zastanawiając się, co Hathaway wyczynia, żeby zasłużyć na to niemałe honorarium, które masz mu zapłacić... - Zamilkł.

- Teraz już wiem.

Poczułabym się okropnie, gdybym nie zauważyła, że kąciaki warg mu lekko drżą.

- To cię śmieszy - zaatakowałam go.

Ponownie wzruszył ramionami.

- „To” niekoniecznie. Ale twoja mina owszem. Nigdy nie zapomnę wyrazu twojej twarzy, kiedy odwróciłaś się i zobaczyłaś mnie w drzwiach.

Zaczerwieniłam się.

- Powinieneś był zawołać z dołu.

- Wołałem.

Po jego wargach znów przemknął cień uśmiechu. Niech się śmieje, pomyślałam; dobrze mu to robi. Ale, psiakość, wołałabym, żeby nie śmiał się ze mnie!

- Co Peter ci powiedział?

- Że ma uczciwe intencje.

Prychnęłam.

- Myśli, że jesteś moim ojcem czy co?

- Ojcem nie. Spytał, czy nie stanowi dla mnie konkurencji.

- Co odpowiedziałeś?

- Że nie. Ale dodałem, że jeżeli wyrządzi ci najmniejszą krzywdę, to porachuję mu kości.

I za to go uwielbiałam. Nie mogąc się powstrzymać, zarzuciłam mu ręce na szyję i uściśnęłam mocno. Cofnęłam się, zanim zdążył zaprotestować. Nie należał do ludzi wylewnych, którym okazywanie uczuć przychodzi w sposób naturalny.

- Cieszę się, że tu jesteś - rzekłam, ponownie sięgając po widelec.

- Na pewno chcesz, żebym został?

- Na pewno.

- Nie wolisz być z nim sama?

- Nie - odparłam, bo emocje opadły i odzyskałam rozum. - Cooper, zostań. Proszę cię. - Spojrzałam w dół na plastry bekonu. - Nie chcę wchodzić w jakiś układ z Peterem, ale coś mnie do niego ciągnie, jakaś niesamowita siła. Sama siebie nie poznaję. Boję się.

Przez chwilę nic nie mówił.

- Po prostu nie śpiesz się. Słuchaj głosu serca.

- Łatwo ci mówić. Nie śpiesz się? A próbowałaś kiedyś powstrzymać wielką falę? — Popatrzyłam na niego błagalnie. - Jak to zrobić, Cooper? Jak ją powstrzymać?

- A chcesz powstrzymać?

- Tak!

- Dłaczego?

- Bo to bez sensu. Nic z tego nie wyniknie.

W moim życiu nie ma miejsca na mężczyznę.

- Nie wygłupiaj się, Jill.
- Nie ma!
- To zrób miejsce.

Powiedział to z poważną miną. Nie żartował. Przypomniały mi się jego słowa, że zamiast wydawać pieniądze na prawnika, powinnam kupić sobie mieszkanie w mieście. Wtedy też nie żartował.

- Gdybym cię lepiej nie znała, mogłabym pomyśleć, że mnie do tego zachęcasz.

- Uważam, że powinnaś słuchać swojej intuicji.
- A Adam? - spytałam.
- Co Adam?
- Kochałam go.

- Wiem. Ale on nie żyje. Nie może być mowy o żadnej zdradzie.

- Ty mnie naprawdę zachęcasz...

Odpowiedział tym swoim wzruszeniem ramion.

- Przydałby ci się dobry seks.
- Cooper!

- Zostanę na śniadanie. Na obiad też, jeżeli ci na tym zależy. Ale w końcu wrócę do siebie. Posłuchaj, Jill. Jeśli nie chcesz Petera, w porządku, ale prędzej czy później kogoś poznasz. Jesteś piękną młodą kobietą. Nie możesz żyć samotnie do końca życia.

Przyglądając mu się uważnie, zastanawiałam się, dlaczego między nami nigdy do niczego nie doszło. Może dlatego, że zawsze towarzyszyłby nam duch Adama. Ale nie tylko. Po prostu nie było między nami chemii. Brak pociągu na szczęście był wzajemny, bo

inaczej ucierpiałyby nasza przyjaźń. A tego bardzo bym nie chciała.

- Zostań - poprosiłam cicho.

Wzięliśmy się do roboty, ja za bekon, Cooper za kawę. Krzątaliśmy się po kuchni w milczeniu, dopóki nie dołączył do nas Peter.

Resztę weekendu zdominowały sprawy związane z obroną Coopera. Całkowicie pochłonięły uwagę Petera. Więcej nie próbował mnie pocałować, choć na pewno nie stracił mną zainteresowania. Widziałam to w jego oczach, ilekroć nasze spojrzenia się krzyżowały: najpierw przy stole w kuchni, później, kiedy rozmawiał z mieszkańcami miasteczka, na zapleczu w sklepie spożywczym, w „Gospodzie Sama”.

Ale pocałować mnie już nie próbował.

W sobotę wieczorem poszłam spać, a on jeszcze długo siedział w salonie, przeglądając notatki. W niedzielę znów spał do późna, ale kiedy zapukałam do drzwi o jedenastej, tak jak się umówiliśmy, obudził się bez większych problemów. Kwadrans później zszedł na śniadanie, świeżo wykąpany i zadowolony przystojny w obcisłych džinsach i sportowej bluzie. Zdziwiłam się, że nie zniósł na dół swojej torby. Sądziłam, że za godzinę czy dwie ruszy z powrotem do Nowego Jorku, ale okazało się, że postanowił zostać co najmniej do połowy tygodnia.

Nie byłam pewna, czy mam się z tego cieszyć, czy nie.

- Muszę zebrać jak najwięcej informacji. Im

pełniejszy będę miał obraz, tym łatwiej będzie mi ustalić linię obrony.

Problem polegał na tym, że niczego nowego nie byliśmy w stanie się dowiedzieć. Mieszkańcy miasteczka nie należeli do osób zbyt rozmownych, choć na zadawane pytania grzecznie udzielali odpowiedzi. Odbyliśmy rozmowy z mniej więcej dwudziestoma osobami, w tym ze wszystkimi członkami załogi. Tylko Benjie był nieobecny. Ludzie darzyli Coopera sympatią i szacunkiem, jednak nie potrafili wyjaśnić, skąd na łodzi wzięły się brylanty.

Do poniedziałku wieczór nikt nam już nie został. Kiedy zasiedliśmy w trójkę do kolacji, Peter przedstawił nam swoje plany.

- Ponieważ nie ma nikogo, komu można by przypisać winę, musimy przekonać sąd, że istnieje uzasadniona wątpliwość, że to Cooper popełnił ten czyn. Mnóstwo ludzi, między innymi szef policji, jest gotowych świadczyć na korzyść Coopera. Przejrzę notatki i zorientuję się, kto najlepiej nadaje się na świadka. Jutro rano wybieram się do Portland na spotkanie z prokuratorem Hummelem. Hummel ma informacje, których potrzebuję, a przynajmniej powinien mieć. W każdym razie to na nim spoczywa obowiązek udowodnienia ci winy. - Zmierzył wzrokiem Coopera. - Będzie się starał wykazać, że w przeszłości trudniłeś się podobnym procederem; czyli dokładnie sprawdzi, czy na twoim koncie nie pojawiały się duże wpłaty niewiadomego pochodzenia.

- Żadnych nie znajdzie - oznajmił stanowczo Cooper. Przysunął do siebie notes Petera, wzięty ołówki i zapisał nazwy trzech banków, w których miał konta, a także przybliżoną kwotę tygodniowego zarobku. - Wpłaty są mniej więcej tej wysokości.

Peter skinął głową.

- W porządku. Do tego Hummel się nie przycepi. Ale będzie szukał dalej, innych rachunków w innych bankach. Ma szansę coś znaleźć?

- Nie.

- Jakieś inwestycje? Żadnych nie poczyniłeś? Może masz akcje, obligacje, nieruchomości, coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie.

- Albo bilet na lot do Ameryki Południowej?

Na to pytanie Cooper nawet nie odpowiedział; Peterowi wystarczyło jego spojrzenie.

- No dobrze. Z tego wniossek, że Hummel oprze całe oskarżenie na jednym dowodzie: brylantach znalezionych w twojej kabinie. Hm, wygląda na to, że ktoś próbuje cię zrobić.

- Ale kto? - spytałam. Nie dawało mi to spokoju. - Kto umieścił brylanty na *Swobodzie*? Skąd zostały skradzione? Kto dał cynk urzędnikom celnym, żeby przeszukali łódź Coopera? Czy celnicy słyszeli coś o jakiejś szajce trudniącej się kradzieżą i przemytem szlachetnych kamieni?

Peter posłał mi spojrzenie, w którym tliła się dziwna czułość.

- Między innymi o takie rzeczy chcę jutro spytać Hummela.

We wtorek rano wyruszył do Portland. Zaproponowałam, że z nim pojedę, lecz kiedy powiedział, że nie ma takiej potrzeby, nie nalegałam. Przypuszczalnie uważał, że pewne sprawy lepiej załatwi beze mnie. Nawet było mi to na rękę. Chciałam od niego chwilę odpocząć. Poza tym musiałam podgonić z własną pracą.

Spędziłam na strychu cały dzień. Chociaż lepiłam, wypalałam i glazurowałam od rana do wieczora, czułam głęboki spokój, którego brakowało mi, kiedy w pobliżu kręcił się Peter. Cieszyłam się, że wreszcie jestem sama ze swoją pracą i swoimi myślami.

Kiedy zaczęło się ściemniać, z coraz szybciej bijącym sercem nasłuchiwałam chrzęstu opon na żwirze. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, kiedy w końcu samochód zajechał przed dom.

Wieczorem spotkaliśmy się z Cooperem. Nie dość, że biedak miał problem z zarekwirowaną łodzią, to jeszcze Benjie zaczął mu się stawiać. Chłopak wrócił z Nowego Jorku i gotów był natychmiast ruszać dalej. Nad nasze towarzystwo przekładał towarzystwo niedawno poznanej dziewczyny z Bangor.

Cooper zaprotestował.

- Dziewczyna nie zajac. Zjesz z nami dziś kolację.

Peter i ja siedzieliśmy w salonie, Cooper i Benjie

rozmawiali w kuchni. Ale dom był tak mały, że słyszeliśmy każde słowo.

- Co ci zależy, Coop? - Benjie głos miał gruby, jak męczyzna, ale ton płaczący, jak dziecko.

- Ona czeka na mnie już od sześciu dni. Jak każę jej dłużej czekać, może stracić cierpliwość.

- Trzeba było wcześniej wrócić z Nowego Jorku - oznajmił Cooper. - Posłuchaj, jutro możesz robić, co ci się podoba, ale dziś chcę, żebyś został w domu.

- Nie mam nic do powiedzenia temu facetowi.

- W porządku; w takim razie będziesz tylko słuchał, jak my rozmawiamy.

- Coop, daj mi dwie godziny. Za dwie godziny wrócę.

- Mowy nie ma.

- No to godzinę.

- Jutro się z nią zobaczysz.

- Nie możesz mi rozkazywać. Jestem dorosły...

- Zgadza się. Jesteś dorosły, a to oznacza, że masz obowiązki...

Głos stawał się coraz cichszy, aż w końcu przestałam odróżniać słowa. Domyśliłam się, że obaj przeszli do holu. Odetchnęłam z ulgą.

- Czasem człowiek podsłuchuje wbrew swej woli - szepnęłam do Petera.

- Często się kłóca? - spytał.

- Dość często. Nie rozumiem Bena. Cooper dba o niego od najmłodszych lat, niczego nie żądając w zamian. Benjie naprawdę mógłby się odwdzię-

czyć, okazać zainteresowanie problemami brata. A jemu wszystko wisi.

- Może chłopak nie wie, co Cooperowi grozi?

- Wie, doskonale wie. Był tu, kiedy celnicy znaleźli brylanty. Zdaje sobie sprawę, że Cooper może wyładować w więzieniu.

- Uważa, że brat jest winny?

- Nie, twierdzi, że został wrobiony, w dodatku wypowiada to twardym, zdecydowanym tonem. W jego głosie nie ma cienia wątpliwości. Ale to wszystko, co mówi. Potem umywa ręce; nie obchodzi go, co będzie dalej. - Prychnęłam gniewnie.

- Uwielbiam Coopera, ale Benjie stanowczo nie należy do moich faworytów.

- Mam wrażenie, że miasteczko podziela twoje zdanie. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, wyrażali się w superlatywach o Cooperze, a nikt słowem nie zająknął się o jego bracie. Pomijali go, jakby nie istniał.

- To jedynie świadczy o ich wspaniałomyślności - rzekłam. - Przez niego ciągle są jakieś kłopoty. Bez przerwy robi ludziom głupie kawały. Ale kawały to pół biedy. Zdarza mu się kraść. Wyobrażasz sobie? Kraść w tak małej miejscinie, w której każdy zna każdego?

- Może to mu dodaje śmiałości? Zna swoje ofiary. A ponieważ wie, że okradnięci lubią Coopera, liczy na to, że Cooper go wybroni.

- I tak się dzieje. W niczym się nie zgadzają, ale to zawsze Cooper ustępuje.

- Dziwne, że razem pracują.
- Cooper na to nalega.
- A Benjie nie protestuje?
- A skąd! Może jest złodziejaszkiem, ale nie jest durniem. Wie, że nigdzie mu lepiej nie będzie.
- Przykłada się chociaż do roboty?
- Nie bardzo. Wypływa siedem na dziesięć razy, a i wtedy nie zasuwa tak, jak reszta załogi. Gdzie indziej znalazłby pracodawcę, który nie grozi mu zwolnieniem, a w dodatku nieźle płaci?
- Czyli Cooper ma z nim urwanie głowy.
- Oj, ma. Benjie jest diabelnie przystojny; potrafi też być niezwykle czarujący. To niebezpieczna mieszanka.

Ilekczo o nim myślałam, ogarniała mnie złość. Głupi szczeniak! Współczułam Cooperowi.

- Bywa nie tylko czarujący, bywa również okrutny - kontynuowałam, wylewając z siebie złe emocje. - Wyobrażam sobie, że w dzieciństwie odrywał muchom skrzydła, a psy dla zabawy karmił zatrutym mięsem. Gdyby był trochę starszy i trochę bardziej inteligentny, radziłabym ci sprawdzić jego konto bankowe. To typ człowieka, który śmiało mógłby przewozić brylanty w kabinie brata, a potem siedzieć cicho i do niczego się nie przyznawać. Co jak co, ale on na pewno nie żałuje, że policja zarekwirowała łódź. Przynajmniej nie musi pracować.

- Jeśli nie pracuje, to nie zarabia. Więc za co urządza sobie wypadki do Nowego Jorku i do panienki w Bangor?

Wzniosłam oczy do nieba.

- Cooper wydaje się rozsądnym człowiekiem - ciągnął Peter. - Nie wie, że przymykając oko na wybryki braciszka, wyrządza mu krzywdę?

- Nie mam pojęcia. Cooper... on po prostu jest nieludzko lojalny wobec tych, których kocha. Wobec mnie, wobec brata. Uwielbia tego gnojka. Stara się być stanowczy, ale w końcu mu ulega. Benjie zawsze postawi na swoim.

- Ta rozmowa, którą słyszeliśmy... Nie wyglądało, aby Cooper zamierzał ustąpić.

- Zobaczysz, wróci sam.

I faktycznie. Kilka minut później Cooper pojawił się sam.

- Benjie pojechał do Bangor - oznajmił spiętym tonem, przeczesując ręką włosy. Przez chwilę miał taką minę, jakby zamierzał coś jeszcze dodać, ale najwyraźniej zmienił zdanie. - Chodźmy - powiedział, kierując się ku drzwiom.

Wybraliśmy się do odległego o kilkanaście kilometrów miasteczka, w którym moi przyjaciele, sympatyczne małżeństwo z Baltimore, prowadziło restaurację oferującą *nouvelle cuisine*. Od razu zauważyłam, że Cooperowi nie spodobało się menu. Nie gustował w wymyślnych potrawach; najbardziej lubił mięso, ziemniaki, warzywa. Ja też lubiłam tradycyjną kuchnię, ale od czasu do czasu korciła innie odmiana.

Podobnie jak ja, Peter z zainteresowaniem studiował kartę. Nawet mnie to zdziwiło; myślałam, że

nowojorczyk nie doszuka się w niej nic ciekawego. Ale Peter stwierdził, że intrygują go lokalne specjalności. Bawiliśmy się świetnie, żartując z biednego Coopera, który miał trudności z podjęciem decyzji.

Jedzenie, tak jak przypuszczałam, było wyśmiewane. Zresztą dlatego wybrałam tę restaurację. Chciałam zaimponować Peterowi, pokazać mu, że my, mieszkańcy Maine, też wiemy, co smaczne i dobre. Cooper oczywiście zrzędził i narzekał. A to na obrus, a to na główne dania, i chociaż robił to z poważną miną, w sumie był bardzo zabawny.

Dopisywał mi humor, i nie sędzę, aby wpływ na to miały dwa kieliszki wina, które wypijałam. Cieszyłam się, że spędzam wieczór z dwoma uroczymi mężczyznami: Peterem, który mnie pociągał, i Cooperem, który dawał mi poczucie bezpieczeństwa.

Gdyby tydzień temu ktoś mi powiedział, że będę jadła kolację w restauracji z dwoma mężczyznami, nie uwierzyłabym. A dziś tak było, i sprawiało mi to niekłamana przyjemność. W dodatku po raz pierwszy od wielu miesięcy ubrałam się wyjściowo; może nie jakoś szalowo, ale na pewno elegancko: w wełniany kostium, który rok temu kupiłam w Filadelfii. W spódnicy do kolan, zakiecie, jedwabnej bluzce i ze sznurem pereł na szyi, który rodzice podarowali mi na osiemnaste urodziny, czułam się bardzo kobieco.

Głównie dlatego, że zawsze chodziłam w spodniach, a teraz nogi miałam odsłonięte. Zauważyłam, że Peter co rusz zerka na nie ukradkiem. Z za-

chwytem w oczach spoglądał też na moje włosy, które umyłam, wysuszyłam i zostawiłam rozpuszczone.

Cooper wrócił z nami do domu - całe szczęście, bo nie wiem, co bym zrobiła. Usiadł z Peterem w salonie i spytał o jego rozmowę z Hummelem.

Przez godzinę Peter relacjonował wszystko, czego się dowiedział i czego się nie dowiedział, następnie zaczął mówić o wnioskach, petycjach, wezwaniach. Starałam się skupić na jego słowach, ale ciągle coś odwracało moją uwagę. Najpierw usta Petera, potem kontrast pomiędzy jego białą koszulą a opadającymi na kołnierz ciemnymi kosmykami, następnie włoski porastające fragment nadgarstka, który wystawał z rękawa granatowej marynarki, oraz sposób, w jaki spodnie opinały mu udo, kiedy zakładał nogę na nogę. Potem znów usta; one najbardziej mnie fascynowały.

Powieki zaczęły mi ciążyć. Obudziłam się, kiedy Cooper potrząsnął mnie delikatnie za ramię.

- Lepiej ja niż on - powiedział, wskazując głową na Petera.

Odniosłam wrażenie, że omawiali, który z nich ma mnie obudzić. I że byli w świetnej komitywie. To dobrze. Cieszyłam się, że pomimo różnic charakterologicznych i początkowych oporów Coopera poczuli do siebie sympatię. Z drugiej strony wcale tak wiele ich nie różniło. W końcu wbrew temu, co mi się wydawało, Peter nie pochodził z wyższych sfer.

Oczywiście nie miało to najmniejszego znaczenia. Prawdę mówiąc, w tym momencie nic nie miało znaczenia. Po prostu chciałam iść spać. Dawno nie piłam wina i najwyraźniej uderzyło mi do głowy.

Peterowi nie. Nie wiem, jak długo siedział, rozmawiając z Cooperem, i o której poszedł spać, ale kiedy obudziłam się - o dziewiątej, straszliwie późno jak na mnie - był już na nogach; zaparzywszy kawę, przygotowywał coś, co pachniało niesamowicie apetycznie. Racuszki. Tak pysznych jeszcze nigdy nie jadłam. Użył jakiegoś „tajemniczego” składnika. Kiedy jednak zorientowałam się, że ogólna liczba składników przekracza pięć, nawet nie spytałam o tajemniczy składnik. Dań, do których potrzeba więcej niż pięciu składników, nie robię; taką mam zasadę. Pięć to maksymalna ilość. Racuszki chętnie znów zjem, ale w wykonaniu Petera.

W wykonaniu Petera? To chyba niezbyt mądre, przemknęło mi przez myśl. Może niezbyt mądre, ale kiedy po rozmowie z komendantem portu wróciliśmy do domu i Peter załadował torbę do samochodu, nie zdołałam się powstrzymać:

- To kiedy cię znów zobaczymy? - spytałam.

- O sobie mówisz w liczbie mnogiej? Jak królowa? - zażartował.

Zmieszałam się. Długo wpatrywał mi się w twarz. Jego oczy przenikały mnie na wylot.

- Jak królowa... - powtórzył ochryple, już bez cienia wesołości. - Faktycznie; odstajesz od tutejszych mieszkańców. Chcesz być taka jak oni, ale

jednak różnisz się od reszty. Oni to instynktownie czują. Widziałem, jak z tobą rozmawiają. Okazują ci szacunek, jak komuś lepiej urodzonemu. Zauważyłem to również wczoraj w restauracji. Jesteś księżniczką. Bogatą panną Madigan.

- Ale oni nic o mnie nie wiedzą, nie znają mojej rodziny, mojego pochodzenia. Nikomu o tym nie mówiłam.

- Nie szkodzi. To wciąż w tobie tkwi - powiedział cicho. - Uciekłaś od zgiełku dużego miasta, aby wieść spokojne życie w domu na skalnym urwisku. Ale człowiek jest bardziej skomplikowaną istotą. Nosi w sobie swoją przeszłość, zwyczaje, pochodzenie. Tych rzeczy nie sposób wyeliminować; one ujawniają się w tym, jak się poruszasz, jak rozwiązujesz problemy, w wyborach, jakich dokonujesz... - urwał. - Ale nie odpowiedziałem na twoje pytanie, prawda?

Byłam zdumiona, że tyle czasu poświęcił analizie mojego charakteru. Czułam się mile połączona.

- Nie, nie odpowiedziałeś - szepnęłam.

- To dlatego, że sam nie wiem. Teraz czeka mnie mnóstwo papierkowej roboty. Zadzwońię do Coopera, kiedy będę miał do niego pytania. I do ciebie.

Zaraz, zaraz. Zadzwońi do Coopera, kiedy będzie miał pytania do mnie? Czy zadzwoni do mnie? Psiakość, byłam w kropce! Nie chciałam jednak dopytywać się i uściślać, żeby nie pomyślał sobie, że strasznie mi na nim zależy. A potem nie było już

okazji, bo ujął mnie łokieć i poprowadził z powrotem do drzwi.

Wiatr targał mu włosy, układał je w niedbałą fryzurę. Taką, jaka mi się najbardziej podobała.

- Będziesz jechał non stop?

- Nie wiem. - Sprawiał wrażenie nieobecnego myślami. - Zobaczę.

- Czeka cię długa droga. Przynajmniej wstąp gdzieś na kawę.

Nie odpowiedział. Weszłam do domu, obróciłam się i z trudem przełknęłam ślinę. Peter patrzył na mnie z powagą w oczach. Oboje milczeliśmy. Nie chciałam się angażować, nie chciałam się wiązać z żadnym mężczyzną, ałe... ale naprawdę polubiłam Petera.

- Jill, dziękuję za wszystko - powiedział cicho, z uczuciem w głosie.

Zaczerwieniłam się.

- Obiecałam ci spanie i wikt. Może trochę niekonwencjonalny okazał się ten mój hotel, ale przynajmniej miałeś dach nad głową.

- Miałem. - W jego oczach dojrzałam tęsknotę.

- Będzie mi ciebie brak, Jill.

Na moment serce mi zamarło, a potem ruszyło galopem. Bałam się myśleć o przyszłości, więc wzruszyłam lekko ramionami i oznajmiłam ze śmiechem:

- Mnie? Nie żartuj! Wracasz do świateł miasta, do swojej kancelarii i współpracowników, do swoich przyjaciół i znajomych, którzy każdego wieczoru wyda-

ją huczne przyjęcia. Do swojego mieszkania przy Central Park...

Wciąż patrzył na mnie ze smutkiem w oczach, a ja nie mogłam tego pojąć. Wracał do siebie, do Nowego Jorku. Chyba nie było mu żal, że opuszcza Maine? Prawda?

- Chodź tu - mruknął, zgarniając mnie w ramiona.

Schyliwszy głowę, zdusił mi usta w namiętym pocałunku. Przeszył mnie żar. Nogi miałam jak z waty. Tego pragnęłam i tego się bałam; tego ognia, który we mnie rozpałił. Miałam wrażenie, że cała płonę. W ciągu tych kilku dni tłamsiłam w sobie zbyt wiele emocji - i teraz wszystko wybuchło.

Czy słusznie robiliśmy? Chyba tak. Ale pewnie Ewie też się wydawało, że postępuje właściwie, gdy odgryzała pierwszy kęs jabłka. Od pocałunku kręciło mi się w głowie. Nie byłam w stanie jasno myśleć.

Obecność Petera od samego początku powodowała bezład w mojej głowie; pocałunek jeszcze go wzmacniał. Wzmagał zamęt, przyprawiał o dreszcze, podsycał ogień.

Nie tylko wargi Petera odbierały mi rozum. Również jego ciało. Trzymał mnie, jak nigdy dotąd. Blisko. Kurtki mieliśmy rozpięte. Nasze ciała się stykały, napierały na siebie. Wsunął ręce pod moją kurtkę; jedna gładziła mnie po plecach, druga spoczywała płasko na moich pośladkach. Może Peter był człowiekiem z miasta, ale budowę miał sportowca: twardy brzuch, twarde ramiona, twarde uda.

Po raz pierwszy w życiu czułam się podniecona męskim ciałem. Wzrost Petera podkreślał moją kruchość, a szerokość jego ramion moją kobiecość. Miał długie nogi, wąskie biodra, umięśnione plecy...

Z sekundy na sekundę coraz bardziej zdawałam sobie sprawę z jego siły i witalności, a także z pragnienia, które we mnie narastało i domagało się zaspokojenia. Peter dał mi przedsmak nieba, ale przedsmak już mi nie wystarczał. Po raz pierwszy chciałam więcej. Odwzajemniałam pocałunek, ale to jeszcze bardziej wzmagало podniecenie. Miałam wrażenie, że piersi mi eksplodują. Przytuliłam się do niego mocniej. Przyparł mnie do drzwi, przygarnął mocno i zaczął błędzić rękami po moim ciele.

Jęknęłam. Półprzytomna, z trudem łapałam oddech. I nagle Peter oderwał usta od moich warg. Odsunął się pół kroku. Stał przede mną, z rękami wzdłuż ciała, z opuszczoną głową. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłam sobie, jak niewiele brakowało... Gdybyśmy weszli do pokoju, gdyby... Patrzyłam na niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

No, proszę! A tyle mówiłam o swojej miłości do Adama, o tym, że nie mogłabym go zdradzić, wiążąc się z innym mężczyzną. Nie zdziwiłabym się, gdyby Peter nazwał mnie hipokrytką.

Ale on w dalszym ciągu stał milczący, z opuszczoną głową. Podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy oddech wrócił mu do normy.

- Muszę jechać. - Tylko jego lśniące oczy i chrypka w głosie świadczyły o niedawnej namiętności. - No to cześć.

Nic więcej nie powiedział, nie uśmiechnął się, nie pogładził mnie po policzku. Po prostu odwrócił się na pięcie, doszedł do samochodu, wsiadł, zapalił silnik i odjechał.

Patrzyłam z niedowierzaniem, czekając, aż zahamuje, opuści szybę, zawoła: „Zadzwoń wieczorem!” albo „Uważaj na siebie, dopóki nie wrócę!”, albo „O rany! Co za pocałunek!”. Ale Peter nie zatrzymał się. Saab dojechał do końca podjazdu, skręcił w prawo i znikł mi z oczu. Nie wytrzymałam. Dobiegłam do ulicy i przez moment śledziłam oddalające się czerwone światełka.

— No to cześć? - mruknęłam pod nosem. Potem oparłam ręce na biodrach i krzyknęłam za niewidocznym w oddali samochodem: - No to cześć! Tylko to masz mi do powiedzenia? Całujesz mnie do utraty tchu, przytulasz, a potem odchodzisz, mówiąc: „No to cześć”? - Wściekła, pomaszerowałam z powrotem do domu. - Niezły z ciebie drań. Nic dziwnego, że wciąż jesteś kawalerem. Jaka kobieta chciałaby takiego faceta? Komu potrzeba cwaniaka, który bierze, co chce, a potem odwraca się na pięcie i na odchodne mówi... - zniżyłam głos, naśladując głos Petera - „No to cześć”. No to cześć! - wrzasnęłam. - I krzyżyk na drogę!

Weszłam do domu, z całej siły zatraskując za sobą drzwi.

- Za kogo on się uważa? - Krążyłam po pokoju, żywo gestykulując. - A mnie? Za kogo on mnie ma? Myśli, że jestem z kamienia? Że można mnie odkręcić i zakręcić jak kran? Wyłączyć mi baterijki? Chryste! Naprawdę nie wie, że jestem czującą, myślącą istotą? Nie zdaje sobie sprawy, co ze mną zrobił?

Przestałam wydeptywać ścieżkę. Zrezygnowana i przygnębiona, stanęłam na środku pokoju.

- A raczej co ja przez niego zrobiłam?

Nogi ugięły się pode mną. Osunęłam się na podłogę, przyciągnęłam do piersi kolana, otoczyłam je ramieniem, potem wcisnęłam w nie twarz i zalałam się łzami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W końcu się uspokoiłam. Nieczęsto wybucham płaczem, ale gdy już mi się to zdarzało, zawsze potem czułam się lepiej. Łzy miały ozdrowieńczą moc. Wytarłszy oczy, wstałam z podłogi. Pożądanie to rzecz ulotna, która szybko mija, uznałam. Nie ma sensu rozpaczać z powodu mężczyzny, który odjechał.

Tym bardziej, że został drugi - ten z kłopotami. Z jednej strony cieszyłam się, że zatrudniłam Petera; mogłam mieć do niego różne zastrzeżenia natury osobistej, lecz nie kwestionowałam jego umiejętności zawodowych. Wiedziałam, że po powrocie do Nowego Jorku będzie zajmował się sprawą Coopera. I to było najważniejsze. Z drugiej jednak

strony czułam się bezsilna. Też chciałam coś zrobić, pomóc Cooperowi. Ktoś go wrabiał, ale kto?

Usiłowałam znaleźć odpowiedź na to pytanie. Kiedy nie rozmyślałam o Cooperze i ukrytych w kabinie brylantach, siedziałam na strychu pochłonięta pracą. Nie miałam czasu na dumanie o Peterze, o naszym namiętym pocałunku, o rzuconych na pożegnanie słowach „No to cześć”.

Praca szła mi dobrze. W pierwszym tygodniu wykonałam trzy nowe figurki, które powinny przypaść Moni do gustu. Jak zwykle przed wystawą denerwowałam się, że z niczym nie zdążę. Powoli strach znikał. Czułam wenę twórczą. Byłam pewna, że nie zawiodę oczekiwań; że wystawa okaże się sukcesem.

Ponieważ sprawa brylantów nie dawała mi spokoju, we wtorek rano postanowiłam zajrzeć do Coopera i pogadać z jego bratem. Był jedynym członkiem załogi, z którym Peter nie miał okazji porozmawiać. I chociaż wierzyłam, że chłopak nie miał nic wspólnego z przemytem, mógł widzieć lub słyszeć coś, co uznał za nieistotny szczegół, o którym nie warto nikomu wspominać.

Benjie nie był zachwycony moim widokiem.

— Coopera nie ma w domu - oznajmił, rzucając mi spojrzenie spode łba, kiedy weszłam do kuchni. Mieszkał w szklance coś, co wyglądało jak lekarstwo na kaca; zresztą sprawiał wrażenie mocno skacowanego.

— To dobrze. Chciałam pogadać z tobą.

- O czym?

- O Cooperze. O łodzi. O załodze.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówił; zwrócony do mnie plecami, podniósł do ust szklankę i opróżnił ją jednym haustem. Obserwując go od tyłu, musiałam przyznać, że jest świetnie zbudowany. Nie dziwiłam się, że ma takie powodzenie u dziewczyn, choć ja osobiście wolałam facetów bardziej męskich. Mimo że fizycznie byli z Cooperem do siebie podobni, Benjie był chłopcem, a Cooper dojrzałym mężczyzną o dojrzałym ciele. Najbardziej dojrzały wydawał mi się oczywiście Peter; nie tylko miał doskonałe proporcje, ale emanował seksem. Z drugiej strony piękno i zmysłowość... wszystko jest w oczach patrzącego.

Patrzącym, przynajmniej na Petera, byłam ja.

Speszona własnymi myślami, usiadłam na krześle i uzbroiłam się w cierpliwość. W końcu Benjie odwrócił się.

Wyglądał koszmarnie. Nie chodziło o pogniębione dzinsy i koszulę, w której spał. Ani o zarost na policzkach i przekrwione oczy. Chodziło o spojrzenie, które bardziej pasowało do twarzy zmęczonego życiem starca niż dwudziestolatka.

- O załodze? - mruknął.

- Tak. On ma poważne kłopoty, Ben. - Nie musiałam mówić, kim „on” jest. Oboje dobrze wiedzieliśmy. - I jeżeli mu nie pomożemy, trafi do więzienia.

- Nie trafi. Ten gość z Nowego Jorku na pewno coś wymyśli.

- Peter jest prawnikiem, a nie cudotwórcą.

Problem polega na tym - rzekłam z naciskiem, nie będąc pewna, czy Benjie zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji - że kamienie znaleziono w kabinie Coopera. To niemal tak, jakby przyłapano go na kradzieży. - Zawiesiłam głos.

Benjie patrzył na mnie z obojętną miną. Albo totalnie nie przejmował się kłopotami brata, albo nie rozumiał, co do niego mówię.

- Może kiedy indziej porozmawiamy... - Zaczęłam się podnosić.

- Nie. Dokończ, proszę.

Wiem, co myślał. Żebym powiedziała, co mam co powiedzenia, i dała mu święty spokój. A ja pomyślałam, zresztą nie po raz pierwszy, że Benjie nie zasługuje na takiego dobrego brata. Naprawdę chciałam go polubić. Współczułam mu; stracił rodziców w pożarze, a wcześniej, kiedy żyli, też nie miał łatwego życia. Szkoda, że szukał pocieszenia w alkoholu, że wyładowywał frustrację na Cooperze, że nie zgadzał się na terapię.

Ale - psiarew! - już nie był dzieckiem. Trudno ciągle współczuć komuś, kto sam nikomu nie okazuje serca, a już najmniej własnemu bratu.

Zawahałam się. Korciło mnie, żeby wyjść, uwolnić się od niego. Ale po chwili przypomniałam sobie o zarekwirowanej łodzi i z powrotem usiadłam na krześle.

- Brylanty znaleziono w kabinie Coopera - powtórzyłam, chcąc wbić ten fakt do tępej głowy Bena. - Ktoś musiał je tam podrzucić.

- Znasz moje zdanie. - Sięgnął do szafki po otwartą torbę chipsów.

- Że ktoś próbuje zrobić go w szmugiel - powiedziałam. - Ale kto? I dlaczego? Myślisz, że to któryś z chłopaków?

- Skąd mogę wiedzieć? - wymamrotał z pełnymi ustami.

- Bo z nimi pracujesz.

- Cooper też. A on wie?

- Twierdzi, że może ręczyć za każdego z nich. Benjie wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- Mądrała.

- Co to ma znaczyć?

Wzruszył ramionami.

- Nic. Skoro twierdzi, że chłopcy są niewinni, to znaczy, że są niewinni.

Zignorowałam sarkazm w jego głosie.

- Niekoniecznie. Może Cooper nie wszystko dostrzega. Może kapitanowi nie o wszystkim się mówi. Może są rzeczy, które ty widzisz wyraźniej niż on.

- Wątpię. - Wepchnął do ust kolejną garść chipsów.

- Skup się, Benjie. Pomyśl.

- A sądzisz, że co? Że nie myślałem?

Przełknął to, co miał w ustach. Rozłościłam go, ale jeśli jest szansa, że coś sobie przypomni, warto go przycisnąć.

- Czego ode mnie chcesz? - kontynuował gniewnie. - Żebym wyciągnął z kapelusza dowód jego

niewinności? Przepadasz za Cooperem. Uważasz go za chodzący ideał. Gotowa byłabyś zwalić winę na każdego, żeby tylko oczyścić Coopa.

- Nieprawda. Po prostu chcę, żeby skazano właściwego człowieka.

- I żeby Cooper do końca życia był ci wdzięczny, że ocaliłaś mu tyłek? On i tak się z tobą nie ożeni. Nigdy się z tobą nie ożeni!

Zdumiał mnie jad w jego głosie. Miałam wrażenie, że Benjie pała do mnie nienawiścią. Ale dlaczego? Zgoda, nie darzyliśmy się wielką sympatią i czasem powodowało to spięcia między mną a Cooperem, lecz dotychczas nasze wzajemne relacje były całkiem poprawne. Nikomu nie mówiłam, co o nim myślę, zwłaszcza Cooperowi. Tylko Swansy, no i teraz Peter znali prawdę.

Zamiast się obrażać i tłumaczyć mu, że się myli, oznajmiłam spokojnie:

- Masz rację. Ja też za niego nie wyjdę. Żadne z nas tego nie chce.

- Akurat! Poślubiłabyś go nawet jutro, gdyby poprosił cię o rękę.

- Pytałeś go o to?

- Nie muszę. Mam oczy. I znam swojego brata. Nie jestem taki tępy, jak ci się wydaje.

- Nie twierdzę, że jesteś tępy, Benjie. Po prostu przyszło mi do głowy, że może na statku wydarzyło się coś, na co w owym czasie nikt nie zwrócił uwagi, a co teraz może mieć znaczenie. - Uniosłam rękę. Nie chciałam się z nim kłócić. - W porządku. Na

użytek rozmowy przyjmijmy, że załoga jest niewinna. Wiemy, że brylanty umieszczono w kabinie Coopera, kiedy łódź cumowała w Grand Bank, bo nigdzie indziej nie stawaliście. Kto mógł je wnieść na pokład?

Popatrzył na mnie, jakbym to ja była tępa.

- Jedna z dziesiątek czy setek osób kręcących się po nabrzeżu.

- Zauważyłeś, by ktoś szczególnie interesował się *Swobodą!*

- Owszem. Kelnerka z portowej knajpy. Umówiłem się z nią pierwszego wieczora. Potem bez przerwy spoglądała w naszą stronę. Nie mogła oderwać ode mnie wzroku. Wiem, bo ja też na nią filowałem. - Uśmiechnął się szeroko. - Miała świetne cycki.

Skrzywiłam się.

- Jesteś obrzydliwy.

Wzruszył ramionami.

- Ty też masz niezłe. - Po chwili uśmiech na jego twarzy zgasł. - Ale to ci nic nie pomoże. Cooper nie jest nimi ani tobą zainteresowany.

Nie wytrzymałam.

- Psiakrew, Benjie! O co ci chodzi? Przecież wiem, że Cooper nie chce iść ze mną do łóżka, a tym bardziej się ze mną żenić. I dobrze, bo ja też nie mam na to ochoty. Więc jeśli boisz się, że ci go odbiorę, to możesz spać spokojnie. Nie odbiorę. Nie stanowią dla ciebie żadnego zagrożenia.

Wydało mi się to dziwne, nienormalne. Gdyby

miął dziesięć czy dwanaście lat, od biedy piętnaście, potrafiłabym go zrozumieć. Ale dwadzieścia?

Rzuciwszy torbę w chipsami na blat szafki, otworzył lodówkę, wyjął dwulitrową butelkę mleka i podniósł ją do ust. Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, to że zaraz się ochlapie; druga - ponieważ nie wylał nawet kropli - że musi mieć doświadczenie w picciu prosto w butelki; trzecia - że to bardzo niehigieniczne; czwarta - że to nie mój interes.

Z białą obwódką na ciemnym zaroście obejrzał się przez ramię.

- Nigdy nie uważałem cię za zagrożenie. Ale wolałbym, żebyś pilnowała własnego nosa. Cooper był zadowolony z McHenry'ego. Po jaką cholere się wtrącasz...?

- Posłuchaj. - Moja cierpliwość się wyczerpywała. - McHenry świetnie sobie radzi, kiedy chodzi o zakłócanie porządku albo jazdę pod wpływem alkoholu. Ale sprawa o przemyt kradzionego towaru trochę go przerasta. - Na moment zamilkłam. — Sądziłam, że wierzysz w umiejętności Petera. Sam powiedziałeś, że Peter wybroni Coopa.

- Jasne, że wybroni. McHenry też by wybronił. - Odstawił mleko do lodówki. - Cooper nie jest tak bezradny, jak myślisz. I nie jest osamotniony. Poza tobą ma jeszcze innych przyjaciół.

- Cieszę się. - Wstałam. Dalsza rozmowa nie miała sensu, zwłaszcza że Benjie coraz bardziej działał mi na nerwy. - I dzięki za dobrą radę, Ben.

Przynajmniej nie będę się łudzić, że Cooper mnie kiedyś poślubi.

Byłam w połowie drogi do drzwi, kiedy usłyszałam za sobą jego głos:

- Nie musisz być taka zgryźliwa.

Bez słowa wyszłam na zewnątrz. Nieprzyjemne starcie z chłopakiem wytrąciło mnie z równowagi. Nie zamierzałam nikomu o tym mówić, bo uznałam, że robię z igły widły. Benjie zawsze był przekorny, więc jego dzisiejsze zachowanie właściwie nie odbiegało od normy. Tylko te dziwne uwagi o mnie i Cooperze...

Co się za tym kryło? Czy chodziło o sprawę przemytu, o udział Petera, a może o moją dzisiejszą wizytę? Wciąż o tym rozmyślałam, odtwarzałam w głowie fragmenty rozmowy i w końcu stwierdziłam, że muszę z kimś pogadać.

- Można się wściec! - powiedziałam w piątek, zajrzawszy z wizytą do Swansy. - Cooper został niesłusznie oskarżony. A Benjie, zamiast pomagać bratu, przysparza mu dodatkowych kłopotów. Nie rozumiem tego chłopaka.

- To biedne dziecko. Sierota.

- Wiem, że sierota. I staram się być dla niego miła, ale on mi tego nie ułatwia. - Westchnęłam.

- Nie lubi mnie.

- Chłopak ma kompleksy. Czuje się przy tobie jak obywatel drugiej kategorii.

Potrząsnęłam głową.

- Nie o to chodzi. Uważa, że chcę odciągnąć od niego Coopera. Tłumaczyłam mu, że się myli, ale...

Swansy nie odezwała się. Uśmiechnęła się zachęcająco, jak to ona, więc po chwili kontynuowałam:

- Myśli, że mam zakusy na Coopera. Poważne zakusy. Że chcę za niego wyjść za mąż. To śmieszne. Ja i Cooper? Cooper i małżeństwo? Jakoś nie widzę Coopera w roli męża.

Swansy wciąż milczała.

- Ciekawe dlaczego? - ciągnęłam. - Wprawdzie między mną a nim nigdy nie iskrzyło, ale są inne kobiety na tym świecie. A Cooper to wyjątkowy mężczyzna. Niewiele mówi, ale ma tak dużo do zaoferowania...

- On tak nie uważa.

- No to jest głupi.

Mijały sekundy. Swansy pierwsza przerwała ciszę.

- Kiedyś miał dziewczynę. Może nadal ją kocha?

Popatrzyłam na nią szeroko otwartymi oczami. Usiadłam prosto.

- Kogo?

Wiedziałam jednak, że Swansy mi tego nie zdradzi. Nie lubiła plotkować. Czasem coś napomykała, zdradzała jakiś szczegół, ale robiła to świadomie, w konkretnym celu. Tym razem chodziło jej o to, abym lepiej zrozumiała Coopera. Tożsamość dziewczyny nie grała roli; ważne było to, że kiedyś taka istniała.

- Hm... - Wiele razy próbowałam sobie wyobrazić kobiety, z którymi Cooper spotyka się w celach erotycznych. Nie potrafiłam. Tym bardziej nie potrafiłam wyobrazić sobie dziewczyny, którą kochał lub kocha. - Czy Benjie o niej wie? - To by tłumaczyło pewność w jego głosie, kiedy mówił, że Cooper nigdy się ze mną nie ożeni.

- To stare dzieje.

- Gdzie ona mieszka? - spytałam.

Odpowiedziała mi cisza.

- Wyszła za innego?

Brak odpowiedzi.

- Pewnie tak - mruknęłam. - W przeciwnym razie byłaby żoną Coopera.

- Byłaby, gdyby go kochała.

O Boże. Czyli kochał bez wzajemności. Ogarnęła mnie wściekłość.

- A więc to jakaś kretynka! Takich facetów jak Cooper ze świecą trzeba szukać.

- Słuchając cię, można by pomyśleć, że sama go kochasz - zauważyła Swansy.

- Kocham jak brata, szanuję, podziwiam. Może Cooper nie ma przesadnie wielkich ambicji i nie odznacza się jakimś niezwykłym talentem, ale jest wspaniałym facetem, który w dodatku wszystko potrafi zrobić.

Swansy w milczeniu pokiwała głową.

- W przeciwieństwie do Adama - dodałam.

- Adam był marzycielem, nie człowiekiem czynu.

- Zamyśliłam się. - Tak bardzo się cieszyliśmy na

myśl o ucieczce z miasta. Oboje nie najlepiej dogadywaliśmy się ze swoimi rodzinami.

- Pochodziliście z dwóch różnych światów.

- To prawda. Mnie w moim przeszkadzała zazdrość, zawiść, umiłowanie bogactwa. Z kolei rodzina Adama miała bzika na punkcie awansu społecznego. Naciskali na syna, żeby się lepiej uczył, żeby latem zarabiał więcej pieniędzy, żeby zaprzyjaźnił się z synem jakiegoś dyrektora lub córką polityka. Kiedy oznajmił w domu, że chce zostać rybakiem, dostali szału.

Swansy siedziała nieruchomo.

- Może mieli rację. - Zwiesiłam głowę. Zaczęły mnie nawiedzać ponure myśli. - Adam nie był typem sportowca. Taki ciapa. Nie nadawał się do pracy na morzu. Bez pomocy Coopera nigdy by tak długo nie wytrzymał. - Głos mi się załamywał, z trudem przechodził przez gardło. - Powtarzałam mu, że da radę, że może osiągnąć wszystko, czego zapragnie. Starałam się go zmotywować, dodać mu otuchy. Myślałam, że słusznie postępuję. - Wspomnienia sprawiały mi ból. - Gdyby nie ja, dawno by się poddał. A gdyby zrezygnował z rybołówstwa, nadal by żył.

- Przestań, Jill! To nie twoja wina, że Adam zginął. Wypłynął z własnej nieprzymuszonej woli i akurat zdarzył się wypadek. Wypadki się zdarzają.

- Wiem, ale on w ogóle nie powinien był zajmować się łowieniem ryb. Jako młody chłopak

marzył o przygodach na morzu. Ale w końcu znienawidził swoją pracę.

- Więc dlaczego z niej nie zrezygnował?

- Bo ja go ciągle zachęcałam.

- Takim był mięczakiem, że nie umiał postawić się żonie?

Mięczakiem? Oburzona otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale po chwili je zamknęłam. Swansy zaczęła kołysać się na fotelu bujanym. Ciche skrzypienie podziałało na mnie kojąco, pozwoliło mi zebrać myśli.

- Kochałam go - powiedziałam z zaciśniętym gardłem.

Swansy poklepała mnie po kolanie.

- Oczywiście, że tak. Bardzo kochałaś. Był szczęściarzem; w ciągu trzech lat małżeństwa otrzymał więcej miłości, niż inni dostają przez całe życie.

Jej słowa długo dźwięczały mi w głowie. Tak, Adam wiedział, co to miłość. Cooper był pod tym względem pokrzywdzony. Później zaczęłam rozmyślać o Peterze: czy kochał? Czy kiedykolwiek był kochany?

Ogarnęła mnie złość. Co mnie obchodzi, czy Peter kogoś kochał. Minęło już tyle dni, a on nawet nie raczył się do mnie odezwać. Za to do Coopera dzwonił kilka razy; uzupełniał informacje, zawiadamiał o tym, co się dzieje, ale z tego, co wiem, o mnie nie pytał.

Emocje wyładowywałam na strychu; rzeczy, które powstawały w tym czasie, miały większą siłę

ekspresji niż reszta kolekcji. Były dobre, naprawdę dobre. Im dłużej na nie patrzyłam, tym bardziej mi się podobały. A patrzyłam długo, całymi godzinami. Fascynowały mnie.

Te nowe figurki, świeczniki i wazony odznaczały się niesamowitą zmysłowością i erotyzmem. Może to dziwne w odniesieniu do ceramiki, ale tak było. Łagodnie zaokrąglony uchwyt przy dzbanie, zmysłowo wygięta szyjka karafki, falujące boki dekoracyjnej misy... Uważnie wpatrywałam się w te przedmioty i zastanawiałam się, czy widzę coś, czego nie ma, czego inni nie dostrzegą.

Nie tylko moje prace tchnęły erotyzmem. Również moje sny. Nigdy dotąd nie śniły mi się pocałunki i pieszczoty, a teraz nawiedzały mnie wyłączanie takie obrazy. Przynajmniej raz, a często dwa lub trzy razy w nocy budziłam się podniecona, złakniona seksu.

Gdyby to się zdarzyło tylko raz, byłoby mi głupio. Ponieważ się powtarzało, czułam się zawstydzona, wręcz upokorzona. Całe szczęście, że leżałam w łóżku sama i nikt nie widział, co się ze mną dzieje.

Z drugiej strony, gdyby ktoś leżał obok, pewnie nie śniłabym o miłości, tylko jej doświadczała.

Wszystko przez Petera. To on rozbudził moje zmysły. To jego twarz pochylała się w nocy nad moją twarzą, to jego usta mnie całowały, dotyk jego rąk doprowadzał mnie do szaleństwa.

A on, psiakrew, nie dzwonił.

W końcu zadzwoniłam do matki. Była środa wieczór; od wyjazdu Petera upłynęły równo trzy tygodnie.

- Cześć, mamó - powiedziałam beztróskim tonem, jakbym dzwoniła do niej co drugi dzień. - Co słyszeć?

- Jillian? To ty, Jillian? Czy ja dobrze słyszę?

Nigdy nie miała problemów ze słuchem. Ja też nie. Dlatego usłyszałam leciutką nutę ironii w jej głosie.

- Tak, mamó. To ja.

- Co się stało?

- Nic się stało.

- Źle się czujesz?

- Nie, świetnie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- W takim razie pewnie dzwonicz z powodu Petera.

Mama odznaczała się wyjątkową spostrzegawczością. Miało to dobre strony, na przykład kiedy w wieku trzynastu lat zaczęłam krwawić i wstydziłam się spytać, co trzeba zrobić; albo kiedy kilka lat później odmówiłam pójścia z wizytą do przyjaciół ojca, których najstarszy syn o mało mnie nie zgwałcił podczas naszej poprzedniej wizyty w ich domu.

Ale miało to również złe strony. Mama potrafiła przejrzeć mnie na wylot, więc już dawno przestałam ukrywać przed nią swoje uczucia.

Co nie znaczy, że nie próbowałam.

- Nie, mamo, nie dzwonię z powodu Petera.
- Jesteś z niego zadowolona?
- Tak, doskonale sobie ze wszystkim radzi - powiedziałam, siląc się na neutralny ton. - Proces ma się rozpocząć za trzy miesiące.
- Peter z pewnością go wygra.
- Mam nadzieję. - Nie wątpiłam w talent Petera, specjalnie jednak udawałam zmartwioną. - Trochę się boję, czy Cooper nie okaże się małą rybką w wielkim stawie. Bo jeżeli Peter ma inne sprawy w toku...
- Na pewno ma - oznajmiła moja matka. - Z jednym klientem prawnik nie utrzyma kancelarii.
- Wiem. Ale chodzi mi o jakąś dużą, spektakularną sprawę, która przyćmiłaby wszystkie inne.
- Powiedziałaś, że jesteś zadowolona...?
- Zawahałam się.
- Jestem.
- Rozumiem. Po prostu zastanawiasz się, czy ja przypadkiem o czymś nie słyszałam? Nie, Jillian, nie słyszałam o żadnej spektakularnej sprawie, której w ostatnim czasie Peter się podjął.
- To oznaczało, że nie miał żadnych spektakularnie ważnych powodów, żeby do mnie nie dzwonić. Westchnęłam.
- To dobrze. Bo trochę się martwiłam.
- Prawdę mówiąc - rzekła matka, niepotrzebnie, bo zawsze mówiła prawdę - dziwię się, że mnie o to pytasz. O taką rzecz masz pełne prawo zapytać

prawnika. W końcu mu płacisz, i to niemało. Zresztą powinnaś była zapytać, zanim go zaangażowałaś.

- Nie przyszło mi to do głowy. Spędził w Maine pięć dni. Gdyby był zajęty innymi sprawami, wcześniej wróciłby do Nowego Jorku. Po prostu się zastanawiałam, czy... czy teraz mu coś ważnego nie wpadło. A nie pytałam, bo Peter głównie rozmawia z Cooperem.

- Z Cooperem?

- Tak, mamó. Z Cooperem. To Cooper jest oskarżony o szmuglowanie...

- Wiem. Ale dlaczego Peter z nim rozmawia?

- Bo to jego klient.

- Ja chcę, żeby rozmawiał z tobą. Żeby ciebie lepiej poznał.

- Dlaczego, mamó?

- Naprawdę mam ci to tłumaczyć, Jillian?

Nie musiała. Wiedziała, o co jej chodzi.

- Tak, mamó, wytłumacz - poprosiłam.

Westchnęła ciężko, tym westchnieniem dając mi znać, ile kłopotów przysporzyłam jej, odkąd pojawiłam się na świecie.

- Co ja mam z tobą zrobić, Jillian? Czy ty nigdy nie zmądrzejesz? Zaszłyś się w zapadłej dziurze, w ponurym domu nad ponurym urwiskiem... - Zamilkła. - Obudził się we mnie promyk nadziei, kiedy zadzwoniłaś spytać o nazwisko dobrego prawnika dla swojego przyjaciela. Pomyślałam sobie: nareszcie! Moja córka nareszcie przejrzała na oczy! Ale niestety. Tam, na tym zadupiu, ty wkrótce

całkiem oślepniesz. Naprawdę nie widzisz, że Peter Hathaway to wymarzony kandydat na męża?

- Na czyjego męża? - spytałam niewinnie.

- A jak myślisz? Twojego!

- Ależ on musi mieć dziesiątki kobiet...

- Wstrzymałam wyczekująco oddech, licząc na to, że matka, ogarnięta złością, nie dostrzeże mojego podstępu.

Szczęście mi dopisywało. Matka nie posiadała się z oburzenia.

- Gdyby zadawał się z dziesiątkami kobiet, nie podesłałabym ci go. Na co komu taki przechodzony towar? W dzisiejszych czasach trzeba mieć się na baczności. Te wszystkie choroby...

- Zarazić się można od jednej osoby, mamo. Wcale nie potrzeba tłumu.

- Peter jest bardzo ostrożnym człowiekiem. Dokładnie go sprawdziłam, zanim podałam ci jego nazwisko.

- Jak to sprawdziłaś? Jak można coś takiego sprawdzić?

- Mam znajomych. Ci znajomi mają swoich znajomych. I jeden z nich zna dawną miłość Petera. Otóż Hathaway jest monogamistą, nie ugania się za babami. Był w wieloletnim związku z tą znajomą mojego znajomego, a wcześniej przez kilka lat spotykał się z inną kobietą.

- A jeszcze wcześniej? Albo potem, kiedy już rozstał się z tą znajomą twojego znajomego? Przecież nie żyje jak mnich.

- Umawia się na randki. Ale to wszystko.

- Używa prezerwatyw? - spytałam. Przypomniałam sobie nieśmiałą dziewczynkę, która wstydziała się powiedzieć matce o pierwszej miesiączce. Zmieniłam się.

- Mój Boże, Jillian! A skąd mam to wiedzieć?

- O wszystkim innym wiesz.

- Nie o wszystkim. Nie wiem, na przykład, dlaczego tamte związki nie zakończyły się małżeństwem. - Matka zamyśliła się. - Tak, to ciekawe. I dość dziwne, że człowiekowi, który tyle w życiu osiągnął, nie zależy na założeniu rodziny.

- Nie jest starszym. Ma czas.

- To prawda. Uważam jednak, że lepiej mieć dzieci wcześniej niż późno. Spójrz na mnie i twojego ojca. Pobraliśmy się zaraz po studiach. Teraz wy jesteście dorośli, a my wciąż na tyle młodzi, by prowadzić czynne, ekscytujące życie.

Chciałam jej wytknąć, że czynne, ekscytujące życie prowadzili zawsze, nawet gdy my jeszcze byliśmy mali. Za pieniądze można kupić najlepszą opiekę do dzieci. Oczywiście dzieci nie zawsze wychodzą na tym dobrze, ale rodzice nie są uwiązani dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Może Peter woli poczekać z dziećmi? Może najpierw chce zaspokoić swoje ambicje zawodowe, a dopiero potem poświęcić się rodzinie? To dziś dość powszechne.

- Myślisz, że byłby dobrym ojcem?

Sama się nad tym zastanawiałam.

- Nie wiem — odparłam. — Czasem kiedy rozmawiał z dorosłymi, ich dzieci kręciły się w pobliżu. Nie rozpływał się na ich widok, ale też nie patrzył na nie z niechęcią. Raczej wydawał się onieśmielony. Ale nic dziwnego. Jego starszy brat wcześniej opuścił dom, a młodszego rodzeństwa nie ma. Czyli nie wie, jak się postępuje z maluchami.

- Przeszkadza ci to?

- Dlaczego? Ja też tego nie wiem.

- Doświadczenie się przydaje. Zwłaszcza gdybyście mieli mieć dzieci.

- Doświadczenie szybko można zdobyć. - Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, co powiedziałam. Wpadłam w zastawione przez matkę sidła. Sędzia Madigan była tak samo przebiegła i wnikliwa jak dawniej, kiedy pracowała w adwokaturze. - Mówię hipotetycznie, bo żadne z nas nie planuje mieć dzieci, a tym bardziej wspólnych.

- Rozmawialiście o tym?

- Oczywiście, że nie! - Niesamowite, jak szybko straciłam przewagę. Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Z Peterem łączą mnie relacje zawodowe. Muszę cię rozczarować, mamó, ale nie zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia.

- Może zakochacie się od drugiego lub trzeciego.

- Wątpię. Te sprawy mnie nie interesują.

Matka roześmiała się w wyniosły sposób, którego nie cierpiałam. Zwykle po takim wybuchu śmiechu następował jakiś truizm. Tym razem również.

- Wiesz, kochanie, miłość spada na nas, czy tego chcemy, czy nie.

- Na mnie nie spadnie - oznajmiłam stanowczo.

- Mam pełną kontrolę nad swoim życiem.

- Aha, więc nie dzwonisz do mnie po to, żeby wy badać, co wiem o sprawach osobistych Petera Hathawaya?

- Nie, mamo. - Zważywszy, że przyparła mnie do muru, wykazywałam zdumiewające opanowanie. - Dzwonię, by ci powiedzieć, że zdecydowałam się wybrać na mój wernisaż do Nowego Jorku. Oczywiście dostaniecie pocztą zaproszenie z dokładnym adresem, ale już teraz chciałam wam podać datę. Otwarcie dla publiczności nastąpi w drugą sobotę listopada, natomiast dzień wcześniej, w piątek, odbędzie się wernisaż dla wybranych gości. Będzie mi miło, jeżeli zechcecie przyjechać. - Podejrzywałam, że nie zechcą. - Lub zajrzeć dowolnego innego dnia. Pomyślałam sobie, że moglibyśmy się wybrać na lunch.

- Musisz tam być przez cały czas? Póki wystawa trwa?

- Powinam.

- Ale czy musisz?

- Niekoniecznie.

- To może któregoś wieczoru ty byś przyjechała do nas? Zaproszę Iana, Samanthę i zjemy kolację w rodzinnym gronie. - Zamilkła. Oczami wyobraźni widziałam, jak unosi jedną starannie wypieleg-

nowaną brew. - Chyba że planowałeś spędzić z nami Święto Dziękczynienia?

Nie zamierzałam i matka dobrze o tym wiedziała. W skrytości ducha liczyłam na to, że może jedna lub dwie osoby z rodziny wybiorą się do Nowego Jorku, często tam przecież bywają, a wtedy ja nie będę musiała jechać do Filadelfii. Niestety moje wystawy nie pociągały Madiganów. Gdyby moją twórczość wystawiało muzeum Guggenheima, Madiganowie stawiliby się w komplecie. Ale galeria Fletcher-Dunn? Kto o takiej słyszał? Akurat mnie się z nią świetnie współpracowało; właściciele doceniali to, co robię, co było bardzo mile, choć wcale bym nie płakała, gdyby nie urządzali mi indywidualnych wystaw.

Z jednej strony było mi przykro, że rodzina nie wykazuje żadnego zainteresowania moją działalnością twórczą. Z drugiej strony cieszyłam się, bo przynajmniej nie wtrącali się do mojej pracy. A zatem czekała mnie podróż do Filadelfii.

- Jak ci pasuje poniedziałek? - spytałam matkę.

- Po tej drugiej sobocie listopada?

- Chyba pasuje. Muszę upewnić się, czy inni nie mają już jakichś planów. W razie czego dam ci wcześniej znać.

- Dobrze. Gdybyś nie dzwoniła, to odezwę się po przyjeździe do Nowego Jorku. Zatrzymam się w Park Lane.

- W Park Lane? Dlaczego w Park Lane? Prze-

cięż ojciec może ci załatwić za pół ceny apartament w Parker Meridian.

- Nie, mamó. Wolę Park Lane. - Nie chciałam korzystać z uprzejmości przyjaciół ojca i potem być komuś coś winna. Poza tym lubiłam Park Lane, który znajdował się przy południowej granicy z Central Park. - Do usłyszenia, mamó. Trzymaj się.

Rozłączyłam się i nie odkładając słuchawki, wykręciłam nowojorski numer Moni. Chciałam jej powiedzieć, że przyjadę na wystawę, a także prosić o to, by zarezerwowała dla mnie hotel i wysłała Peterowi zaproszenie na wernisaż.

W końcu Peter Hathaway był obrońcą mojego najlepszego przyjaciela. I mieszkał w Nowym Jorku. A ja mu płaciłam honorarium, więc chyba miałam prawo spotkać się z nim i spytać, jak postępuje śledztwo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam w listopadzie, kiedy powoli zbliżał się termin wystawy, był Cooper i jego problemy. Od rana do wieczora siedziałam pochłonięta pracą. Chciałam spełnić wszystkie życzenia Moni, a to oznaczało, że niemal nie schodziłam ze strychu.

Oczywiście przesadzam. Codziennie, choćby na krótko, widywałam się ze Swansy, z Cooperem i innymi, których darzyłam sympatią. Byli częścią mojego życia, nie mniej ważną niż moja praca. Potrzebowali mnie, a właśnie tego mi brakowało w domu w Filadelfii. Tam nikt nikogo nie potrzebował; jeśli czegokolwiek potrzebowano, to rzeczy. Adam, podobnie jak ja, był spragniony

ciepła i uczucia. Dlatego tak chętnie mu je ofiarowałam. A kiedy przeprowadziliśmy się do Maine, zobaczyłam, że mogę pomagać również innym, zaspokajając ich potrzeby emocjonalne. Po śmierci Adama właściwie tylko to mnie trzymało przy życiu: poczucie, że jestem komuś potrzebna.

Skoro tak dużą satysfakcję sprawiał mi kontakt z ludźmi, sama nie wiem, dlaczego tyle godzin spędzałam samotnie na strychu, przygotowując prace na wystawę. Poprzednie wystawy nie zabierały mi tyle czasu. Prawdę mówiąc, wystawy w ogóle mnie nie kręciły. Zajmowałam się ceramiką dla siebie. Bo to lubiłam. Owszem, podobała mi się większość wykonanych przeze mnie „dzieł”, ale cieszyłabym się, sprzedając je w małych sklepikach rozsianych po miasteczkach Nowej Anglii. Czasem przeklinałam dzień, kiedy do butiku w Kennebunkport weszła Moni i zachwyciła się moją ceramiczną figurką.

Chciałam, żeby praca dawała mi radość; żebym zanurzając ręce w glinie, nie myślała o wystawach, klientach, sprzedaży. Dlatego spędzając całe dni na strychu, miałam się na baczności: czekałam na pierwszą oznakę znużenia.

Nie nadeszła. Pracowałam z ogromnym zapałem. Zależało mi, aby była to najlepsza wystawa, jaką kiedykolwiek miałam. Aby tak się stało, gotowa byłam harować bez wytchnienia.

Zapału i sił starczyło mi do końca. Trzy dni przed wyjazdem do Nowego Jorku wszystko było związane

na ostatni guzik. Cooper pomógł mi zapakować eksponaty do skrzyń. Wraz z Normanem Gudeau, miejscowym chłopakiem, którego wynajęłam do pomocy, załadowali skrzynie do przyczepy i Norman wyruszył do Nowego Jorku.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, co mnie tak napędza. Sprzątnęłam strych. Nie mając na czym wyładować energii, zaczęłam myśleć o Peterze, a myśląc o nim, automatycznie myślałam o seksie. Podniecenie, które czułam podczas pracy, zamieniło się w oczekiwanie. Serce biło mi szybciej niż zwykle, po ciele przebiegały dreszcze, przenikał mnie żar.

Jesteś głupia, powtarzałam sobie w myślach. Peterowi wcale na tobie nie zależy. Gdyby zależało, to już by zatelefonował. A on ani razu nie dał znaku życia. Do Coopera dzwonił systematycznie, a do mnie... Odkąd rzucił na pożegnanie swoje „No to cześć”, nie słyszałam jego głosu. I nie miałam powodu sądzić, że zobaczymy się w Nowym Jorku. Moni wysłała mu zaproszenie na wernisaż, ale to wcale nie znaczyło, że Peter się na nim pojawi. Będąc w Nowym Jorku, zamierzałam zadzwonić do niego, oczywiście w sprawach stricte zawodowych. No ale rozmowa telefoniczna to nie to samo co rozmowa twarzą w twarz.

Pragnęłam spotkania z Peterem jak jeszcze niczego w życiu. Fantazjowałam. Wyobrażałam sobie, jak Peter wygląda w garniturze, a potem jak wygląda bez ubrania. Wyobrażałam sobie, jak leżę

w jego łóżku, a on podchodzi lekkim, sprężystym krokiem; patrzę na jego wąskie biodra, na płaski brzuch...

Przerażała mnie siła moich fantazji. Usiłując odepchnąć od siebie te obrazy, krążyłam po domu i przypominałam sobie, jak go z Adamem urządzaliśmy. Jednak przez te sześć lat wspomnienia wyblakły; były niczym piękne zasuszone róże. I podobnie jak róże, straciły już swój zapach, smak, barwę. Kolorem i świeżością nie mogły się równać z obrazami podsuwanymi przez moją wyobraźnię.

A te zalewały mnie niczym potężna morska fala, potem jak ona się cofały. Podczas odpływów mogłam funkcjonować normalnie, tak jak dawniej; lecz gdy nadchodził przypływ, stawałam się bezradna, traciłam nad sobą kontrolę. Nie pomagało przywoływanie w pamięci Adama. Nic nie pomagało.

Najgorzej było w nocy, wczesnym rankiem i późnym popołudniem. O zmierzchu często wychodziłam na spacer, siadałam na gładzie i obejmując ramionami kolana, wpatrywałam się w morze. Zimny listopadowy wiatr targał moje włosy, chłodził rozgrzane policzki, ale wytchnienie, którego szukałam, nie przychodziło.

Przydałby ci się dobry seks, powiedział jakiś czas temu Cooper, i miał rację. Po prostu wariowałam; odchodziłam od zmysłów. Pragnienie mnie rozpierało. Wystarczyłby mi jeden raz. Jeden raz ugasiłby ogień. Potem mogłabym wrócić do normalnego życia.

Nowy Jork, do którego dotarłam w czwartek wczesnym popołudniem, był okropny jak zawsze. Przeszkadzały mi tłumy ludzi na chodnikach. Przeszkadzały ogromne ilości samochodów na ulicach. Przeszkadzał nieustający hałas, tak odmienny od kojącego szumu morza.

Najbardziej oczywiście przeszkadzało mi to, że gdzieś w tym mieście żył Peter, który nie interesował się moim losem.

Wyładowałam nagromadzoną frustrację w typowo kobiecy sposób: robiąc rajd po sklepach. Sprzedawcy byli zachwyceni, i nic dziwnego, skoro w sklepowych kasach zostawiałam majątek.

Chodziłam przede wszystkim po małych butikach, które odkryłam w trakcie poprzednich wizyt. Do hotelu wróciłam obładowana jak wielbłąd. Kupiłam: dwa nowe kostiumy, dwie sukienki, jedwabny komplet składający się ze spodni i bluzki, buty, pończochy, dwie torebki, dżinsy, wełniany sweter oraz najseksowniejszą bieliznę, jaką kiedykolwiek widziałam na oczy. Aha, kupiłam również ogromną płócienną torbę, bo inaczej nie zabrałabym się z tym wszystkim z powrotem do Maine.

Po każdym kolejnym zakupie wymyślałam sobie od idiotek. Ale to wcale mnie nie powstrzymywało przed odwiedzeniem następnego sklepiku. Ani nie skłoniło do zwrócenia choćby jednej z zakupionych rzeczy.

Wieczorem, ubrana w jedną z nowych sukienek, wybrałam się na kolację z Moni oraz z właściciela-

mi galerii, Billem Fletcherem i Cełią Dunn, którzy zapewnili mnie, podobnie jak to wcześniej uczynił Norman, że wszystkie moje prace dotarły bezpiecznie na miejsce i właśnie w tej chwili pracownicy galerii przygotowują ekspozycję. Ucieszyłam się, lecz myślami byłam gdzie indziej.

Do hotelu wróciłam o jedenastej. Niepokój, który dręczył mnie w Maine, nasilił się. Tak długo żyłam z dala od świateł i zgiełku, że źle się tu czułam. Miałam wrażenie, że jestem kimś całkiem innym, nie tą Jill Moncrieff, którą wszyscy znali.

Może dlatego nie miałam wyrzutów sumienia z powodu popołudniowych zakupów. Może również dlatego zaraz po przebudzeniu zadzwoniłam do dużego salonu fryzjersko-kosmetycznego, z którego korzystała Samantha - moja siostra zawsze jeździła czesać się do Nowego Jorku. Dopisało mi szczęście: ktoś odwołał wizytę, więc mogłam umówić się na dziesiątą. Skoro już byłam w salonie, zafundowałam sobie również czyszczenie twarzy, manikiur i pedikiur. Dawno nie siedziałam w fotelu, pozwalając innym się mną zajmować. Muszę przyznać, że było to bardzo miłe, chociaż nie wyobrażam sobie, abym chciała zażywać tej przyjemności częściej niż od wielkiego święta. Kiedy wyszłam z salonu, czułam się pięknie, kobieco i zmysłowo.

Wernisaż zaplanowany był na szóstą trzydzieści, tak by przed wyjazdem na weekend zdążyli wpaść prężni, młodzi biznesmeni obu płci. Moni prosiła, abym zjawiła się pół godziny wcześniej, czyli

o szóstej. Zaczęłam szykować się o czwartej. Skoro tyle czasu poświęciłam na zakupy, fryzjera i kosmetyczkę, nie chciałam, żeby cokolwiek zepsuło końcowy efekt.

Najpierw wzięłam kąpiel, dodawszy do wody olejku jaśminowego. Z bielizną nie miałam kłopotów: włożyłam białe koronkowe body zapinane na zatrzaski, pas do pończoch oraz cieniutkie pończochy w granatowym odcieniu. Problemy pojawiły się, kiedy zaczęłam robić makijaż.

Nie z powodu braku wprawy. Po prostu ręce mi się trzęsły, bo po całym moim ciele przebiegały dreszcze. Nie byłam w stanie narysować cienkiej kreski pod i nad okiem. Próbowałam wielokrotnie, zanim mi się w końcu udało. Potem, malując rzęsy, niechcący zabrudziłam sobie tuszem nos. Na szczęście z różem na policzkach poszło jak z płątka, ale przy ustach postanowiłam nie ryzykować: zrezygnowałam z jaskrawej szminki i konturówki na rzecz jasnego błyszczyku.

Nie umiem powiedzieć, czy byłoby mi łatwiej, czy trudniej, gdybym wiedziała, że spotkam w galerii Petera. Z jednej strony bałam się, że nie przyjdzie. Z drugiej chciałam, żeby przyszedł. Ale gdybym wiedziała, że na sto procent się pojawi, pewnie byłabym przerażona. Pragnęłam go z całej siły. Na samą myśl o nim robiło mi się ciepło. Prawdę mówiąc, o niczym innym nie myślałam, więc cały czas było mi gorąco.

Tuż przed wyjściem z hotelu wpadłam w panikę.

Miałam ochotę zrzucić jedwabie i koronki, zmyć makijaż, włożyć dzinsy i pójść na spacer do parku. Ale w Nowym Jorku chodzenie wieczorem po parku było niebezpieczne. Poza tym wiedziałam, że to niczego nie rozwiąże. Spacery urządzałam w Maine. I co? I nic. Nic mi to nie pomogło.

Wziąwszy się w garść, skończyłam się ubierać. Włożyłam kupiony wczoraj granatowy jedwabny kostium składający się z lekko rozkloszowanej spódnicy do kolan i wciętego w talii żakietu. Do tego biała bluzka z dekoltem, granatowe buty i torebka.

Zerknęłam do lustra. Nieźle. Elegancko. Tylko żebym przestała się denerwować.

Kiedy dotarłam na miejsce, pomyślałam sobie: jak to dobrze, że urodziłam się w rodzinie Madiganów. Lata nauki nie poszły na marne.

Nie garb się, Jillian. Wyprostuj ramiona. Głowa do góry.

Jillian, patrz swojemu rozmówcy w oczy. Pozwól mu myśleć, że jest najbardziej interesującym człowiekiem pod słońcem.

Nie poprawiaj włosów, Jillian. Nie mięłoś ubrania. I, broń Boże, nie dotykaj twarzy.

Uśmiechaj się ładnie. Nie po to wydaliśmy majątek na ortodontę, żebyś wykrzywiła usta w grymasie.

Gdyby matka mnie widziała, byłaby ze mnie dumna. Sama byłam z siebie dumna. Z minuty na minutę przybywało gości - głównie byli to klienci

galerii, a także ludzie, którzy w przeszłości kupili jakąś moją pracę. Krążyłam po sali z Billem Fletcherem, który znał wszystkich. Podchodziliśmy kolejno do różnych grup, Bill mnie przedstawiał, ja się ładnie uśmiechałam, ścisnęłam wyciągnięte na powitanie dłonie, odpowiadałam na pytania dotyczące mojej twórczości i życia w Maine. Nowojorkczyków fascynowało to, że mieszkam na prowincji i chętnie rozmawiali na ten temat. W pewnym momencie Bill podał mi kieliszek wina. Od czasu do czasu pociągałam malutki łyżeczek; nie miałam ochoty ani na alkohol, ani na przekąski roznoszone przez kelnerów.

Galeria składała się z trzech sal, z których każda znajdowała się na nieco innym poziomie. W pewnym momencie Bill przekazał mnie swojej współpracownicy Celi Dunn. Wolałabym zostać w głównej sali, żeby sprawdzać, kto wchodzi, ale niestety musiałam się wszędzie udzielać. Cały czas byłam jednak czujna. Udając, że zastanawiam się nad odpowiedzią, rozglądałam się dyskretnie wokoło, lecz w morzu głów nie widziałam żadnej, która byłaby podobna do Petera.

Pojawił się o wpół do ósmej. To niesamowite, ale wyczułam jego obecność, zanim jeszcze go zobaczyłam. Stałam w środkowej sali. Akurat skończyłam opowiadać małżeństwu w średnim wieku, jak to jest mieć pracownię na strychu z widokiem na morze, kiedy nagle serce zaczęło mi potwornie łomotać. Powoli skierowałam spojrzenie w stronę pierwszej sali i tam, w przejściu, dojrzałam go.

Wstrzymałam oddech. Nasze oczy się spotkały. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Po prostu wszystko znikło; twarze rozmyły się, głosy ucichły. Byliśmy sami we dwoje. I Peter pożerał mnie wzrokiem.

- ...ściśle powiązane z przypływem i odpływem, nie sądzi pani? - spytała kobieta.

Jej głos brutalnie wtargnął do mojej świadomości. Najwyższą siłą woli oderwałam oczy od Petera i popatrzyłam ponownie na swoją rozmówczynię. Wypuściłam powietrze z płuc. Ponieważ nie potrafiłam dobyć głosu, skinęłam głową, modląc się w duchu, żeby pozwoliła mi milczeć. Pozwoliła; zadowolona, że się z nią zgadzam, rozwijała swoją myśl. A ja miałam czas, by ochłonać.

Tyle że to nie było łatwe. Samo odwrócenie wzroku nie spowolniło bicia serca. Widok Petera wstrząsnął mną do głębi. Wiedziałam, że muszę zapanować nad emocjami, przynajmniej dopóki nie znajdziemy się sam na sam.

- ...w kamieniu. Robi niezwykle ciekawe rzeźby. Może zna pani jego twórczość?

- Nie, niestety, ale chętnie bym poznała - odparłam lekko skołowana i ponownie zerknęłam w stronę Petera, który wolno przeciskał się między grupkami gości, zmniejszając dzielącą nas odległość.

Celia Dunn musiała zauważyć, że coś dziwnego się ze mną dzieje, bo wdała się w rozmowę z małżonkami, wybawiając mnie z opresji.

- Jillian Moncrieff pracuje wyłącznie w glinie.

Tworzy sztukę, która ma zarówno walory estetyczne, jak i funkcjonalne.

- Tak, oczywiście. Na przykład ta wspinała misa...

Wszyscy troje obrócili się w stronę eksponatu, na który wskazała kobieta. Kątem oka spostrzegłam, że Peter stoi tuż obok. Nie interesowała go misa; interesowała go ja. Podszedł krok bliżej, po czym objął mnie w pasie i przytulił do siebie.

Nie byłam w stanie powstrzymać cichego jęku radości. Zapach jego skóry, żar bijący z jego ciała, jego silna dłoń, twarde tors... wszystko to sprawiło, że poczułam się jak w niebie. Rozpierało mnie pragnienie, a także radość, że jednak przyszedł.

Pochyliwszy się, pocałował mnie w policzek, po czym szepnął do ucha:

- Jak dobrze cię znów widzieć, Jill.

Gdyby ktoś na nas patrzył, widziałby parę serdecznych przyjaciół. Może Peter obejmował mnie chwilę dłużej, niż wypadało, ale kiedy Celia skierowała na mnie wzrok, rękę miał już opuszczoną wzdłuż ciała.

Stał blisko, tak blisko, że nasze dłonie się splatały.

Przedstawiłam go Celii, która natychmiast skojarzyła jego nazwisko. Ucieszyła się, że przyszedł na wernisaż. Zanim zdołała jednak coś więcej powiedzieć, Bill przyprowadził do nas kolejną grupę gości. Z trudem zachowując pozory spokoju, uśmiechałam się uprzejmie i nawet całkiem rozsądnie

odpowiadałam na pytania. W środku jednak drżałam z podniecenia.

Trzymałam Petera mocno za rękę. Nie zamierałam pozwolić, by rzuciwszy „No to cześć”, zniknął mi z pola widzenia. Ale Peter nie wykazywał najmniejszej ochoty, żeby gdziekolwiek zniknąć. Nie odstępował mnie na krok, choć stał nieco z boku, świadom, że tego wieczoru ja gram pierwsze skrzypce.

Wolałabym nie grać. Wolałabym oddalić się z Peterem, być z nim sam na sam, ale wernisaż miał trwać do dziewiątej, a ja jako gość honorowy musiałam zostać do końca. W pewnej chwili, udając, że chcę skorzystać z toalety, przeprosiłam swoich rozmówców i zaciągnęłam Petera do gabinetu Billa. Ledwo zamknęliśmy za sobą drzwi, odgradzając się od tłumu gości, Peter przyparł mnie do ściany i zgniótł moje usta pocałunkiem.

Tak, zgniótł. Jego wargi były twarde, głodne, spragnione moich. Całowały żarliwie, namiętnie, a ja odpowiadałam im z równym zapałem. Gorączka, która tak długo mnie trawiła, i napięcie, które narastało od wielu dni, wreszcie znalazły ujście. Wsunęłam ręce we włosy Petera, jakbym się bała, że mi uciekną, i zapomniałam o całym świecie. Nasze usta oszalały. Szukaliśmy się, próbując choć trochę ugasić buzujący w nas ogień, kiedy nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Boże! - szepnął Peter. Przycisnąwszy czoło do mojego, dyszał ciężko.

Ja też oddech miałam szybki, urywany, częściowo na skutek podniecenia, częściowo na skutek frustracji. Dlaczego ktoś nam próbuje przeszkodzić? - myślałam zrozpaczona.

Pukanie powtórzyło się.

Peter ponownie jęknął „Boże!”, a potem ujawszy mnie za nadgarstki, delikatnie zabrał moje ręce ze swojej głowy i przycisnął do serca.

- Później - powiedział szeptem, wpatrując się we mnie swoimi świetlistymi zielonymi oczami, które obiecywały znacznie więcej niż to, co było dotąd.

Całe szczęście, że stałam oparta o ścianę, bo kolana miałam jak z waty. Pocałunek nie ugasił ognia, raczej go podsycił. Peter wszystko chyba wyczytał z mojej twarzy, bo zakławszy pod nosem, zamknął na moment oczy i zwiesił głowę. Po paru sekundach wyprostował się, siłą oderwał mnie od ściany i otworzył drzwi.

- Czy z Jill wszystko w porządku? - spytała Moni. - Widziałam, jak szła w tę stronę.

- Nic jej nie jest - odparł Peter. - Potrzebowała chwili wytchnienia. - Skierował na mnie wzrok. - To co, gotowa?

Skinawszy głowę, poszłam za nim z powrotem na salę, ale nie pozwoliłam mu się od siebie oddalić. W gabinecie Billa coś mi obiecał i zamierzałam dopilnować, aby dotrzymał słowa. Świadomość, że potem będziemy razem, pomogła mi dotrzeć do końca.

Minuty wlokły się niemiłosiernie. Powinnam była cieszyć się, upajać wspaniałą atmosferą. Kiedy indziej rzeczywiście rozpierałaby mnie radość. Goście zasypywali mnie komplementami, chwalili wszystko: moje prace, mój strój, mój wybór galerii i wybór doskonałej agentki. Oczywiście nie dla sławy i chwały zostałam artystką, ale przyznaję, że miło się słuchało tych wszystkich słów uznania.

Cały czas jednak przestępowałam nerwowo z nogi na nogę. Nie potrafiłam się na niczym skupić; bez przerwy myślałam o tym wysokim, umięśnionym mężczyźnie, który stał przy moim boku. Pięć po ósmej, dziesięć po... Nie mogłam jeść, nie mogłam pić. Kiwałam głową, uśmiechałam się, odpowiadałam na pytania, ale oczami wyobraźni widziałam dwa nagie ciała. Momentami czułam, jak oblewa mnie płomienny rumieniec. Gdyby moi rozmówcy wiedzieli, o czym myślę, kiedy uśmiecham się z takim rozmarzeniem, byliby zszokowani. Niekiedy, roztargniona, nie słyszałam pytania. Z opresji ratował mnie Peter; udzielał odpowiedzi, a mnie ostrzegawczo ścisnął za rękę. Jego dotyk odnosił odwrotny skutek; przejmował mnie dreszczem.

Najwyraźniej Peter posiadał większą samokontrolę niż ja. Ale nic dziwnego. Mężczyźni z natury rzeczy muszą być bardziej powściągliwi i panować nad swoim ciałem.

Ja natomiast znajdowałam się w stanie najwyższego podniecenia i nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Bo skąd ludzie mogli wiedzieć, że trawi

mnie ogień namiętności? Peter oczywiście wiedział, i to mnie jeszcze bardziej podniecało.

A czas włókł się...

Kiedy nadeszła dziewiąta, rozmawialiśmy z trojgiem spóźnialskich, którzy pojawili się dopiero przed paroma minutami. Byłam gotowa przysiąc, że przyszli wyłącznie po to, żeby coś zjeść i wypić; sprawiali wrażenie zupełnie niezainteresowanych wystawą. No ale od godziny ja też nie byłam zainteresowana wystawą.

Peter spojrzał na zegarek.

- Wybaczą nam państwo? - Uśmiechnęłam się przyjaźnie.

Naturalnie wybaczyli. Obchodząc innych maruderów, poprowadziłam Petera w stronę Moni.

- Kiedy możemy się ulotnić? - spytałam ją cicho, lecz bez ogródek.

Zmierzyła wzrokiem Petera, po czym popatrzyła na mnie.

- Na twoim miejscu też by mi się spieszyło - odparła wesoło.

Przygryzłam wargę. Nie chciałam być niegrzeczna, ale ledwo mogłam dłużej wytrzymać. Pół wieczoru męczyłam się, rozdając uśmiechy, i już nie miałam sił grać roli wielkiej artystki.

Na szczęście Moni to zrozumiała.

- Bardzo jesteś zmęczona? - spytała z z troskaniem w głosie. Czuła się za mnie odpowiedzialna; bądź co bądź to ona nalegała, żebym przyjechała do Nowego Jorku.

- Trochę, ale nie przejmuj się - szepnęłam, ściskając jej dłoń na pożegnanie.

Przytrzymała mnie.

- Dasz sobie radę?

- Na pewno. Zadzwonię jutro - obiecałam.

Puściła mnie. Peter poszedł po mój płaszcz, a ja tymczasem odszukałam Billa i Celię, którym chciałam podziękować.

Dwie minuty później wybiegliśmy na zewnątrz; na Park Avenue złapaliśmy taksówkę.

- Do ciebie czy do mnie? - spytał chrapliwie Peter.

Pochyliłam się do kierowcy.

- Hotel Park Lane, proszę.

Peter ujął moją twarz w obie dłonie i zaczął mnie całować. Zalała mnie potężna fala zmysłowych rozkoszy. Wsunęłam ręce pod jego płaszcz, pod marynarkę. Pod cienką koszulą czułam jego napięte, mocne mięśnie. Wirowało mi w głowie, nie wiedziałam, gdzie jestem i co się ze mną dzieje.

Byliśmy niczym dwoje zdesperowanych kochanków, którzy marzą jedynie o tym, aby zrzucić z siebie ubranie i znaleźć się w łóżku. Chciałam, żeby Peter dotykał mnie wszędzie, lecz jego ręce ani razu nie zeszły poniżej mojej szyi. Podejrzewałam, że robił to świadomie, bojąc się, że jeśli pozwoli sobie na śmielszy dotyk, wtedy całkiem straci panowanie.

Ja nie miałam nad sobą takiej kontroli. Odpięłam Peterowi guzik przy koszuli, wsunęłam pod spód

dwa palce, zaczęłam gładzić miękkiego zarost na piersi. Po chwili odpięłam drugi guzik i wsunęłam całą dłoń.

Wciągnął gwałtownie powietrze i ugryzł mnie w wargę. Jeśli to miało być ostrzeżenie, wcale się tym nie przejęłam. Ból spotęgował przyjemność. Może to świadczyło o jakiejś perwersji, nie wiem, i prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodziło. Obchodziły mnie jedynie cudownie doznania; chciałam więcej.

Lecz wiedziałam, że więcej nie osiągnę samymi pocałunkami. Peter też to wiedział. A także taksówkarz.

- Jeszcze chwila i będziemy na miejscu! - zawołał wesoło.

Westchnąwszy ciężko, położyłam głowę na oparciu fotela. Peter otoczył mnie ramieniem. Czułam, że drży; wiedziałam, że on też nie może doczekać się chwili, gdy wreszcie znajdziemy się sami. Boże, dlaczego już nie możemy być w hotelu? Jak długo jeszcze będzie trwała ta jazda? Odchyliwszy głowę, pocałowałam go w szyję. Wodziłam ustami po jego skórze, miękkiej, a jednocześnie odrobinę szorstkiej, pachnącej wodą toaletową... Zaraz zwariuję, pomyślałam. Spróbowałam zmienić nieco pozycję, przytulić się do niego mocniej, być bliżej niego. Nie ułatwił mi tego, nie chciał mi pomóc.

- Wytrzymaj, mała - szepnął mi do ucha. Czułam jego gorący oddech. - Już niedługo.

- Ja już nie mogę, cała płonę! - wyszeptałam namiętnie, wrywając się do niego.

- Ja też. Już niedługo, zaraz będziemy na miejscu...

- Zwariuję! -jęknęłam.

Jego ręka zaczęła bładzić po moim ciele, delikatnie, zmysłowo, rozpalając mnie jeszcze bardziej, budząc we mnie upajające nowe doznania. Jego oddech parzył mnie w szyję. Chciałam szeptać do niego, ale nie byłam w stanie dobrać głosu.

I w tym momencie taksówka z piskiem opon zajechała pod hotel.

- Cztery osiemdziesiąt - oznajmił kierowca.

Boże, w takim momencie! Zapłaciłabym dziesięć razy więcej, żeby nic nie mówił, tylko jechał dalej, ale wiedziałam, że to bez sensu. Dotarliśmy na miejsce. Za chwilę będziemy w pokoju, we dwoje, bez świadków.

Grzebiąc pośpiesznie w torebce, znalazłam kartę magnetyczną otwierającą drzwi mojego pokoju w hotelu. Peter zapłacił taksówkarzowi, po czym wyjął mi kartę z ręki, pomógł wysiąść z taksówki...

Rzuciliśmy się biegiem do holu. Z zaciśniętymi zębami, trzymając się za ręce i nerwowo przestępując z nogi na nogę, czekaliśmy na windę. Myślami próbowaliśmy ją ściągnąć.

Wreszcie przyjechała. Weszliśmy do kabiny, wcisnęliśmy numer piętra. Drzwi zaczęły się zasuwąć. Już mieliśmy do siebie przylgnąć, kiedy do środka wpadło dwóch małych chłopców z plas-

tikowymi pistoletami. W porządku, powiedziałam sama do siebie; winda to miejsce publiczne, każdy ma prawo do niej wsiąść. Stój spokojnie i czekaj.

Więc czekałam. Ale korciło mnie, żeby zatrzymać windę i wyrzucić chłopaczków za drzwi. Wyszli na czternastym piętrze i pognali korytarzem. Peter wsunął rękę w moje włosy, kciukiem zaczął pocierać moje wargi. Rozchyliłam je. Przeszywał mnie wzrokiem. Jego oczy bezgłośnie mówiły mi, co zamierza zrobić, gdy będziemy sami.

Poczułam ciarki na plecach, cała drżałam. Peter rozbierał mnie wzrokiem, zdierał ze mnie bluzkę, spódnicę, koronkowe body.

O mało nie przegapiliśmy piętra. Drzwi otworzyły się, po paru sekundach zaczęły się zasuwać. Nagle Peter zreflektował się; przytrzymał je ramieniem, a mnie pociągnął za rękę na korytarz.

Męczył się z kartą magnetyczną; nie mógł trafić w otwór. Zaklął gniewnie pod nosem. Uff, nareszcie! Weszliśmy do środka, zatrzasnęliśmy za sobą drzwi. Wreszcie byliśmy sami.

Ciszę w pokoju zakłócały jedynie dochodzące zza okna przytłumione dźwięki miasta oraz głośny stukot naszych serc. Nie musieliśmy się w nie wsłuchiwać; wiedzieliśmy, co mówią.

Zrzuciwszy płaszcze, przywarliśmy do siebie. Nasze usta złączyły się w gorącym pocałunku. Zaczęłam zsuwać Peterowi z ramion marynarkę. Chciał rozpiąć mi bluzkę, lecz małe perłowe guziczki okazały się ponad jego siły.

- Rozepnij je - szepnął. - Nie chcę nic zniszczyć.

Ściągnęłam zakiet, Peter rozsupłał swój krawat. Potem buty, spódnica... Cisnęłam wszystko na bok. Została jeszcze bluzka, a pod nią body. Przytuliłam się do Petera, najmocniej, jak mogłam.

Zacisnął usta na moich wargach, wsunął ręce pomiędzy nasze ciała i przez moment znów usiłował rozpiąć mi bluzkę. W końcu zniecierpliwiony szarpnął. Guziki bezszelestnie rozsypały się po miękkim dywanie. Nawet gdyby narobiły hałasu, to zajęci sobą nic byśmy nie słyszeli.

Objęłam go rękami za szyję, wtuliłam się w niego.

Płynnym ruchem obrócił się, położył mnie na łóżku. Zacisnęłam mocniej ręce wokół jego szyi. Zamknęłam oczy. Moje ciało pokryła cieniutka warstwa potu, kręciło mi się w głowie. Było tak wspaniale, tak upojnie. Zatracaliśmy się w pieszczotach, szaleńczo, nieprzytomnie.

Nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami, a potem zobaczyłam gwiazdy. Istne fajerwerki. Potężny dreszcz wstrząsnął moim ciałem, a właściwie niekończąca się seria dreszczy. Patrzyłam na jego twarz, rozkoszując się jego bliskością, jego ciepłem.

- Nie odchodź - szepnęłam, gdy się poruszył. Bałam się, że mnie zostawi. A ja wciąż go pragnęłam, wciąż było mi go mało.

Razem ze mną przeturlał się na bok. Spojrzałam w jego półprzymknięte zielone oczy.

- Nigdzie nie idę - rzekł. Wsparłszy się na łokciu, popatrzył na mnie czule. - Moja Jill...

Ostrożnie, czule, niemal jakby dotykał coś świętego, zaczął przesuwać dłonią po moim ciele.

- Jesteś piękna. Piękna kusicielka - dodał tklawie. - Nie mam pojęcia, jak wytrzymałem te dwie godziny w galerii. - Zakasłał. - Co ja mówię? Nie wiem, jak wytrzymałem kilka ostatnich tygodni.

Pociągnęłam go za kosmyk włosów.

- Ani razu do mnie nie zadzwoniłeś.

- Ty też się nie odzywałaś.

- To ty jesteś mężczyzną. A to mężczyzna powinien zadzwonić.

- Ale ty jesteś kobietą samodzielną i wyzwoloną.

- Nie aż tak wyzwoloną.

- Skąd mogłem wiedzieć? Wy, kobiety, czasem tak nam mieszacie w głowie...

Potraktowałam to jako ogólne stwierdzenie. Nie zamierzałam dociekać, zwłaszcza teraz, z iloma kobietami miał do czynienia.

On jednak uznał, że to ważne. Poważniejąc, ujął mnie za brodę i zmusił, abym popatrzyła mu w oczy.

- Jako młody chłopak byłem dziki i niesforny, ale od wielu lat prowadzę znacznie bardziej higieniczny tryb życia. - Gładził mnie po szyi, brodzie.

- Bądź spokojna, jestem okazem zdrowia. Na pewno nic ode mnie nie złapiesz. Jedyny problem w tym, że nie pomyślałem o prezerwatywie. Nie stosujesz antykoncepcji, prawda?

- Nie. Ale na wszelki wypadek kupiłam gumki.
- Zaczerwieniłam się. - Mam je w torebce.

- To dobrze. Nie ma nic gorszego niż torebka w ciąży - oznajmił żartobliwym tonem. - Powiedz, Jill, co cię tak peszy: to, że nie wyjęłaś prezerwatyw z torebki, czy fakt, że je nabyłaś?

- Jedno i drugie. Wiesz, ja nigdy dotąd...

- Bardzo ryzykowaliśmy?

- Nie. To nie są moje płodne dni. Poza tym nie należę do kobiet, które łatwo zachodzą w ciążę. Przez trzy lata nie stosowaliśmy z mężem żadnych zabezpieczeń, a mimo to nie doczekaliśmy się potomstwa - dodałam, kiedy popatrzył na mnie pytająco.

- Chciałaś mieć dzieci?

Skinęłam głową, ale wolałam nie wracać do przeszłości. Chciałam się cieszyć chwilą obecną, terażniejszością z Peterem. Patrzyłam na niego, na jego długie, muskularne nogi. Dostrzegłam kilka blizn.

Nagle Peter uniósł się na kolana.

- Gdzie idziesz? - spytałam zaniepokojona.

- Nigdzie. - Wolno przesunął ręce, odpiął sprzączkę i zaczął delikatnie zdejmować mi z nogi granatową pończochę.

Kupując seksowną bieliznę, myślałam przede wszystkim o sobie. Czułam się kobieco i zmysłowa bielizna dodawała mi pewności siebie. Może w głębi duszy liczyłam na to, że Peter ją zobaczy, ale w najśmielszych marzeniach nie wyobrażałam sobie, że będzie ją ze mnie zdejmował.

Obserwowałam powolne ruchy jego rąk. Serce biło mi jak szalone.

Rzucił pończochę na podłogę, po chwili druga też wylądowała na dywanie. Płonęłam pod jego dotykiem, pod jego spojrzeniem. Przywarłam do niego mocniej.

- Nie odwracaj oczu - poprosił Peter. - Jesteś... - zawahał się, szukając przez moment właściwego słowa — ...spełnieniem moich fantazji. Marzyłem o tym od chwili, kiedy cię ujrzałem.

Tym razem było inaczej. Myślałam, że nic nie dorówna dzikiej namiętności pierwszego razu, ale myliłam się. Powolne pieszczoty, stopniowo narastający żar, gorące spełnienie. Później, gdy leżeliśmy bezwładni, z trudem łapiąc powietrze, przyszło mi do głowy, że Peter uczynił coś, czego nie udało się dotąd żadnemu mężczyźnie: sprawił, że poczułam się jak stuprocentowa kobieta.

Ale na tym nie koniec. Kiedy ochłonał i wreszcie mógł wydobyć z siebie głos, podniósł się na łokciu, pocałował mnie lekko w usta i szepnął:

- Kocham cię.

Tego się nie spodziewałam. To były zbyt ważne słowa wypowiedziane zbyt szybko. Słowa, których nie można zignorować. Słowa, które zmuszały do tego, by stawić czoło teraźniejszości i przyszłości. Słowa, które budziły lęk.

Peter dojrzał strach w moich oczach, bo potarłszy nosem o moją brodę, kontynuował cicho:

- Nie proszę cię, abyś odwzajemniła moje uczu-

cie. Proszę tylko, byś dała nam trochę czasu. Zobaczmy, co tak naprawdę dzieje się między nami. Nie tylko ogromny pociąg fizyczny, który narasta, gdy się nie widzimy... - Popatrzył mi prosto w oczy. - Ale jest jeszcze coś więcej, Jill. Miłość. Wiem, że tego nie chcesz, że próbujesz z tym walczyć... - Na moment zamilkł. - Z pociągiem fizycznym też walczyłaś, a jednak okazał się silniejszy. Miłość też tobą zawładnie, ale potrzebujesz czasu.

Nie chciałam myśleć o miłości. Nie mogłam. A jednocześnie nie wyobrażałam sobie, bym potrafiła rozstać się z Peterem, więcej go nie zobaczyć. To dla niego przyjechałam do Nowego Jorku; wernisaż był jedynie pretekstem. Z całego serca pragnęłam z nim być. Ale miłość? Nie broniłam mu jej, lecz sama chciałam po prostu cieszyć się życiem. Życiem bez zobowiązań.

- Daj nam trochę czasu, Jill - powtórzył żarliwie, wpatrując się mnie tymi swoimi zielonymi oczami. - O nic więcej nie proszę. Możesz mi to ofiarować?

- Pod jednym warunkiem - szepnęłam. - Że najpierw coś zjemy. Jestem głodna jak wilk.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W środę wczesnym rankiem odwiedziłam Swansy. Była wzburzona jak nigdy. Akurat oglądała program w telewizji, który codziennie szedł o tej porze, a dzisiejszy odcinek dotyczył drastycznego problemu gwałtów.

- Jill, posłuchaj tylko! Wyobrażasz to sobie? Co za idiotyzm! Kto słyszał o czymś takim? - mruzczała gniewnie. - Jak mężczyzna może być zgwałcony przez kobietę? Jeśli w ogóle do czegoś doszło, to znaczy, że facet był chętny, a wtedy nie może być mowy o gwałcie. Natomiast ci tutaj twierdzą, że zostali zgwałceni. W dodatku domagają się współczucia ze strony widzów za doznane cierpienia. Co za oszuści, co za kłamcy!

Przez chwilę spoglądałam na trzech mężczyzn widocznych na ekranie telewizora.

- Wydają się szczerzy. Przynajmniej takie robią wrażenie - powiedziałam. I chyba publiczność im wierzy.

- Przecież to nonsens! Mężczyźni są więksi od nas. Silniejsi. Pod względem fizycznym mają nad nami przewagę. Dlatego my musimy mieć przewagę tu... - Postukała się w głowę. - O tu.

Skierowałam wzrok na staruszkę. Była taka krucha i drobna, a jednocześnie biła z niej niesamowita siła. Może nie miała racji w kwestii gwałtu, lecz słusznie uważała, że my, kobiety, nie powinniśmy tracić rozumu. Ja mój straciłam podczas pobytu w Nowym Jorku. Pora, bym go odzyskała.

Rebeka potarła zimnym nosem o moją dłoń. Drapałam suczkę za uchem, kiedy Swansy prze-rwała ciszę.

- No i co? - spytała.

- Słucham? - Jakoś nie byłam w nastroju do rozmowy o upokorzonych i skrzywdzonych panach.

Staruszka wyłączyła pilotem telewizor.

- Usiądź, złotko, i opowiedz mi o wszystkim.

Posłusznie zajęłam miejsce na fotelu. Rebeka położyła mordkę na moim kolanie.

- Od czego zacząć?

Swansy uśmiechnęła się ciepło.

- Jak minął ci lot?

- Dobrze. Nawet nie trzęsło.

- Jak hotel?

- Świetny.
- Wernisaż?
- Wspaniały.
- Gościom podobały się twoje prace?

Wzruszyłam ramionami, uśmiechnęłam się lekko speszona. Bo moje prace zrobiły furorę. Choć Swansy tego nie widziała, na pewno słyszała radość w moim głosie.

- Chyba tak. Sporo sprzedaliśmy.
- A twój mężczyzna?
- Mój mężczyzna?

Swansy nie tłumaczyła, o co jej chodzi. Po prostu patrzyła na mnie swoimi niewidzącymi oczami, uśmiechając się wyczekująco.

- Peter... - na samo wspomnienie zrobiło mi się miękko na sercu - Peter jest niezwykły.

Wyraz twarzy Swansy nie uległ zmianie. Nie mogłam się zorientować, czy moja odpowiedź ją ucieszyła, czy zmartwiła. Jak na osobę niewidomą, staruszka była znakomitą pokerzystką.

Blef poskutkowało. Zaczęłam mówić. No ale po to przecież tu przyszedłam. Żeby się wygadać, poradzić, uporządkować swoje myśli.

- Przyszedł w piątek do galerii, na wernisaż. I od siódmej trzydzieści w piątek do południa we wtorek, kiedy odleciałam z powrotem do domu, z krótką przerwą w niedzielę rano, bo wtedy Peter miał ważne spotkanie z klientem, cały czas byliśmy razem. To naprawdę... wyjątkowy człowiek.

Nie bardzo wiedziałam, jak inaczej mam go

określić. Rewelacyjny kochanek? Mistrz ars amandi? Seksualny czarodziej? Wolałam nie zdradzać, że prawie cały ten czas spędziłam w jego ramionach. Po prostu bałam się, że Swansy może to niewłaściwie odczytać.

Niewłaściwie? Ale tak właśnie było. Biedna Swansy pewnie spiekłaby raka, gdyby wiedziała, czego mnie Peter nauczył.

A może wcale bym jej nie zaskoczyła? Kto to wie? Uznałam jednak, że niektóre sprawy są zbyt osobiste, żeby o nich opowiadać. Zrelacjonowałam więc jej nasze pozostałe zajęcia.

- Trochę czasu spędziliśmy w galerii. Czułam się do tego zobowiązana, ze względu na Moni, a także Billa i Celię. Gdy Peter rozmawiał ze swoim klientem, siedziałam cichutko w gabinecie i udając studentkę prawa, przysłuchiwałam się ich rozmowie. Resztę czasu mieliśmy wyłącznie dla siebie. Peter zabrał mnie do swojej ulubionej francuskiej restauracji. Zwiedziliśmy Statuę Wolności i Muzeum Sztuki Współczesnej. Wybraliśmy się do kina na nocny seans, a potem zjedliśmy po ogromnej kanapce w narożnej knajpce otwartej dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dużo łąziliśmy po mieście, po prostu spacerowaliśmy i gadaliśmy.

- To miło.

- Wiesz, wcześniej nigdy nie lubiłam Nowego Jorku. Chyba dlatego, że nie umiałam korzystać z jego uroków, cieszyć się tym wszystkim, co ma do zaoferowania. Teraz było zupełnie inaczej. To nie

miasto było ważne, lecz my. Czasem kiedy popijaliśmy kawę, myślałam sobie, że moglibyśmy być wszędzie. Że miejsce nie gra roli.

Swansy ze zrozumieniem pokiwała głową. Usiadłam głębiej w fotelu i pograżona w myślach głąskałam Rebeke.

- Rozmawialiśmy o wszystkim. To było niesamowite.

- Dlaczego?

- Bo jesteśmy tak bardzo od siebie różni. Wywodzimy się z różnych środowisk. Ja dorastałam wśród przepychu, niczego mi nie brakowało. Z Peterem było odwrotnie. Kiedyś był biedny, teraz pieniędzy ma w bród. Ja z kolei dziś żyję skromnie. Nie we wszystkim się zgadzamy, lecz to nam wcale nie przeszkadza. Nie dziwię się, dlaczego Peter odniósł sukces w swoim zawodzie. Jest rozsądny, inteligentny i tak logicznie przedstawia argumenty, że trudno nie przyznać mu racji.

- Ale ty nie zawsze mu przytakiwałaś.

- Nie, nie zawsze. I to mu się podobało. Aż się zastanawiam, jakie były te inne kobiety, z którymi się spotykał. Wszystkie grzecznie kiwały główkami?

- Może dlatego z żadną się nie ożenił. Może łączył ich tylko seks.

Nas też łączy tylko seks, chciałam powiedzieć. Ale to nie była prawda. W ciągu tych trzech dni Peter kilka razy powtórzył, że mnie kocha. I nigdy nie mówił tego w trakcie namiętnych pieszczot.

Sam zwrócił mi na to uwagę. Było to we wtorek, w hotelu. Właśnie pakowałam swoje rzeczy. W pewnym momencie Peter przyparł mnie do drzwi, na których wisiała instrukcja przeciwpożarowa. Znowu zapomnieliśmy wtedy o bożym świecie.

- Będę za tobą tęsknił - wyszeptał.

- Kłamczuszek - powiedziałam żartobliwym tonem. - Będziesz tęsknił za moim ciałem. Które od piątku ani razu nie potrafiło ci się oprzeć.

Nawet się nie uśmiechnął.

- Będę tęsknił za całą tobą. - Pocałował mnie w ucho. Moja miłość pochodzi stąd... - przyłożył rękę do serca. - I stąd... - dotknął głowy. - Miłość to nie tylko szaleństwo, to również szacunek i zaufanie.

Przestraszyłam się. Prawdę rzekłszy, nadal odzuwałam strach.

Wróciłam myślami do rzeczywistości.

- W każdym razie cokolwiek go pociągało w tamtych innych kobietach, już go nie pociąga. Bo obecnie z nikim się nie widuje.

- Poza tobą - stwierdziła lekko pytającym tonem Swansy.

- Tak - rzekłam po dłuższej chwili. - Poza mną. Obiecał, że przyleci do mnie w ten weekend.

- Hm, jakoś nie słyszę radości w twoim głosie.

- Bo nie jestem pewna, czy się cieszę.

Staruszka bujała się na fotelu. Nie odzywała się. Zdobywszy się na odwagę, zaczęłam opowiadać jej o lękach, które naszły mnie wczoraj w samolocie.

- W Nowym Jorku było mi cudownie. Nie miałam ochoty stamtąd wyjeżdżać. Kiedy Peter zaproponował, że odwiedzi mnie w ten weekend, nie posiadałam się ze szczęścia. - Położyłam ręce na kolanach. - Wczoraj odwiózł mnie na lotnisko. Im bardziej samolot oddalał się od Nowego Jorku, tym większy miałam mętlik w głowie. - Skierowałam wzrok na Swansy. - Nie wiem, co sądzić o moim związku z Peterem. Po prostu nie wiem, czego chcę.

- A czego chce Peter?

- Wszystkiego.

- To znaczy?

- No... wszystkiego. Chyba. Właściwie to nie jestem pewna, bo nie rozmawialiśmy o przyszłości. Ale mnie kocha, przynajmniej tak twierdzi. Mówi, że jestem spełnieniem jego marzeń; że czekał na mnie wiele lat.

Swansy westchnęła głośno.

- Jakie to romantyczne! - rzekła z uniesieniem.

- Szkoda, że ten twój Peter nie pisze scenariuszy telewizyjnych...

- Swansy, ja mówię poważnie! - oburzyła się.

- Peter jest człowiekiem konkretnym, surowym i wymagającym, ale potrafi też być romantykiem i nie wstydzić się uczuć. Co ja mam zrobić?

- Kochasz go?

-- Nie, skąd! Kochałam Adama. Już nigdy nie pokocham innego mężczyzny. Pomijając wszystko inne, zbyt krótko znam Petera. On też mnie prawie

nie zna. Spędziliśmy z sobą dwa wydłużone weekendy, więc jak może twierdzić, że mnie kocha?

Swansy uśmiechnęła się z zadumą.

- No, powiedz, Swansy. Jak może tak twierdzić? Cała ta historia jest trochę nierealna.

- Och, nie przesadzaj, Jillie. Peter to świetny partner dla ciebie.

- Bo ja wiem, czy to dla mnie odpowiedni partner? Peter jest znanym prawnikiem. Cieszy się wielkim uznaniem, ma klientów na całym północno-wschodnim obszarze Stanów. A w wolnym czasie podróżuje po niezamieszkanym wyspach południowego Pacyfiku. Czy to ktoś dla mnie?

- Z tego widać, że prowadzi ciekawe życie.

- Może, ale ja wolę moje życie w Maine. Lubię tutejszy spokój i monotonię. Poczucie, że tu wszystko jest takie samo jak zawsze, nic się nie zmienia.

- Czujesz się tu dobrze.

- Tak.

- Bezpiecznie.

- Tak.

- Innymi słowy, jesteś kobietą szczęśliwą i spełnioną.

Otworzyłam usta, po czym je zamknęłam. Psia-krew!

- To co ja mam zrobić? - spytałam cicho.

- A co byś chciała?

- Cofnąć czas. Żeby było tak, jak wcześniej.

- Wcześniej czułaś się spełniona? Szczęśliwa?

- Nie byłam nieszczęśliwa.

- Ale nie wiedziałaś, czego ci brakuje.
- Wiedziałam. Tylko wcale za tym nie tęskniłam.

Staruszka potrzęsnęła głową.

- Nie wiedziałaś. Bo wtedy jeszcze nie znałaś Petera. Nie, złotko. Spójrz prawdzie w oczy. Cofnięcie czasu nic by nie dało. Po prostu ty się zmieniłaś.

Wbiłam w nią spojrzenie pełne pretensji.

- Swansy, co z ciebie za przyjaciółka? Przyszłam tu po słowa otuchy i pocieszenia.

- Nie, kochanie - powiedziała Swansy, bujając się rytmicznie. - Potrzebowałam potwierdzenia. Przyszłaś, by usłyszeć ode mnie, że cokolwiek robiłaś z Peterem w Nowym Jorku, było właściwe. I było.

- Owszem, było. Bo w Nowym Jorku byłam innym człowiekiem. Ale za kilka dni Peter przyjedzie do Maine. A tutaj nie wiem, czy sobie poradzę.

- Poradzisz. Na pewno.

- Wątpię. To jest teren Adama.

- Nie gadaj bzdur! - zirytowała się staruszka. Przestała się bujać, fotel już nie skrzypiał. W pokoju zapadła głucha cisza. - Mówisz, że tu jest teren Adama? Nie opowiadaj głupstw. To przede wszystkim twój teren. To ty od pierwszego dnia czułaś się tu jak w domu, nie Adam.

- Ale on tu mieszkał. Razem tu mieszkaliśmy. W tym miasteczku. W tym domu na klifie. Tu było nasze życie.

Swansy westchnęła.

- Wiesz co?

- Co?

- Gdyby Adam nie zginął, rozstalibyście się.

-Swansy...!

- Uwierz mi. Gdyby żył, zostawiłby cię.

- Ale... ale Adam mnie kochał - powiedziałam cicho.

- Na pewno. Lecz nie był tak silny, jak ty. Starałby się spełnić twoje oczekiwania. Próbowałby tu wytrwać. Wypływałby na połowy, ale w końcu kazałby ci dokonać wyboru: albo to miasteczko, albo on. Podejrzewam, że wybrałabyś miasteczko.

Zwiesiłam głowę. Czułam się pokonana.

- Swansy...

Nie dała mi dojść do słowa.

- Z Adamem mieszkałaś tutaj trzy lata, bez Adama mieszkasz już sześć. Stuknęła ci trzydziestka, a ty wciąż jesteś sama. Jak tak dalej pójdzie, zostaniesz samotną staruszką, taką jak ja. Która nie ma komu zapisać domu w spadku.

- Jak na osobę niewidomą, wszystko widzisz ostro i wyraźnie - mruknęłam.

- Kiedy dobry Bóg zabrał mi wzrok, ofiarował coś w zamian.

- Wiem. Cięty język.

- Lepszy cięty język niż głuchota. Na szczęście słuch mam dobry. Słyszę, co mówisz, a czego nie mówisz. Przyszłaś po radę, to ci ją daję.

- Ta twoja rada wcale mi się nie podoba.

- No to co zamierzasz zrobić?

- Zmienić temat.

- Proszę bardzo - burknęła i ponownie zaczęła się bujać. Po chwili twarz jej złagodniała. Znow była tą Swansy, którą znałam i kochałam.

Niczego nie osiągnęłam. Miałam taki sam zamęt w głowie jak po przebudzeniu. W głębi duszy wiedziałam, że Swansy częściowo ma rację, ale tylko częściowo. Cała sytuacja coraz bardziej mnie dołowała. Czułam, że muszę zająć myśli czymś innym.

- Swansy, ta sprawa z Cooperem... - zaczęłam ostrożnie. Nie byłam pewna, czy staruszka podejmie temat. Jej brak sprzeciwu potraktowałam jako zachętę, by mówić dalej. - Wiele o tym myślałam...

- Ciekawe, kiedy miałaś na to czas - powiedziała pod nosem, ale tak, żebym słyszała. Nie przyjmę jej rady, a ona nie zamierzała puścić mi tego płazem. Mogło jednak być dużo gorzej.

- Wiele o tym myślałam... - powtórzyłam.

- I doszłam do wniosku, że coś tu nie gra.

- No pewnie, że nie gra. Cooper ma kłopoty.

- I Peter robi wszystko, żeby mu pomóc. Od strony prawnej.

Swansy bujała się w milczeniu.

- Ale ktoś coś ukrywa.

Swansy dalej milczała.

- Długo się nad tym zastanawiałam ciągnęłam.

- Na pewno ktoś nam czegoś nie mówi, ktoś coś ukrywa. Nie wierzę, że obcy człowiek wszedł na pokład *Swobody*, zakradł się do kabiny Coopera,

schował brylanty do worka na bieliznę, a potem przez nikogo niezauważony zszedł na ląd. Tutaj coś nie gra. Niemożliwe, by nikt nic nie spostrzegł. Cooper nigdy nie zostawia łodzi bez opieki; zawsze ktoś pełni wachtę.

- Hm. - Cichym pomrukiem Swansy zachęciła mnie, bym kontynuowała swoje rozważania.

- Wachta zmienia się co kilka godzin. Teoretycznie każdy mógł mieć dyżur, kiedy podrzucono kamienie. Peter i ja rozmawialiśmy ze wszystkimi członkami załogi. Został nam tylko Benjie, bo wtedy go tutaj nie było.

Staruszka bujała się wolno, nie zdradzając, co myśli. Więc brnęłam dalej:

- Współpracownicy Coopera to uczciwi, porządni faceci. Ani Peter, ani ja nie mamy powodu wątpić w ich prawdomówność. Jedyнным członkiem, którego nie zdołaliśmy przepytąć, jest Benjie.

Monotonne skrzypienie wypełniało ciszę.

- Benjie to jedyny spośród członków załogi, który miał kłopoty z prawem. - Wzdychając ciężko, popatrzyłam w sufit. - Drobnе problemy, o których nawet nie warto mówić. Ale... Cholera, nie powinienam tak myśleć, w końcu Ben ma zaledwie dwadzieścia lat... to głupi szczeniak, a nie groźny przestępca zamieszany w przemyt brylantów, jednak... - Ponownie wbiłam wzrok w niewidomą staruszkę na bujaku. - Ale on się zachowuje tak dziwnie, z jawną wrogością! Wydaje mi się, że musi coś wiedzieć.

Moje słowa zawisły w powietrzu. Wstrzymałam oddech. Czekałam na reakcję Swansy. Byłam pewna, że staruszka stanie w obronie Bena, bądź co bądź znała go od urodzenia.

Ale nie stanęła. Ku mojemu zdumieniu powiedziała:

- Niewykluczone.

- Niewykluczone? - powtórzyłam zaciekawiona.

Odpowiedziała mi cisza.

- Chryste, Swansy! Powiedz coś więcej! Ty coś wiesz, prawda?

Znowu zaległa cisza.

- Tu chodzi o Coopera, o jego przyszłość. Rozprawa odbędzie się dopiero za trzy miesiące, a tymczasem on przeżywa piekło. Obie wiemy, że jest czysty jak łza, ale jeśli wiesz coś więcej...

- Nie wiem. Ale mam swoje podejrzania.

- Że Benjie maczał w tym palce? Tylko dlaczego? Na czyje zlecenie? I na miłość boską, dlaczego milczy? Przecież podejrzenie pada na jego brata!

Swansy zasnuwała usta. W porządku, pomyślałam; ja też tak potrafię. Zobaczymy, która z nas odezwie się pierwsza.

Zapadło długie milczenie. W końcu staruszka zaczęła mówić:

- Nic nie jest takie proste, jak się wydaje. Nie chciałabym zamienić się z Benem na życie. Może ma prawo do gniewu i frustracji? Może ma prawo wyładowywać złość na Cooperze? Nie wiem. Ale

nie zdziwiłabym się, gdyby znalazł fakty, które postanowił zachować tylko dla siebie.

- Muszę z nim porozmawiać - rzekłam, wstając z fotela.

- Siadaj - rozkazała Swansy. Kiedy usłyszała szelest poduszek, pochyliła się i wzięła mnie za rękę. - Zastanów się, przemyśl to sobie najpierw, Jillie. Nie działaj pochopnie. Może się mylę, może nie mam racji, a wtedy tylko napsujesz braciom krwi.

To prawda. Ale nie mogłam siedzieć beczynnie. Poza tym umiałam szybko myśleć.

- Dobra. Już sobie wszystko przemyślałam. Porozmawiam z Cooperem. Na spokojnie. Cooper zawsze bierze stronę brata, więc nie będę rzucała oskarżeń. Po prostu zadam mu parę pytań... Może Cooper też ma jakieś podejrzenia?

Uściskawszy moją dłoń, Swansy oparła się wygodnie i znowu zaczęła się bujać.

W domu Coopera nikogo nie było. Postanowiłam skorzystać z okazji i odwiedzić parę innych osób w miasteczku. Cooper wrócił w południe i od razu zaczął mnie wypytywać o wystawę. Kiedy zaspokoiliam jego ciekawość, spytał o wieczór, który spędziłam z rodziną w Filadelfii.

- U nich wszystko po staremu - odparłam lekko. - Nigdy się nie zmienia, Ian wdał się w ojca. Obaj myślą tylko o pieniądzach, Samantha jest naszą rodzinną snobką, a mamę jak zawsze fascynuje

polityka. Kolacje w domu Madiganów nigdy nie przebiegają w milej, beztrudnej atmosferze.

Cooper przyjrzał mi się uważnie.

- Ale jakoś sobie poradziłaś, prawda? Bo nie sprawiasz wrażenia przygnębionej.

- Może z roku na rok staję się coraz silniejsza.

- Albo miałaś inne sprawy na głowie.

- Może. - Nie byłam pewna, czy chcę z Cooperem rozmawiać o Peterze.

Dumałam nad tym, kiedy powiedział:

- Peter dzwonił, zanim rano wyszedłem z domu.

Wspomniał, że spędziliście razem sporo czasu.

- Tak mówił?

Cooper skinął głową. Cisza przedłużała się.

- No więc... obserwowałam go w trakcie pracy - zaczęłam dukać. - Ma wielu pomocników, którzy ganiają po mieście, zbierają informacje, zajmują się papierkową robotą; w tym czasie on obmyśla strategię. Wygląda to imponująco. Żałuję, że sam tego nie widziałeś.

- Nie bajeruj mnie.

Po minie Coopera zorientowałam się, że nie da się nabrać na moje słowa.

- Masz rację. Wcale nie żałuję, że cię ze mną nie było. Bo wtedy byśmy nie mogli szaleć na jego biurku - oznajmiłam. Nabrałam powietrza i kontynuowałam pośpiesznie: - Coop, musimy porozmawiać o Benie.

Kąciki warg mu zadrżały.

- To była prawda z tym biurkiem? - spytał z niedowierzaniem.

Zrobiłam zabawną minę.

- No co ty, zwariowałaś? - obruszyłam się.
- Żartowałam. - Po chwili wróciłam do wcześniejszego tematu. - Coop, powinniśmy pogadać o twoim bracie. Co się z nim dzieje?

Cooper nie dał się zbyć. Nie odrywał ode mnie wzroku.

- Ale między wami do czegoś doszło, no powiedz? - Mój przyjaciel nie dawał za wygraną.

- A czy ja cię pytam, co robisz, kiedy spotykasz się z kobietą?

- Nie, ale jest różnica. Peter to jedyny facet, jakiego znam, który dorównuje ci siłą charakteru.

Popatrzyłam mu prosto w oczy.

- Chciałabym porozmawiać o Benie.

- A ja nie - oznajmił.

- Dlaczego?

- Bo nie. Benie to mój problem. Nie ma sensu, aby ktokolwiek inny zawracał sobie nim głowę.

Postanowiłam przejść do sedna, nie owijając niczego w bawełnę.

- Myślę, że on coś ukrywa. Że wie coś więcej na temat tych brylantów, niż nam wyjawiał.

Cooper zmrużył oczy.

- Dlaczego tak uważasz?

- W ostatnim czasie bardzo się zmienił. Zachowuje się nieprzyjaźnie. Jest wrogo nastawiony i do mnie, i do Petera. Jakby się bał, że odkryjemy coś, co wolałby zachować dla siebie.

- Na przykład co?

- Nie wiem. Może widział, jak ktoś wnosi brylanty na pokład. Może zna tę osobę. A może sam na czyjeś polecenie schował kamienie w twojej kabine. - Westchnęłam ciężko. - Nie wiem, Coop. To szaleństwo myśleć, że dwudziestolatek mógłby zrobić coś takiego, zwłaszcza własnemu bratu, ale coś mi tu śmierdzi. Czuję, że coś jest nie tak - powtórzyłam.

Zamilkłam. Cooper siedział z kamiennym wyrazem twarzy. Nic z niej nie można było wyczytać.

- Coop, czy Benjie mówił ci cokolwiek? Zawsze go bronisz, ale jeśli on jest w to zamieszany, a ty nikomu nic nie powiesz, wylądujesz za kratkami. Chyba tego nie chcesz?

Cooper wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował je w kostkach. Sprawiał wrażenie rozluźnionego, lecz jego oczy zdradzały czające się w nim napięcie.

- Nie chcę, żeby go w to mieszano.

- O czymś nie mówisz, prawda?

- Ben jest niewinny.

- Ale coś wie. Powiedz mi, Cooper. Błagam cię. Nie możesz iść do więzienia za czyn, którego nie popełniłeś.

- Przecież po to wynajęłaś Petera. Żeby mnie wybronił.

- Żeby to się udało, Peter musi znać wszystkie fakty. On nie jest cudotwórcą.

Cooper utkwiał spojrzenie w ścianie. Po dłuższej chwili przeniósł je na mnie.

- Wydajesz na moją obronę mnóstwo forsy,

choć wiesz, że tego nie chcę. Wbrew własnym przekonaniom zgodziłem się, żeby Peter mnie reprezentował, ale to nie znaczy, że zaprzedałem mu swoją duszę. Oczywiście masz rację. Facet nie jest cudotwórcą. Nie oczekuję, że przekona sąd o mojej niewinności, ani nie liczę, że udowodni winę komuś innemu. Chcę tylko, żeby w głowach ławników zasiał ziarno wątpliwości.

- Ale jeśli Benjie ma informacje, które...
- Nie mieszaj go do tego.
- Jest dorosłym człowiekiem. Musi ponosić odpowiedzialność za swoje czyny.
- Myślisz, że tego nie wiem? - warknął Cooper, wyraźnie rozeźlony.

Kontynuowałam łagodniejszym tonem:

- Cooper, proszę cię, nie ukrywaj niczego przed Peterem. Jeżeli Benjie coś widział, Peter zapewni mu ochronę. A jeżeli maczał w tym palce, lecz sam zgłosi się na policję...

- Przestań, Jill. Zostaw Bena w spokoju.

Czułam się zapędzona w kozi róg. Miałam dwa wyjścia: albo dla dobra naszej przyjaźni uszanować życzenie Coopera, albo zaryzykować tę przyjaźń, żeby ratować przyszłość Coopera. Żadna z tych możliwości do mnie nie przemawiała.

- Wcale mi się to nie podoba - szepnęłam załamującym się głosem.

- Tylko nie płacz.

- To mi się naprawdę nie podoba, Cooper.

Pochyliwszy się, zacisnął rękę na mojej dłoni.

- Wszystko będzie dobrze, Jill. Zobaczysz. Nic złego mi się nie stanie. Zaufaj Peterowi.

Wszystko będzie dobrze. Nie zliczę, ile razy w ciągu następnych dwóch dni powtarzałam sobie te słowa, ale w pewnym momencie przestałam je odnosić do Coopera, a zaczęłam do siebie. Zmiana nastąpiła w momencie, kiedy uświadomiłam sobie, jak rozpaczliwie tęsknię za Peterem.

Nie wiem, dlaczego tęskniłam. Miałam mnóstwo rzeczy na głowie: niepokój o Coopera, różne zaległości do nadrobienia. Czasem jednak nachodziła mnie chwila refleksji i wtedy czułam się samotna, tak jak po stracie Adama.

Wciąż pragnęłam Petera fizycznie. Wydawać by się mogło, że po czterech dniach w Nowym Jorku, kiedy kochaliśmy się prawie bez wytchnienia, będę miała dość. Nie miałam; byłam rozbudzona. Wystarczyło, że przypominałam sobie jego dotyk, a od razu ogarniała mnie fala gorąca.

Najgorsze było to, że tęsknota nie ograniczała się do ciała. Tęskniłam nie tylko za dotykiem Petera, lecz za nim całym. Pamiętałam, jak cudownie nam się rozmawiało, nawet gdy mieliśmy odmienne zdania. Pamiętałam nasze śniadania, obiady i kolacje. Pamiętałam, jak brałam prysznic, a Peter stał obok, goląc się nad umywalką. Pamiętałam ciszę, kiedy siedzieliśmy, trzymając się za ręce, każde pochłonięte własnymi myślami. Pamiętałam i tęskniłam.

Wszystko będzie dobrze, powiedziałam sama do siebie. Wkrótce ochłoniesz, uspokoisz się, na nowo przyzwyczaisz się do samotności. Bardzo na to liczyłam.

A jednak nie mogłam doczekać się przyjazdu Petera. W sobotę miałam takie wrażenie, jakby od naszego rozstania minęły cztery tygodnie, a nie zaledwie cztery dni.

Pojechałam odebrać Petera z lotniska w Bangor. Kiedy go zobaczyłam, poczułam identyczne klucie w sercu, jak tydzień wcześniej na wernisażu. Z chwilą, gdy pojawił się w hali przylotów, wszystko inne znikło, rozpląnęło się. Tym razem nie musiałam niczego udawać. Ruszyłam w jego stronę, najpierw normalnym krokiem, potem trochę szybszym, wreszcie truchtem. Postawiwszy torbę na ziemi, Peter rozpostarł ramiona. Rzuciłam mu się na szyję.

Długo się całowaliśmy. Długo i namiętnie.

- Chodźmy stąd - mruknął wreszcie. Z torbą przewieszoną przez ramię poprowadził mnie w kierunku parkingu.

Przez całą drogę do domu usta nam się nie zamykały. Rozmawialiśmy o pracy Petera, o Cooperze i Benie, o moim niedawnym pobycie w Nowym Jorku. Kiedy Peter milkł, żeby nabrać oddechu, ja zaczynałam mówić, a kiedy ja na moment milkłam, on przejmował pałeczkę. Słuchając nas, można by pomyśleć, że albo mamy sobie bardzo dużo do powiedzenia w bardzo krótkim czasie, albo

że nie widzieliśmy się od lat i jesteście zlaknieni rozmowy z sobą.

Nie jestem pewna, czy akurat rozmowy byliśmy zlaknieni. Jak tylko weszliśmy do domu, Peter rzucił torbę na podłogę i chwycił mnie w objęcia.

- Gdzie pójdziemy? - spytał chrapliwym szeptem.

Ale w jego oczach ujrzałam inne pytanie. Pytanie, które sama zadawałam sobie od powrotu do Maine. Kochać się na neutralnym gruncie, w hotelu w Nowym Jorku, a kochać się w domu, który dzieliłam przed laty z Adamem, to były dwie różne sprawy. Oczywiście wiedziałam, że będziemy się kochać... ale gdzie? W mojej sypialni? W sypialni gościnnej? Na jego łóżku? Na moim małżeńskim łóżu?

Cztery dni temu powiedziałabym bez wahania, że w pokoju gościnnym. Tak jak w Nowym Jorku, mając do wyboru mieszkanie Petera i hotel, wybrałam hotel. I hotel, i pokój gościnny kojarzyły mi się bardziej bezosobowo; były bezpieczniejsze, bo nie wiązały się z żadnymi wspomnieniami. Jednak w ciągu ostatnich trzech dni dokonała się we mnie przemiana. Jeszcze nie mogłam powiedzieć Peterowi, że go kocham, ale mogłam mu pokazać, jak wiele dla mnie znaczy.

- Do mojego pokoju - szepnęłam.

Wniósł mnie na górę i zaczął mnie namiętnie całować. Liczyły się teraz tylko zmysły i to, że wreszcie znowu byliśmy razem, tylko my dwoje,

spragnieni siebie, nienasyceń. Ani razu nie pomyślałam o Adamie. O tym, że dawniej to było nasze łóżko i że przysięgłam, iż nigdy nie będę go dzielić z innym mężczyzną. Nie miałam wahań, wątpliwości i wyrzutów sumienia.

Nie miałam ich również później. Miałam wrażenie, jakby tu było miejsce Petera: w mojej sypialni, w moich ramionach, w moim życiu.

Opowiedziałam Peterowi o rozmowie, jaką odbyłam z Cooperem. Wciąż o niej myślałam i słowa Coopera nie dawały mi spokoju. Po południu wpadliśmy z wizytą do Swansy i znów poruszyłam temat Coopera.

- Cooper prosił, żeby nie mieszać do tego Bena. Prosił, to jeszcze mało powiedziane. On wręcz nalegał - rzekłam. - Ten jego upór i stanowczość wydały mi się podejrzane. O co chodzi, Swansy? Niczego się nie domyślasz?

Staruszka pokręciła przecząco głową. Po chwili Peter wtrącił się do rozmowy; liczył, że może on będzie miał więcej szczęścia.

- Szanse na uniewinnienie są całkiem spore. Urząd prokuratora nie potrafi znaleźć przekonującego motywu ani wskazać na związek Coopera z jakimikolwiek przemytnikami lub przestępcami. Celników powiadomił o przemyśle anonimowy rozmówca. Jedyнным dowodem przemawiającym na niekorzyść Coopera są brylanty. Wydaje mi się, że zdołam zasiać wątpliwości w członkach ławy przysięgłej. Ale nie mam stuprocentowej pe-

wności. Wszystko może się zdarzyć. I jeśli coś pójdzie nie tak, wtedy Cooper trafi za kratki. Pani musi nam pomóc, Swansy.

- Ja? Przecież nic nie wiem o żadnych przemytnikach! - obruszyła się staruszka, zupełnie jakbyśmy to ją oskarżyli o szmugiel.

- Ale znasz Coopera i Bena - powiedziałam.
- Jak myślisz, dlaczego Benjie się tak zachowuje? Jakby to wcale go nie obchodziło, po prostu umywa ręce. I dlaczego Cooper za wszelką cenę stara się go chronić?

- Bo jest dobrym, lojalnym człowiekiem.

- W tym wypadku mamy do czynienia ze ślepą lojalnością!

- Człowiek zakochany bywa zaślepiony.

- Święta prawda - przyznał Peter, a kiedy ostrzegłam go spojrzeniem, żeby nie mieszał do tego spraw osobistych, dodał pośpiesznie: - Dlatego małżonkowie nie mogą zeznawać w sądzie przeciwko sobie.

Pogładziłam go po policzku.

- Ale Cooper nie jest niczym mężem. Ani nawet nie jest zakochany. Dawno temu kochał pewną dziewczynę...

- Nadal kocha - poprawiła mnie Swansy. - Na imię jej Cyrill.

- Cyrill? Pochodziła stąd?

- Nie. Tu tylko pracowała. Była kelnerką w „Gospodzie Sama”, kiedy knajpkę prowadził jeszcze jego ojciec.

- I Cooper ją kochał?

- Do szaleństwa.

Zerknęłam na Petera. Wydawał się pogrążony w myślach, więc ponownie utkwiałam wzrok w Swansy.

- Hm, ślepa lojalność? Coopera wobec Cyrill? Czy wobec Bena?

Swansy wzruszyła ramionami. Miałam dziwne przeczucie, że w słowach staruszki tkwi zakodowana wiadomość, ale nie umiałam jej rozszyfrować.

Peter pierwszy wpadł na właściwy trop.

- Cooper chroni Cyrill, prawda? - spytał.

Swansy zaczęła się energicznie kołysać na bujaku.

- Nigdy mi o niej nie wspominał - powiedziałam cicho. - Ani on, ani nikt w miasteczku. W ogóle nie miałam pojęcia o jej istnieniu.

- Tubylcy solidarnie chronią swoich.

- Cyrill nie jest tutejsza.

- Ale Cooper jest. I Benjie.

- Co to ma wspólnego z oskarżeniem skierowanym przeciwko Cooperowi? - Popatrzyłam na Petera i po chwili oboje przenieśliśmy spojrzenie na drobną staruszkę bujającą się w milczeniu.

- Swansy?

Potrząsając głową, zacisnęła powieki.

- Swansy, niech pani z nami porozmawia otwarcie - poprosił Peter. - Prędzej czy później dotrzemy do prawdy. Dzięki pani moglibyśmy poznać ją szybciej.

- Błagam, nie kaźcie mi zdradzać tajemnic Coopera - szepnęła. - Wystarczająco dużo powiedziałam.

Postanowiłam uszanować jej wolę. Chociaż bardzo chciałam pomóc Cooperowi, nie miałam prawa wymagać od Swansy czegoś więcej. Swoje zrobiła. Pchnęła nas w nowym kierunku. I biedna czuła się tak, jakby zdradziła przyjaciela. Nie, nie mogłam żądać od niej niczego więcej.

Ale przecież mogę nacisnąć innych mieszkańców miasteczka. Popatrzyłam na Petera. Instynktownie czułam, że ma taki sam pomysł. Czekają nas nie lada zadanie: musimy przełamać opór mieszkańców miasteczka. A ryzyko jest duże: Cooper może się od nas odwrócić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Więszą część niedzieli spędziliśmy na przepytaniu ludzi, z którymi rozmawialiśmy przed miesiącem. Tłumaczyliśmy im, że musimy upewnić się, czy na pewno dobrze zrozumieliśmy to, co nam wcześniej mówili. Przy okazji staraliśmy się wspomnieć mimochodem o Cyrill, ale nikt nie dał się na to nabrać. Na sam dźwięk jej imienia nabierali wody w usta. Wiedzieli, kim jest Cyrill, ale nie chcieli o niej rozmawiać.

Nie pozostało nam nic innego, jak zabawić się w detektywów.

Nazywała się Cyrill Stockland. Tę informację zdobyliśmy po kilku godzinach przeglądania kartonów z aktami, które Sam trzymał w piwnicy. Cyrill

przez siedem miesięcy pracowała w „Gospodzie” jako kelnerka. Było to dwadzieścia dwa lata temu. Wyjeżdżając, zostawiła adres restauracji w małej miejscinie w New Hampshire. Prosiła, by tam przesyłać jej korespondencję. Nie sądziliśmy, by nadal tam pracowała, ale na wszelki wypadek w poniedziałek rano pojechaliśmy to sprawdzić.

Peter postanowił zostać ze mną do wtorku. Próbowaliśmy rozwikłać zagadkę przemytu, jednak podróżując z Peterem po drogach Nowej Anglii, nie myślałam o kłopotach Coopera, tylko cieszyłam z obecności jego prawnika.

Znaleźliśmy restaurację, której adres zostawiła Cyrill. Niestety na miejscu nikt nie mógł nam nic powiedzieć o panie Stockland. Kucharz poradził nam, żebyśmy pogadali z właścicielem motelu, w którym mieszkała większość przyjezdnych. Był to straż w dziesiątkę.

- Tak, pamiętam Cyrill. Piękna dziewczyna - powiedział nam, odciągając nas na bok, by jego żona nie słyszała. - Moja Mary nie za bardzo ją lubiła. Twierdziła, że jest zarozumiała; że ma muchy w nosie. - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Może, nie wiem. Ja po prostu nie mogłem się na nią napatrzeć, taka była ładna. I miała przystojnego chłopaka. Wysokiego bruneta.

Niestety nasz rozmówca nie kojarzył imienia bruneta; jeśli nawet kiedyś je znał, to dziś już nie pamiętał. Podał nam jednak adres i nazwę wiej-

skiego pensjonatu w północno-zachodniej części Massachusetts.

- Ten pensjonat należał do moich przyjaciół - wyjaśnił. - Kiedy Cyrił postanowiła zmienić otoczenie, poradziłem jej, by tam spróbowała się zahaczyć. - Podrapał się po łysinie. - Nie wiem, czy w ogóle tam dotarła, a jeśli tak, to czy nowi właściciele będą znali jej obecny adres. Ale niech państwo spróbują.

Nie mieliśmy nic do stracenia. Ponieważ przejechaliśmy już tyle kilometrów na południe, uznaliśmy, że jeszcze trochę nie zaszkodzi. Jutro Peter wynajmie samochód i wróci nim do Nowego Jorku, a ja swoim pojedę do Maine. Pomysł spędzenia nocy w małym wiejskim pensjonacie obojgu nam przypadł do gustu.

Uroczy, niezwykle przytulny pensjonat prowadzony przez dwóch mężczyzn, przypuszczalnie gejów, w dodatku świetnych kucharzy, stał w zalesionej dolinie w Appalachach. Mężczyznom nic nie mówiło nazwisko Cyrill, ale nie zwlekając, zadzwonili do ludzi, od których kupili pensjonat. Po kilku godzinach podali nam nazwę prywatnego klubu golfowego w Westport w stanie Connecticut, w którym Cyrill znalazła pracę po wyjeździe z Massachusetts.

Wdzięczni za informację, resztę wieczoru cieszyliśmy się sobą. Zjedliśmy romantyczną kolację przy świecach, chwilę posiedzieliśmy przy kominku w salonie, po czym udaliśmy się do siebie

na górę. Pokój urządzony był pięknymi antykami, ale nas interesował tylko jeden mebel: łóżko. Po kilku aktywnie spędzonych w nim godzinach zmęczeniu usnęliśmy.

Rano Peter pojechał do Nowego Jorku, a ja wróciłam do Maine. Cooperowi i Swansy nie zamierzałam wyjawiać szczegółów naszej wyprawy; niech sądzą, że odkrywałam z Peterem uroki życia, co oczywiście było prawdą, ale nie do końca. Całą prawdę powiem im wtedy, gdy sama ją poznam.

Jak co roku Święto Dziękczynienia spędziłam w „Gospodzie Sama” w dwudziestoosobowej grupie przyjaciół i znajomych. Tak świętowałam już od sześciu lat. Każdy przyniósł coś do jedzenia; ja - dwie ogromne jagodowe galaretki, które były wyjątkowo smaczne, choć do ich wykonania oprócz wody potrzebowałam tylko trzech składników.

Do domu dotarłam o zmierzchu. Peter, który spędzał ten dzień u rodziny przyjaciela z pracy, obiecał zadzwonić wieczorem. Musieliśmy uzgodnić plany na weekend, chcieliśmy bowiem kontynuować poszukiwania tajemniczej Cyrill. To było bardzo ważne, przynajmniej tak sobie tłumaczyłam, krążąc niecierpliwie w pobliżu aparatu.

Po telefonie, kiedy już wszystko ustaliliśmy, zrozumiałam, że to, co czuję, niewiele ma wspólnego z Cyrill Stockland. Wolałam tego jednak głębiej nie analizować.

Nazajutrz o świcie wyruszyłam na południe. Plan był taki, że przylecę do Nowego Jorku, noc z piątku

na sobotę spędzimy razem, a w sobotę rano pojedziemy do Westport. Ale pierwszy samolot odlatywał dopiero późnym popołudniem, a ja nie mogłam usiedzieć w miejscu. Postanowiłam zrezygnować z podróży samolotem i odbyć trasę samochodem, tym bardziej że Westport był po drodze. Mogłam sama odwiedzić klub golfowy, pogadać...

Menadżer klubu opowiedział mi fascynującą historię. Otóż Cyrill Stockland faktycznie pracowała w klubie i cieszyła się ogromnym powodzeniem. Kiedy zaszła w ciążę, dwóch pracowników pobiło się o to, który z nich jest ojcem jej dziecka. Oczywiście Cyrill dostała wymówienie i sporą odprawę. Podobno zamierzała udać się do Nowego Jorku, ale menadżer nie potrafił podać mi żadnego adresu. Okazało się jednak, że jeden z dwóch krewkich młodzieńców, którzy bili się o Cyrill, nadal pracuje w klubie. Menadżer nie był pewien, czy facet będzie chciał wracać do przeszłości, zwłaszcza że ożenił się i ma pięcioro dzieci. Ale uprosiłam mojego rozmówcę, żeby mi go przedstawił.

Dawny kochanek Cyrill, który kilka lat temu awansował na szefa ochrony, nie miał żadnych oporów przed rozmową o dawnych czasach. Bez trudu przypomniał sobie, jak walczył z kolegą o to, który z nich spłodził Cyrill dzieciaka.

- Najśmieszniejsze jest to, że nawet z nią nie spałem! - powiedział, rechocząc. - Ale byłem młody i zadziorny. I nie chciałem, żeby ktoś inny

był lepszy ode mnie. Zresztą kłóciliśmy się niemal o każdą babę, która przekraczała próg klubu.

Puścił do mnie oko. Wzdrygnęłam się. Facet był obleśny. Ani wyglądem, ani inteligencją, ani urokiem osobistym nie mógł się równać z Peterem. Im szybciej z nim skończę, pomyślałam, tym szybciej dotrę do Nowego Jorku.

- Czy po wyjeździe Cyrill utrzymywał pan z nią kontakt?

- Nie miałem powodu. Tak naprawdę to ona nie była w moim typie. Należała do osób bardzo ambitnych; twierdziła, że zamierza zajść daleko w życiu. I znając ją, można przypuszczać, że osiągnęła cel.

- Nie orientuje się pan, dokąd pojechała, kiedy wymówiono jej pracę w klubie?

- Do Nowego Jorku.

- A gdzie dokładnie?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. To duże miasto. Chciała zaszyć się w jakimś cichym kącie, urodzić dziecko, a potem ruszyć na podbój świata.

Nowy Jork to idealnie miasto dla ludzi ambitnych, marzących o zyskaniu sławy i fortuny, a także dla tych, którzy pragną zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Wiedziałam, że odnalezienie Cyrill nie będzie łatwe. Lekko zniechęcona, podziękowałam swemu rozmówcy. Już zamierzałam odejść, kiedy nagle spytałam:

- Czy pamięta pan, kiedy to wszystko miało miejsce? - spytałam. - Ile lat może mieć dziecko Cyrill?

- Ależ dokładnie pamiętam - odparł mężczyzna.
- Kiedy doszło do tej bójkę, pracowałem tutaj dopiero niecały rok. Przez tę awanturę o mało nie straciłem obiecanej podwyżki. W czerwcu minęło równo dwadzieścia jeden lat. Czyli dzieciak musi mieć koło dwudziestki.

Jakoś do tej pory nie zwracałam uwagi na daty. Cyrill była w ciągłym ruchu, nigdzie długo nie zagraża miejsca. Dopiero teraz, kiedy usłyszałam, że jej dziecko przyszło na świat dwadzieścia lat temu, coś mi w głowie zaskoczyło.

Podeksycytowana, jeszcze raz podziękowałam swemu rozmówcy, wsiadłam w samochód i pojechałam do Nowego Jorku. Kiedy dotarłam do kancelarii, okazało się, że Peter ma spotkanie z klientem na drugim końcu miasta. Spodziewał się mnie wczesnym wieczorem. Czekałam więc na niego; wrócił, gdy już zaczęłam tracić cierpliwość.

Radość, która odmalowała się na jego twarzy, kiedy zobaczył mnie w swoim gabinecie, wynagrodziła mi długie czekanie. Zatrzasnąwszy drzwi, podszedł do fotela, na którym siedziałam, pochylił się i pocałował mnie w usta. Nie objął mnie, nie przytulił - bał się, że straci kontrolę. Ale i tak poczułam się jak w niebie.

Pieszczoty zaczęliśmy nadrabiać w domu. Świętowaliśmy nasze ponowne spotkanie, a także odkrycie, którego dokonaliśmy po kilku telefonach, kilku prośbach i groźbach.

- Kto by pomyślał? - szepnął Peter. Jego dłonie

błądziły po mojej skórze. - Kto by pomyślał, że Cyrill jest matką Bena?

Zdjęłam mu krawat i rzuciłam na podłogę.

- Cyrill matką... -wymamrotałam, przyciągając go do siebie - a Cooper ojcem. Nie bratem przyrodnim, lecz ojcem! Taka informacja widnieje na akcie urodzenia. Dlaczego o tym nie wiedzieliśmy? Dlaczego nikt nam nie powiedział?

Zsunęłam mu z ramion koszulę. Zanim zdążyłam przywrzeć ustami do jego klatki piersiowej, Peter ściągnął mi przez głowę sweter, potem szybko pozbył się mojej bluzki.

- Masz na myśli ludzi w miasteczku? - spytał.
- Może o niczym nie wiedzą?

- Jak to? Musieli wiedzieć, że matka Coopera nie była w ciąży...

- Niekoniecznie. Różnie z tym bywa. Jeżeli kobieta jest przy kości, to czasem trudno się zorientować. Jeśli jeszcze wyjedzie na miesiąc czy dłużej, a potem wróci z niemowlęciem... Mogła śmiało wmówić sąsiadom, że to jej dziecko.

Jego ręce parzyły. Oddechy mieliśmy urywane, jak po biegu.

- Moim zdaniem wiedzieli - rzekłam bez tchu. — Wiedzieli, tylko trzymali język za zębami. Pewnie dlatego z taką wyrozumiałością traktowali...

Nie dokończyłam. Peter przesuwiał ustami po mojej skórze, obsypywał mnie pieścizotami. Bliska omdlenia chwyciłam go za włosy..

- O Jezu... -jęknęłam głośno. - O Boże...

Peter uniósł głowę.

- Mam przestać?

- Nie!

Staliśmy drżący, wodząc po sobie wzrokiem. Ale nasze ciała domagały się czegoś więcej. Pragnęłam Petera, a jego lśniące oczy mówiły mi, że on pragnie tego samego. Objęłam go za szyję, opasałam nogami w biodrach. Po chwili przeniósł mnie na łóżko.

Nie potrafię opisać swoich wrażeń. Czułam cały wachlarz emocji: radość, podniecenie, satysfakcję, harmonię, pełnię, jedność.

Nagle uświadomiłam sobie, jakie mam szczęście, że spotkałam tak wspaniałego mężczyznę. Łzy napłynęły mi do oczu. Scałował je delikatnie.

- Moja słodka Jill. Tylko w takiej chwili wiem, że mnie kochasz - szepnął mi do ucha.

Miał rację. Kochałam go. Wcześniej nie umiałam nazwać tego, co czuję - bałam się - ale to na pewno była miłość. Uradowana, z całej siły przytuliłam go do siebie.

Jęknąwszy cicho, Peter zacisnął powieki.

- Co to było? - spytał. - To, co przed chwilą zrobiłaś?

Nie zdawałam sobie sprawy, że cokolwiek zrobiłam, dopóki nie rozluźniłam mięśni.

- To? - Zacisnęłam je ponownie.

- Hm - zamruczał, po czym przyjrzał mi się z powagą. - Tu jest moje miejsce, Jill. Nie tylko kiedy jesteśmy tak blisko, ale zawsze. Kocham cię.

Chociaż ja też go kochałam, nie potrafiłam

wymówić tych słów. Więc przywarłam ustami do jego ust i po prostu mu to pokazałam. Bezgłośnie.

Ale Peterowi to nie wystarczyło.

- Kiedy cię nie widzę, myślę o tobie bez przerwy. - Wsparł się na łokciu, żeby mnie nie zgnieść. Jego ciepły oddech pieścił moje policzki. - Chciałbym, żebyś ty o mnie też tak myślała. Żebyś mi zaufała. Żebyś oddała mi wszystko, całą siebie. Na zawsze.

Ja również tego pragnęłam. Wiedziałam też, że nic nie stracę, a wiele zyskam. Ale potrzebowałam czasu. Musiałam uporządkować myśli i emocje, a teraz, gdy Peter leżał obok mnie, było to całkiem niewykonalne.

Kochał mnie każdą cząstką swego ciała, całą duszą. Raz delikatnie, raz żarliwie. Kiedy spoceni i zasapani opadliśmy na poduszkę, nie miałam najmniejszych wątpliwości, że Peter jest człowiekiem, na którego czekałam; że jest największą miłością mojego życia.

Zasnęliśmy przytuleni, a potem się kochaliśmy i znów się zdrzemnęliśmy. Obudziliśmy się potwornie głodni, ale pod prysznicem zapomnieliśmy o ssaniu w żołądku i ponownie rzuciliśmy się na siebie. Zbliżała się północ, kiedy do drzwi zastukał roznosiciel pizzy z dwoma dużymi pudłami w ręku.

Pół godziny później, najedzeni - w pudełkach zostały same okruchy - poczapaliśmy do gabinetu, usiedliśmy na kanapie i owinęli się ciepłym kocem. Peter musiał wyczuć, że nie jestem gotowa do

rozmowy o nas i naszej przyszłości, bo przeszedł od razu do Coopera i Cyrill.

- Co o tym myślisz? - spytał.

- Myślę, że Cooper zakochał się po uszy. Miał osiemnaście lat, kiedy Cyrill przyjechała do miasteczka. Była piękną dziewczyną, od razu zwróciła na siebie jego uwagę. Była od niego rok młodsza i bardzo ambitna. Zamierzała osiągnąć coś w życiu. Ale najwyraźniej zadurzyła się w Cooperze; kontynuowali romans długo po tym, jak wyjechała z Maine.

- Cooper z pewnością wiedział o jej ciąży.

- Tak. I musiał być przy Cyrill, kiedy rodziła, skoro wrócił do domu z noworodkiem.

- Zastanawiam się, jaki zawarł układ.

- Nie rozumiem... - Odchyliwszy głowę, popatrzyłam Peterowi w oczy.

- Jeśli Cyrill zamierzała zrobić karierę w Nowym Jorku, dziecko by jej w tym tylko przeszkadzało. Kto wie, czy Cooper nie musiał jej błagać o utrzymanie ciąży.

- Hm, uważasz, że chciała usunąć ciążę? Że brała to pod uwagę?

- Kto wie? Może. Raczej nie chciała dziecka, skoro je oddała i pozwoliła, aby kto inny je wychowywał.

Zrobiło mi się żal Bena.

- Biedny chłopak. Wyobrażam sobie, co on przeżywa. Musi się czuć odtrącony.

- Jeśli zna prawdę. A tego nie wiemy.

- Podejrzewam, że zna. To by tłumaczyło, dlaczego z takim przekonaniem zapewniał mnie, że Cooper nigdy się ze mną nie ożeni.

- Bo ja wiem...

- Jestem tego pewna. Nie słyszałaś żaru w jego głosie. Tak mówi dziecko, które stara się być lojalne wobec matki. Albo które liczy na to, że kiedyś jego rodzice znowu się zejdą.

- Albo które od urodzenia jest wredne.

Też o tym pomyślałam. Po chwili jednak potrząsnęłam głową.

- Nie, Cooper nie trzymałby tego przed nim w tajemnicy - powiedziałam. - Prawda?

- Znasz go lepiej niż ja.

- Wiem, ale po paru rozmowach wyrobiłaś sobie jakieś zdanie...

Zamyślił się.

- No więc raczej uważam, że nie trzymałby. Ale to tylko przypuszczenie. - Pokręcił głową. - Bez względu jednak na to, czy Benjie zna prawdę, czy nie, fakt, iż Cooper jest ojcem chłopaka, a nie bratem, wiele nam wyjaśnia. Choćby stosunek Coopera do Bena.

Oparłam się policzkiem o ramię Petera.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć. - Ale im dłużej myślałam o wzajemnych relacjach między Benem a Cooperem, tym bardziej wszystko nabierało sensu. - Hm, teraz inaczej rozumiem niektóre wypowiedzi Coopera. - Pograżyłam się w zadumie. Wreszcie, patrząc Peterowi w oczy, spytałam bez

ogródek: - Sądzisz, że to Benjie wniósł brylanty na pokład?

- Nie wiem.

- Myślisz, że Cooper wie, kto to zrobił?

Peter nie odpowiedział.

Wróciłam myślami do Coopera. Kochał Cyrill, kocha Bena; dlaczego miłość do kobiety i syna przysparza mu tyle kłopotów i cierpień?

- Cooper zawsze brał jego stronę, ale nigdy nie miał tak wiele do stracenia. Tym razem może na kilka lat trafić za kratki.

- Jeśli, jak twierdzi, sam nie miał pojęcia o przemyśle, oznacza to, że gotów jest wziąć na siebie czyjąś winę.

Nagle coś mnie tknęło. Petera najwyraźniej też, bo poczułam, jak mu przyśpiesza puls.

- Czy to możliwe? - spytałam cicho.

- Wszystko jest możliwe.

- Sądzisz, że byłby zdolny do takiego poświęcenia?

- Gdyby kochał...

- Gdzie ona teraz może być?

- Dobre pytanie.

- Musimy ją znaleźć. Ale jak?

Zanim skończyłam mówić, Peter odsunął mnie na bok i podniósł się z kanapy. W jedwabnych granatowych bokserkach podszedł do biurka i wyjął z szuflady książkę telefoniczną Manhattanu.

- Niestety tu nie ma żadnej Cyrill Stockland - oznajmił po chwili.

Wyjął z biurka drugą książkę, sprawdził, potem trzecią. W sumie trafił na pięć „C. Stockland”, ale to nie była pora, by do kogokolwiek dzwonić. Dochodziła pierwsza w nocy. Ja zaś, obserwując jego wspaniale umięśniony nagi tors, gdy schylał się i prostował, nabrałam ochoty na coś całkiem innego. Owinięta miękkim kocem podeszłam do Petera i rozpościerając ramiona, jego również nim okryłam.

- Znajdziemy Cyrill - szepnął, obracając się do mnie twarzą. - Na pewno znajdziemy.

I znalazł, po czterech dniach, z pomocą prywatnego detektywa. Cyrill Stockland faktycznie mieszkała w Nowym Jorku, lecz pod nazwiskiem Cyrill Kane. Chociaż nie zdobyła fortuny, na jaką liczyła dwadzieścia lat temu, wciąż próbowała dopiąć celu. Zadawała się z ludźmi o wątpliwej reputacji, wśród których był człowiek podejrzewany o kradzież kamieni szlachetnych. To jeszcze nie było wszystko. Z informacji, jakie zdołał zebrać detektyw, wynikało, że przy kolejnym skoku Cyrill i jej kumpel prawdopodobnie posłużyli się Benem.

Peter powiadomił mnie o tym przez telefon w środę wieczorem; mieliśmy się zobaczyć dopiero w piątek po południu. Wiedziałam, że do tego czasu muszę trzymać język za zębami. Chociaż mnie korciło, nie mogłam niczego zdradzić Swansy, która już i tak miała wyrzuty sumienia, że w ogóle wspomniała przy nas o Cyrill. Rozmowę z Co-

skan i przerobienie anula43

operem zamierzaliśmy odbyć razem, kiedy Peter dotrze na miejsce.

Było to mądre posunięcie. Jeszcze nigdy nie widziałam Coopera tak przybitego jak tego dnia, gdy Peter opowiedział mu o naszym odkryciu.

- Mówiłem, że nie chcę żadnego dochodzenia - oznajmił cicho, głosem drżącym z napięcia.

Jego reakcja zdumiała mnie tak, że aż zabrakło mi słów. Popatrzyłam na niego rozszerzonymi oczami.

- Ty o tym wiedziałeś? - spytałam z niedowierzaniem.

Cooper gniewnym wzrokiem zmierzył Petera.

- Kto ci kazał wynająć prywatnego detektywa?

- Jako twój prawnik sam podjąłem taką decyzję.

- Wbrew mojej woli.

- To nie ma znaczenia - wtrąciłam. - Cooper, wiedziałeś o wszystkim?

Nie potwierdził, ale też nie zaprzeczył.

- Cooper?

Wciąż wpatrywał się w Petera; na mnie nawet nie spojrział.

- Czy możesz zastosować linię obrony, którą wcześniej uzgodniliśmy?

- I nie wspominać o tym, czego się dowiedziałem dwa dni temu?

- Tak.

- To szaleństwo!

- Możesz?

- Tak, ale...

- Nie, nie możesz! - krzyknęłam.

Peter wzrokiem nakazał mi milczenie i kontynuował:

- ...ale to by było bez sensu. Zupełnie inna była sytuacja, kiedy myśleliśmy, że to jakiś obcy człowiek ukrył brylanty na łodzi. Jeżeli jednak Benjie pomaga Cyrill, to sprawa bardzo się komplikuje. Nie możesz tego tak zostawić. Chodzi nie tylko o ciebie, ale o dobro chłopca. Załóżmy, że sąd cię uniewinni. Benjie będzie nadal pomagał matce, aż w końcu wpadnie. Jeżeli zaś wylądujesz za kratkami, chłopak do końca życia będzie czynił sobie wyrzuty.

- Benjie jest niewinny - stwierdził stanowczym tonem Cooper.

- Może sam niczego nie ukradł, ale jeśli to on ukrył brylanty w twojej kabinie, a potem nie kiwnął palcem, żeby ci pomóc, to jednak jest współwinny.

- Cooper, czy Benjie wie, że znasz prawdę? - spytałam.

Po raz pierwszy, odkąd usiedliśmy do rozmowy, raczył na mnie spojrzeć. Był zdenerwowany, z trudem nad sobą panował. Widziałam, że tylko ze względu na lata przyjaźni nie okazywał mi jawnej wrogości. Po chwili odwrócił wzrok, jakby bał się, że mnie skrzywdzi.

- Nie chcę, aby chłopaka do tego mieszano.

- Benowi wiele nie grozi - zapewnił go Peter.

- Z uwagi na młody wiek oraz okoliczności dostałby wyrok w zawieszeniu...

- Nie chcę, aby w ogóle wymieniano jego imię.
- Kara w zawieszeniu... Pomysł. Może to by mu dobrze zrobiło.

- Nie.

- Cooper... - zaczęłam, ale on już miał dość.

Odsunął gwałtownie krzesło, poderwał się od stołu. Z wieszaka przy drzwiach chwycił kurtkę i wyszedł, trzaskając drzwiami. Popatrzyłam na Petera, po czym chwyciłam własną kurtkę.

- Idę przemówić mu do rozsądku.

- Daj mu czas, żeby ochłonał.

- Nie, bo wtedy utwierdzi się w przekonaniu, że ma rację.

- Już jest tego pewien.

- Muszę spróbować.

- Pójdę z tobą.

Sięgnął po płaszcz, ale powstrzymałam go.

- Lepiej będzie, jak sama z nim porozmawiam.

Sądząc po jego minie, Peter nie uważał, żeby to był dobry pomysł, ale ja wiedziałam, co robię.

- Coopera i mnie łączy szczególna więź. - Uniosłam rękę do twarzy Petera i delikatnie pogładziłam go po policzku. - Inna niż ta, która łączy ciebie i mnie, ale równie głęboka. Chcę się na nią powołać, lecz będzie trudniej, jeśli pójdziesz ze mną... Proszę, Peter, daj mi spróbować.

Uśmiechnął się łagodnie; nie starał się na mnie wpłynąć. Wspiąwszy się na palce, przyłożyłam usta do jego ust. Kocham cię. O mało nie powiedziałam tych słów na głos; dosłownie w ostatniej chwili

uwieźły mi w gardle. Opadłszy z powrotem na pięty, pośpiesznie zapięłam kurtkę, wciągnęłam kaptur i ruszyłam do wyjścia.

Nagle stanęłam jak wryta. W przejściu między pokojem a kuchnią zobaczyłam Bena. Nie miałam wątpliwości, że słyszał moją rozmowę z Peterem i widział, jak go całuję, ale czy również był świadkiem naszej rozmowy z Cooperem? Tego nie wiedziałam. I prawdę mówiąc, w tym momencie niewiele mnie to obchodziło. Obchodził mnie Cooper.

Posłałam chłopakowi błagalne spojrzenie, zerknęłam na Petera, po czym wybiegłam na poszukiwanie Coopera.

Zapadał zmierzch, wiatr się nasilał, powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Sprawdziłam narbrzeże, molo. Coopera nigdzie nie było. Drżąc z zimna, ruszyłam w stronę miasteczka, po drodze jednak skręciłam w ścieżkę, która prowadziła na skalisty cypel. Tam go znalazłam. Przycupnięty na głazie, rzucał kamyki do spienionej wody.

Wiatr zagłuszał moje kroki. Nie oglądając się za siebie, Cooper wiedział, że przyszedłam. Zapewne się mnie spodziewał.

- Nic z tego nie wyjdzie, Jill. - Jego głos wzniósł się nad szum fal. - Możesz gadać, ile chcesz, a ja i tak nie zmienię zdania. Nie chcę, żeby mieszano do tego Bena. Koniec, kropka.

Otworzyłam usta, zamierzając przedstawić mu swoje argumenty; po chwili zmieniłam zdanie. Zaczęłam rozmyślać nad tym, co chcę powiedzieć.

Cooper zerknął na mnie, zaintrygowany moim milczeniem. Wsunąwszy ręce do kieszeni, kucnęłam, żeby nie musieć krzyczeć.

- Opowiedz mi o niej - poprosiłam. - Jaka była?

Tym razem w oczach przyjaciela dojrzałam zdumienie. Cisnął kilka kamyków do wody. Już myślałam, że nie otrzymam odpowiedzi, kiedy nagle usłyszałam jego głos.

- Piękna, wysoka, jasnowłosa, idealnie zbudowana. Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem, dosłownie mnie замуrowało. Zabrakło mi tchu.

- Zakochałeś się od pierwszego wejrzenia?

Wzruszył ramionami.

- Byłem dzieciakiem. Znałem tylko miejscowe dziewczyny, a one nie za bardzo mnie pociągały.

- Na moment zamilkł. - Cyrill była młodsza ode mnie, ale bardziej doświadczona. Po pierwszej nocy gotów byłem skoczyć za nią w ogień.

Na czubku języka miałam pytanie: dlaczego jej nie poślubił? Dlaczego nie zamieszkali razem w Maine? Ale znałam odpowiedź. Cyrill chciała zdobyć sławę i pieniądze.

- Jak długo to trwało?

- Cały czas póki tu była. Potem przenieśli się za nią w dwa kolejne miejsca. W końcu wyjechała do Nowego Jorku. Nigdy mnie nie okłamywała. Od początku mówiła, że nie kusi jej prowincja ani małżeństwo ze mną. Ale nosiła moje dziecko. Benjie jest podobny do Cyrill...

Oj, bardzo, pomyślałam smutno.

- Widziałeś się z nią później? Po przyjsciu Bena na świat?

Przecząco pokręcił głową.

- Próbowałeś?

Znow potrzęsnał głową. Wrzucił kamyk do wody, po czym tak cichym głosem, że z trudem go usłyszałam, rzekł:

- Bałem się.

- Że cię odtrąci?

Wzruszył ramionami.

- Ona wie, gdzie mieszkam. Wie, że w każdej chwili przyjmę ją z otwartymi ramionami.

Nie potrafiłam tego zrozumieć. Cooper, którego znałam, kochałam i szanowałam, był facetem rozsądnym, samodzielnym, twardo stąpającym po ziemi. Nie pasował do obrazu człowieka dającego się wodzić za nos kobiecie. W dodatku takiej, która wcale nie zasługuje na jego uczucie.

- Przyjąłbyś ją? Po tylu latach?

Bez wahania skinął głową.

- Nadal o niej marzę.

Pewnie wyobrażał sobie, że się z nią kocha, kiedy szedł do łóżka z innymi kobietami.

- Wciąż ją kochasz?

Podniósł z ziemi kolejny kamyk, przez chwilę pocierał go w palcach, po czym cisnął w dół.

- Tak - przyznał gniewnie. -I nie pytaj dlaczego. Po prostu kocham ją i już. Ilekroć o niej myślę, czuję ucisk w sercu. Może to obsesja, opętanie, nie wiem, ale mimo tylu lat ten ucisk nie maleje.

Z coraz większą furią rzucał kamyki do wody. Ciekawa byłam, czy to przynosi mu ulgę. Może ja też spróbuję, pomyślałam. Żeby rozładować frustrację.

- Powiedz, Coop. Jak to jest kochać kogoś tak mocno, by poświęcić dla tej osoby całą swoją przyszłość?

Posłał mi znaczące spojrzenie.

- Mnie pytasz? To ty jesteś ekspertką.

Serce mi zakołatało.

- Co masz na myśli?

- Ciebie i Adama. Dla niego gotowa jesteś zrezygnować z własnego szczęścia.

- Nieprawda.

- Prawda. A Adam nawet nie może tego docenić, bo go nie ma wśród żywych. Cyrill natomiast będzie wolna dzięki mojemu poświęceniu.

- To bez sensu - sprzeciwiłam się.

- Ja tak nie uważam.

- Ona by się dla ciebie tak nie poświęciła.

- Adam dla ciebie też nie.

- Nic dziwnego. Przecież nie żyje.

- Gdyby żył, na pewno by się nie poświęcił. A gdybyś to ty zginęła w wypadku, wyjechałby stąd i ułożył sobie życie od nowa.

Jakiś czas temu Swansy powiedziała mi właściwie to samo. Nie chciałam jej słuchać. I nie chciałam słuchać Coopera.

- Dlaczego to mówisz, Coop? Przecież przyjaźniłeś się z Adamem.

- Owszem, przyjaźniliśmy się. - Obrócił się do mnie twarzą. - Ale w przeciwieństwie do ciebie, nie byłem w Adamie zakochany, więc patrzyłam na niego bardziej obiektywnie. To był świetny facet, ale nie nadawał się do tutejszych warunków. Wiedziałaś o tym, prawda? I powoli dojrzewałaś do tego, by zmienić coś w waszym życiu, kiedy nagle zdarzył się ten tragiczny wypadek. No i było już za późno. - Kontynuował pośpiesznie, jakby się bał, że mu zaraz przerwę. - Od sześciu lat idealizujesz Adama. Czujesz się winna jego śmierci, więc odmawiasz sobie prawa do radości.

Wyprostowałam się.

- Nieprawda, nie idealizuję...

Cooper również podniósł się z kucek. W szybko zapadających ciemnościach słabo widziałam jego twarz, ale głos miał napięty.

- Nie potrafisz dostrzec, że Adam miał nie tylko zalety, ale i wady. Idealizujesz zarówno jego, jak i waszą miłość. Z tego powodu boisz się zaangażować w nowy związek, chociaż ty i Peter bardzo do siebie pasujecie. Więc na pytanie, jak to jest kochać kogoś tak mocno, że dla tej osoby chce się poświęcić własne szczęście i przyszłość, możesz sobie odpowiedzieć sama.

- Mylisz się, Coop...

- Nie, Jill. Widzę, jak świetnie się z Peterem dogadujecie, jak fantastycznie się rozumiecie. Dużo lepiej niż kiedyś z Adamem. Szanujesz Petera, liczysz się z jego zdaniem. Przy nim ożywasz,

nabierasz chęci do działania. Trochę się tego lękasz, bo przywykłaś do spokojnego życia, do ciszy, do tego, że nikt nic od ciebie nie wymaga. Ale nie możesz uciekać przed miłością. Nie powinnaś.

Zakryłam rękami uszy i odwróciłam się, zamierzając odejść, ale Cooper ścisnął mnie za ramię.

- Zastanów się nad tym, Jill.

- Nie mam się nad czym zastanawiać! - warknęłam. - A tak w ogóle to rozmawialiśmy o tobie!

- Wiem, ale ty możesz zmienić swoje życie. Jeszcze nie jest za późno. A ja? Mnie nic lepszego nie czeka. Będę dalej kochał Bena i tęsknił za Cyrill. Z żadną kobietą nie czułem się tak szczęśliwy, żadna nie może mi jej zastąpić. Powiedz mi: czy jakakolwiek kobieta na świecie chciałaby, żeby jej mężczyzna wzdychał do swojej pierwszej miłości?

Moje milczenie było dla niego odpowiedzią.

- Sama widzisz. Więc nie przejmuj się mną. Nie zmienię się. Jestem za stary.

- Nie jesteś za stary. Jesteś tylko zbyt uparty.

- A ty? Tak bardzo różnisz się ode mnie?

- Tak!

- Też jesteś uparta.

- Jestem ostrożna, a nie uparta. Po prostu nie chcę podejmować pochopnych decyzji.

- Dobrze ci radzę, Jill. Zostaw Adama. Przestań go idealizować. Bo wylądujesz z niczym.

- Nie chcę już tego słuchać!

Oswobodziwszy się, zaczęłam się oddalać. Cooper ruszył za mną. Było już prawie ciemno. Ze dwa

razy potknęłam się na nierównej ścieżce. Cooper wyciągnął rękę, żeby mnie podtrzymać. Za każdym razem odzyskiwałam równowagę, zanim mnie dotknął. Kiedy doszłam do ulicy, skręciłam w prawo.

- Nie zmarnuj sobie życia, Jill! - zawołał za mną.

- Ty możesz, a ja nie? Dlaczego? - spytałam, nie odwracając się.

- Bo samotność to paskudna rzecz - odparł, przyspieszając kroku. - Gdybym spotkał lepszą kobietę od Cyrill, na pewno bym jej nie puścił. Ale nie spotkałem.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Spotkałaś Petera.

Obróciłam się na pięcie i zmierzyłam go wzrokiem.

- I twoim zdaniem lepiej mi będzie z Peterem, niż było z Adamem? Masz tupet! - Nie czekając na odpowiedź, pognałam przed siebie.

Po chwili Cooper mnie dogonił. Chwycił mnie za rękę. W ciemności usłyszałam jego cichy, łagodny głos.

- Wiele dla mnie znaczysz, Jill. Nawet nie wiesz, jak bardzo cenię sobie naszą przyjaźń. Po śmierci Adama kilka razy przemknęło mi przez myśl, że powinienem zacząć się do ciebie zalecać. Po to, żeby cię tu zatrzymać. Ale nie mogłem. Bo ty zasługujesz na prawdziwą miłość. A takiej ani ja, ani nikt w miasteczku nie może ci ofiarować. Nie chcę cię stracić, ale...

- Nie stracisz. Nigdzie nie wyjeżdżam.
- Ale wyjedziesz. Bo go kochasz.
- Nie wyjadę!

Zamiast się ze mną kłócić, Cooper otoczył mnie ramieniem i mocno przytulił. Byłam tak zaskoczona, że nawet nie zaprotestowałam. Miałam wrażenie, że tym gestem pragnie wyrazić wszystko.

Staliśmy tak najwyżej dziesięć sekund, po czym Cooper odsunął się i popatrzył mi w twarz. W blasku neonu nad sklepem Prentissa zobaczyłam jego oczy. Lśniły. Nie, to musiała być sprawa oświetlenia, przecież Cooper by nie płakał. Był silny, zawsze opanowany. A jednak...

Razem ruszyliśmy w stronę mojego domu. Po kilku krokach znów stanęliśmy. Kilkanaście metrów przed sobą, tam gdzie molo łączyło się z ulicą, spostrzeżliśmy Petera i Bena.

Domyśliłam się, że doszli do porozumienia.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czułam się bardzo osamotniona. Peter zachował się jak rasowy pokerzysta; rozegrał wszystko po mistrzowsku.

Oczywiście przed powrotem do Nowego Jorku dopilnował spraw zawodowych. Benjie, jak się okazało, słyszał naszą rozmowę z Cooperem; chociaż wiedział, że Cyrill jest jego matką, to szlachetność i upór Coopera poruszyły w nim czułą strunę. Zdumiało mnie to, zawsze uważałam Bena za małego egoistę, ale widocznie musiał odziedziczyć parę cech po ojcu.

W każdym razie Benjie przyznał Peterowi rację, że Cooperowi należy się coś więcej od życia niż kara więzienia za grzechy, których nie popełnił.

Wówczas Peter wykonał kilka telefonów, umówił się na parę spotkań, po czym zabrał Bena do Portland. Od prokuratora Hummela uzyskał obietnicę, że za złożenie zeznań obciążających prawdziwych złooczyńców Benjie otrzyma wyrok w zawieszeniu.

Rzecz jasna, zarówno Cooper, jak i Benjie byli przeciwni obciążaniu Cyrill. I znów Peter wykazał się niezwykłym kunsztem. Zanim podał prokuratorowi nazwisko Cyrill, otrzymał obietnicę, że Cyrill zostanie łagodnie potraktowana, jeżeli zgodzi się zeznać przeciwko „mózgowi” całego przedsięwzięcia. Zdaniem Bena, facet wykorzystał ich oboje. Nie było pewne, czy Cyrill zgodzi się na współpracę, ale przynajmniej miała możliwość uniknięcia wysokiej kary.

Chociaż zarzuty przeciw Cooperowi zostały wycofane, on sam miał bardzo mieszane uczucia. Wprawdzie na zdrowy rozum zdawał sobie sprawę, że Peter postąpił słusznie, lecz serce miał rozdarte. Przedtem martwił się jedynie o swój los, zaś teraz o los dwóch najbliższych mu osób. Chciał coś zrobić, ale nie potrafił im pomóc.

Kiedy więc Peter wyjechał do Nowego Jorku, zostawiając mnie samą w Maine, nie miałam się komu wypłakać. Cooper odpadał. Swansy też; moje kłopoty jakoś jej nie wzruszały. Inni przyjaciele w miasteczku nie wchodzili w grę; w ich oczach zawsze uchodziłam za silną.

Ciągle zastanawiałam się, dlaczego Peter wyjechał bez decydującej rozmowy ze mną. Nie miał

powodu wracać do Maine przed procesem, który zaplanowany był za pięć miesięcy. Ja zaś nie miałam powodu odwiedzać Nowego Jorku. Nie pokłóciliśmy się; nadal byliśmy sobie bliscy. Łączyła nas namiętność i przyjaźń. Peter wciąż zapewniał mnie o swoim uczuciu.

Ode mnie nie domagał się wyznań miłosnych. Nie pytał, czy go kocham, nie ciekawiło go, jakie mam plany na przyszłość.

Przynajmniej nie rzucił mi na pożegnanie „No to cześć”. I dzwonił. Dzwonił codziennie między wpół do ósmej a ósmą, zupełnie jakby wracał do mnie po pracy. Pytał, co porabiałam. Ja jego pytałam, jak mu minął dzień. Jednak nie rozmawialiśmy o tym, kiedy się znów zobaczymy.

Peter czekał na mój ruch, na moją decyzję. Na pewno w głębi duszy denerwował się, czy przypadkiem nie postanowię do końca życia mieszkać samotnie na wybrzeżu Maine.

Spokój i samotność sprzyjały rozważaniom. Po raz pierwszy w życiu byłam ze sobą brutalnie szczerą, nie unikałam bolesnych tematów. Wiedziałam, że nie mogę dłużej tak żyć; że muszę podjąć decyzję; że ode mnie zależy, czy będę szczęśliwa u boku Petera.

Kochałam go. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Kiedy byliśmy razem, rozpierała mnie radość. Jak słusznie powiedział Cooper: przy Peterze ożywałam. Nie tylko działał na mnie fizycznie, ale inspirował i pobudzał do życia, sprawiał, że czułam się inteligentna, piękna, kochana.

Najważniejsze jednak, że dzięki Peterowi zyskałam wewnętrzną harmonię, równowagę. Dużo o tym myślałam. Adam był przystojnym, szlachetnym człowiekiem. Miał cudowny głos i lśniące oczy. Bardzo go kochałam. Jednakże, co wytknęła mi Swansy, w naszym związku to ja byłam silniejsza, ja podejmowałam decyzje, na mnie spoczywał ciężar odpowiedzialności emocjonalnej i finansowej.

Inna sprawa, którą musiałam rozwikłać, to moje wyrzuty sumienia. Wiele godzin spędziłam skulona na zimnym wietrze, spoglądając w morze i rozmawiając z Adamem. Tłumaczyłam mu, że miałam jak najlepsze intencje. Przepraszałam za to, że byłam zaślepią; chcąc się usamodzielić od mojej rodziny, nie dostrzegałam jego potrzeb. A przecież nie chciałam sprawiać mu bólu ani cierpienia.

Marznąc na skalistym nabrzeżu, wpatrywałam się w spienione fale. Czekałam na jakiś znak, że Adam mi wybacza. Żadnego nie dojrzałam. Adam nie żył. Pojęłam, że jeśli chcę wybaczenia, muszę go szukać w sobie.

Po pewnym czasie je znalazłam. Znalazłam, kiedy zrozumiałam, że moje uczucie do Petera nie umniejsza ani nie przekreśla mojego uczucia do Adama. Kochałam ich obu: Adama przed laty, Petera obecnie. Adam był ważną częścią mojej przeszłości, Peter jest istotnym elementem mojej przyszłości.

Zaczęłam marzyć o tym, co może się zdarzyć. Chciałam, byśmy zatrzymali mój dom na wybrzeżu

Maine, mieszkanie Petera w Nowym Jorku, może jeszcze kupili nieduży domek na wsi. Marzyłam o podróżach, o tym, żeby Peter pokazał mi dalekie kraje, do których lubił jeździć. Marzyłam o dzieciach, moich i Petera.

Decyzję podjęłam podczas wizyty u Swansy. Nie widziałam Petera od dwóch tygodni i bardzo za nim tęskniłam. Podczas weekendu spacerowałam po miasteczku; wszyscy wydawali mi się tacy radośni i zadowoleni. Kiedy w poniedziałek zajrzałam do Swansy, staruszka siedziała na bujaku, wsłuchując się w kolejny odcinek swojej ulubionej opery mydlanej.

Usiadłam obok i wlepiłam oczy w ekran. W ciągu pół godziny usłyszałam o narodzinach, o śmierci, o świętach, o głodzie, o morderstwie, o intrydze, o zapierających dech w piersiach pościgach. Czuję się jak widz, jak ktoś, kto sam nie żyje, lecz podgląda życie innych. I nagle pomyślałam, że czas na zmianę. Nie chcę już dłużej być widzem; chcę uczestniczyć w tym, co dzieje się dookoła. Chcę smakować życia. Z Peterem.

Po dwóch tygodniach rozmyślań obudziłam się. Nie miałam chwili do stracenia. Bez słowa wyjaśnienia uściśnęłam mocno Swansy, pognałam do domu, przebrałam się, spakowałam niedużą torbę podróżną i pojechałam na lotnisko.

Do Nowego Jorku dotarłam o piątej. Nie przejmując się tym, że Peter jest w pracy, poprosiłam taksówkarza, żeby zawiózł mnie do jego mieszkania przy South Central Park. Strażnik w recepcji mnie

nie znał, więc nie zgodził się wpuścić mnie na górę. Nie szkodzi. Mogłam poczekać na dole w holu.

Czekałam trzy godziny. Siedziałam wpatrzona w szklane drzwi, kiedy nagłe Peter się pojawił. Poderwałam się na równe nogi. Nasze spojrzenia się spotkały. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Powoli ruszyłam naprzeciw.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś - powiedział niepewnie. - Długo czekasz?

Skinęłam głową.

- Tak. - Kąciaki ust mi zadrżały. - Miałam mnóstwo czasu, żeby stchórzyć albo się rozmyślić.

W jego zielonych oczach dojrzałam błysk nadziei. W tym momencie uświadomiłam sobie, że ani razu nie zwątpiłam w Petera i jego miłość. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mógłby zmienić zdanie.

On zaś od początku nie wiedział, na czym stoi; nie miał pojęcia, jaką podejmę decyzję. Ufał mi, tak jak ja ufałam jemu, lecz ani razu nie słyszał z moich ust słów „kocham cię”.

Uniosłam dłoń do jego policzka, przesunęłam ją w dół i zacisnęłam na kołnierzu płaszcza.

- Bardzo cię kocham - powiedziałam cicho.

Patrzył na mnie z coraz większą nadzieją w oczach.

- Czy tego chcesz, Jill? - spytał szeptem, jakby z lęku przed tym, co może usłyszeć, obawiał się zadać to pytanie głośno.

Rozumiałam go. Nie wiedział o moich przemyś-

leniach. Równie dobrze mogłam darzyć go miłością, lecz nie być gotowa dzielić z nim życia.

Wzięłam głęboki oddech.

- Chcę zwiedzać z tobą wystawy i spędzać weekendy nad brzegiem morza; chcę spać wtulona w twoje ramiona i razem z tobą jeść śniadanie w łóżku. Chcę mieć skromne wesele, domek na wsi z pracownią w ogrodzie oraz troje lub czworo dzieci, przynajmniej po jednym każdej płci.

- Po jednym każdej płci? - Zadowolony z mojej odpowiedzi, uśmiechnął się od ucha do ucha, po czym objął mnie w *talii*.

- Tak. Chłopczyka, który byłby podobny z charakteru do ciebie, i dziewczynkę podobną do mnie. Jesteśmy parą naprawdę fajnych ludzi.

- Tak myślisz?

Ponownie skinęłam głową.

- Chcę - kontynuowałam, poważniejąc - żebyśmy zawsze byli razem. Przez te dwa tygodnie, kiedy byłam z dala od ciebie, czułam straszną pustkę. - Serce zabiło mi mocniej. - Czy zgodzisz się ją zapełnić?

Promieniał szczęściem. Nie musiał nic mówić, ale i tak odpowiedział:

- Dla ciebie zrobię wszystko. Bo kocham cię nad życie.

Roześmiałam się radośnie. Wiedziałam, że taki szczerzy, wesoły śmiech będzie często rozbrzmiewał w naszym domu.